

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E
2 (30) 2001 Indeks 36294



MIŁOSZ - „Ja” 90-lecie MIŁOSZA

Błoński Dzień Fiut Hartwig Jankowski Lem

Matywiecki Myszkowski Nowosielski Pollakówna

J.J. Szczepański Sławińska Szuber Zarębianka

Zespół:

JAN BŁOŃSKI, TOMASZ BUREK, STEFAN CHWIN,
ALEKSANDER FIUT, MICHAŁ GŁOWIŃSKI,
MAREK KĘDZIERSKI, JULIAN KORNHAUSER,
JANUSZ KRYSZAK, LESZEK SZARUGA

Redakcja:

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI – redaktor naczelny
GRZEGORZ MUSIAŁ – z-ca redaktora naczelnego
GRZEGORZ KALINOWSKI – sekretarz redakcji

Wydawca:

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy
przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

UWAGA! Nowy adres redakcji:

Plac Kościeleckich 6, 85-033 Bydgoszcz
tel. (0-52) 585 15 01, 02, 03; wew. 105
tel. (0-52) 585 15 00
tel./fax (0-52) 585 15 06
www.wok.bydgoszcz.pl
e-mail: wok@cps.pl;

Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser
Korekta: Katarzyna Laskowska

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Przedstawiciele za granicą:

Barbara F. Lefcowitz
4989 Battery Lane, Bethesda, MD 20814, USA
e-mail: BLefcowitz@aol.com

Joanna Wiórkiewicz
Saarburgerstr. 11D, 12247 Berlin, Niemcy
tel./fax: 0-049-30-7740217

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje Urzędowi
Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu
i Urzędowi Miasta Bydgoszczy za pomoc finansową w wydaniu nr. 2/2001.*

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

K U J A W Y I P O M O R Z E

Nr 2 /30/ 2001

Spis rzeczy

- CZESŁAW MIŁOŚZ „Ja” / 3
- KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Czesławowi Miłoszowi w 90. rocznicę urodzin / 5
- JULIA HARTWIG Poeta nie tylko poetów / 7
- JOANNA POLLAKÓWNA Głos Miłosza / 8
- STANISŁAW LEM *** / 9
- JAN JÓZEF SZCZEPAŃSKI *** / 9
- JAN BŁOŃSKI Pisać całym sobą / 10
- IRENA SŁAWIŃSKA Zamiast uroczystych życzeń... / 12
- ALEKSANDER FIUT Pewien debiut / 13
- JANUSZ SZUBER Czesławowi Miłoszowi z urodzinowym pokłonem / 24
- ZOFIA ZARĘBIANKA Krajobrazy pamięci / 25
- LUDMIŁA MARJAŃSKA Przyłot / 43 Wielki Kanion Colorado / 44
Kanarek z wieży Babel / 44 Nowy Jork (I) / 45 Seattle / 46
- PIOTR MATYWIECKI Msza / 47 Nawrócenie / 48
Dom otwarty / 49 Chlebniok / 50 *** (Sekunda świata po...) / 50
- MIROŚLAW DZIĘŃ O mądrym i wielkim Duchu (Przyczynek do rozważań nad Diablem) / 51
- ZBIGNIEW JANKOWSKI Suma / 75 Twarzą w Twarz / 76
Wielkie tło / 76 Sen. Pisał się wiersz / 78
- KAZIMIERZ NOWOSIELSKI Nicoczywistość / 79 O świcie / 80
Wędrowiec / 81 Powiedzieć / 82 *** (To co najukochańsze...) / 82
- Po co piszę?*
- ZBIGNIEW JANKOWSKI Od nic po Nic / 83
- KAZIMIERZ NOWOSIELSKI *** / 84
- OLGA LALIĆ Dym cienia / 87 Ona / 88
- CEZARY DOMARUS ASPIRYNA. wic / 89 +23°C / 90
Mury Itaki / 90
- RAFAŁ SŁAWNIKOWSKI *** (który to już raz...) / 91
*** (pickło się zaśmiewa...) / 92

Varia

- MICHAŁ GŁOWIŃSKI Z czerwonej masy rączka / 93
ALEKSANDER JUREWICZ Zapiski ze stróżówki (11) / 103
JULIAN KORHAUSER Dziennik poetycki (2) / 106
GRZEGORZ MUSIAŁ Dziennik bez dat (6) / 117
LESZEK SZARUGA Lekturnik (1) / 123
ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ Ujrzane, w czasie zatrzymane (10) / 131

Recenzje

- KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Moje okolice / 139
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Hak nieba / 142
GRZEGORZ KALINOWSKI Tajemnica bólu / 144
PAWEŁ MAJERSKI Tematy nie mitologiczne / 147
SŁAWOMIR BURYŁA Księga, która pamięta / 150
WACŁAW LEWANDOWSKI Samotność w Iowa / 155

Noty / 160



Fot. Elżbieta Lempp

Czesław Miłosz

„Ja”

Przedziwne siebie kochające Ja, mężczyzn i
kobiet, adorujące siebie w lustrze.

Ile kremów, farbek, pomadek, krochmalu koszul, żeby
wydało się sobie znakomite i zajaśniało.

Ale tuż za nim krzątają się teatralne kosmetyczki
Czasu, kładą cienie zmarszczek w kątach
oczu, dorysowują ustom wyraz goryczy.

Posypują popiołem włosy, zmieniają co własne
w bezimienną maskę.

Lustro dogasa, oczy ledwo widzą, jak trudno
uwierzyć, że dla aniołów możemy być jednorazowym
zdarzeniem, nie cyfrą w wypełnieniu powszechnego
prawa.

Najniewątpliwiej tamtych dwoje w Raju było
jednorazowym zdarzeniem.

Pomyślcie tylko! Nie podlegać żadnemu prawu
przemijania.

Ani prawu przyczyny i skutku.
Ani prawu niezgody między wolą i ciałem.

Nie było Ja. Było zapatrzenie.
Ziemia dopiero co wydobyta z odmętu.
Trawa jaskrawo zielona. Brzeg rzeki, tajemniczy.
I niebo na którym słońce znaczy miłość.

Czesław Miłosz

90 - LECIE MIŁOSZA

Krzysztof Myszkowski

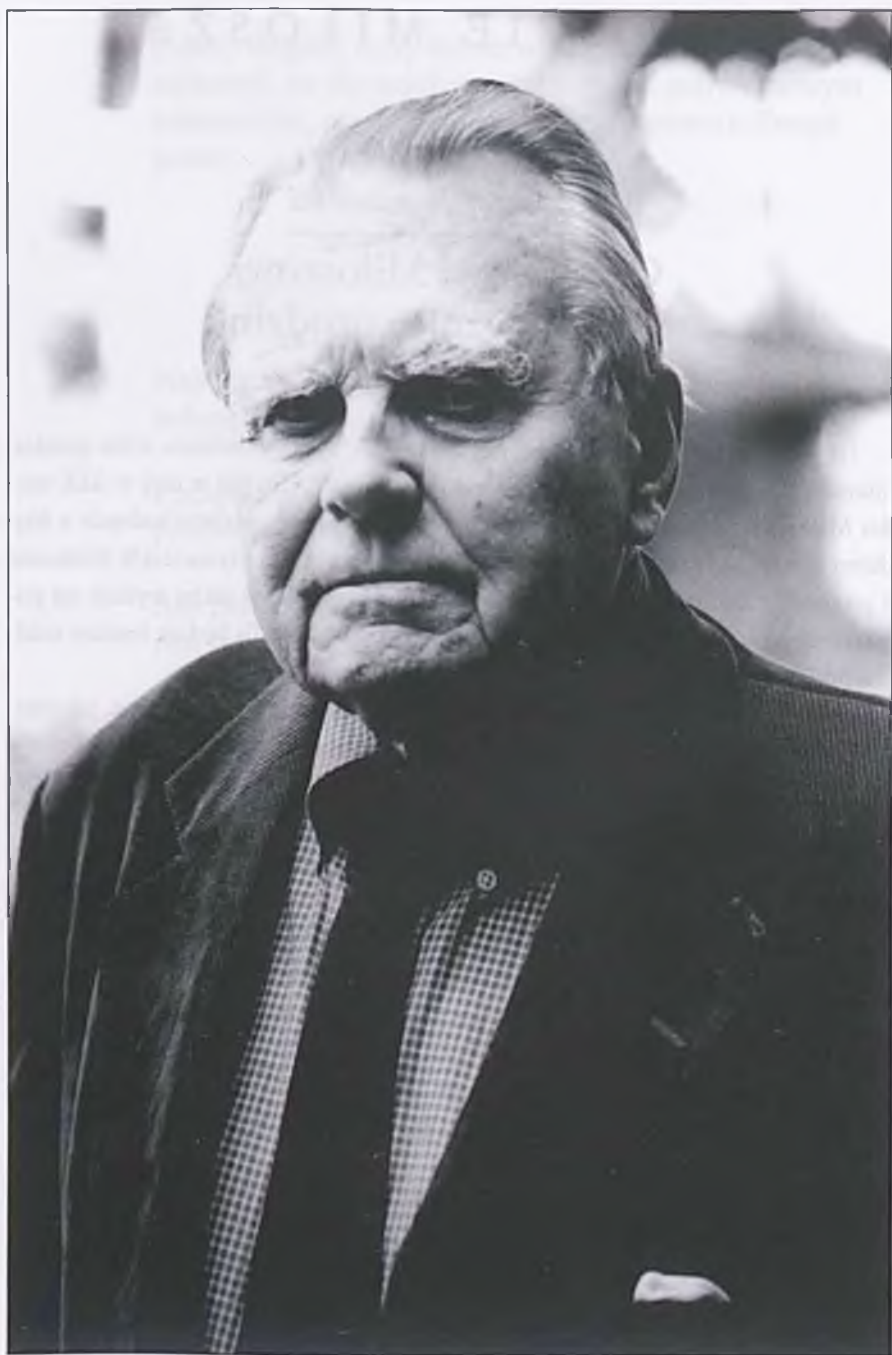
Czesławowi Miłoszowi w 90. rocznicę urodzin

To wielki dar i łaska, że Miłosz jest wśród nas! Nie wyobrażam sobie polskiej literatury XX wieku bez Miłosza: jest on w niej tym, kim był w niej w XIX wieku Mickiewicz. A teraz jest Miłosz nowy, dalszy: autor porównywalnych z *lirykami lozańskimi* wierszy napisanych na przelomie wieków i tysiącleci w Krakowie i pisanych dalej, na progu XXI wieku, które układają się w jakby wyższy od poprzedniego tomiku rejestr, chociaż wydawało się, że po *To* będzie bardzo trudno pójść dalej.

Trudno jest, obserwując to wszystko z bliska, rozumieć, co się dzieje, jak wielkich wydarzeń i przemiany jesteśmy świadkami, w skali poezji polskiej i światowej. Liryki ostatniego okresu, tak zwane *liryki krakowskie* zostały włączone do dzieła jako potrzebna część całości. Dziewięćdziesięcioletni Miłosz dopełnia swój czarodziejski rejestr: jego hold Niepojętemu zbliża się do kulminacji. Kto tak jak on mówi we współczesnej poezji o powadze rzeczy ostatecznych i kto tyle co on z nich rozumie? Jakby przekroczył *TO*, przeszedł na drugą stronę kamiennego muru i odezwał się *s t a m t a d*. Mistrz pokonanej rozpacz. Karmi nas piolunem i miodem swoich wierszy, kreśli linie jasne i mocne, prowadzi w górę bardzo stromymi ścieżkami.

W dzień jego 90. urodzin serdecznym kręgiem otaczamy wieszczka, dziękujemy za obecność i życzymy jeszcze wielu lat tak płodnej i pożytecznej pracy.

Krzysztof Myszkowski



Fot. Elżbieta Lempp

Julia Hartwig

Poeta nie tylko poetów

Dla kogo pisana jest poezja? I czy na pewno powstaje ona z myślą o tych, którzy ją będą czytali, a nie powstałaby gdybyśmy możliwości druku nie mieli? Jedno wydaje się pewne: że Czesław Miłosz nie pisał swoich wierszy dla poetów. Nie mógł jednak uniknąć tego, by go czytali. Nie widzę w tym żadnej szkody. Przeciwnie, myślę – choć brzmi to może jak herezja i sprzeciwia się naszym marzeniom o znalezieniu doskonałego czytelnika wśród ulicznego tłumu – że poeci są najlepszymi rezonatorami na wzruszenie i mistrzostwo wiersza, uczestniczą w nim bowiem nie tylko w sposób naiwny, z czystością jakiej wymaga od każdego czytelnika przystąpienie do lektury wiersza, ale poddają wiersz przeżyciu wyniesionemu z własnego poetyckiego doświadczenia. Zazdrościć poecie pięknego wiersza, to wcale nie hańbiące, każde człowieczeństwo boleje, gdy nie potrafi osiągnąć rejonów najwyższych i nie jest to tylko domena ambicji, ale czegoś znacznie poważniejszego, dotyczącego samego bytu. Nawet jeśli, wedle słów Baudelaire'a, prawdą jest, że: „Nie dość zwracano uwagi, na to, że w sztuce udział woli człowieka jest mniejszy niż można by przypuszczać” – co zwalniałoby nas z części winy za naszą nieudolność lub wynagradzało za to, co niekonicznie jest naszą zasługą.

Zdarzają się poeci wielcy, szanowani głównie przez innych poetów, są i tacy, którzy, zyskali sobie popularność wśród czytelników, a zostali całkowicie zignorowani przez środowisko poetyckie. Wielkim poetom na ogół się to nie zdarza. Wcześniej czy później uznają ich twórczość jedni i drudzy i to właśnie przydarzyło się Miłoszowi. Uznany został i wyniesiony na Olimp nie później, ale właśnie w c z e - ś n i e j, w samą porę, by zażyć mógł jeszcze smaku, jaki niesie z sobą powszechny podziw, by nacieszyć się mógł sławą swojego nazwiska i świadomością, że poezja jego jest poszukiwana. Oszczędzona Mu też została gorycz jałowości, zatruwająca niektórym mistrzom późne lata. Spokojnie kroczy nadal swoją poetycką drogą.

Co do mnie, zawsze z niecierpliwością czekam na nowe wiersze Czesława Miłosza, którego twórczość, podobnie jak twórczość Józefa Czechowicza, towarzyszyły mi od wczesnej młodości.

Julia Hartwig

Joanna Pollakówna

Głos Miłosza

Dla Czesława Miłosza mam głęboką cześć za Jego wielki format – poetycki, myślowy, ludzki. Za niezmiernie rozległy widnokrąg, jakim ogarnia kwestie literackie i filozoficzne. Miłosz stworzył ogromne dzieło poetyckie, w którym piękno słowa, intonacji, obrazu, łączy się z wyjątkową nośnością intelektualną.

Swoje doświadczenie życiowe umiał Miłosz przetopić – na ogół bez toksycznych odpadów – w doświadczenie intelektualne. Rozterki moralne, przeżywaną historię, gruntowną wiedzę humanistyczną – wszystko to przemienił, potężną pracą intelektu w oryginalne literackie tworzywo.

Królewsko szczodry w pochwalę, zdradzał też zawsze wobec niektórych postaw pisarskich zdecydowane odrazy i niechętnę obojętności. Zapewne – czasem niesprawiedliwe. Ale w wielkości Miłosza jest coś ze znającego swój kierunek żywiołu. Nie można domagać się, by żywioł kierował się wyłącznie sprawiedliwością. Ponieważ zaś Miłosz jest żywiołem potężnym i głębokim, okazał się odporny na skaleczenia zadawane Mu przez ludzkie osądy i – co budzi nie mniejszy respekt – odporny na niebezpieczną próbę sławy. Trwa prosty i suwerenny.

Starość ma imponującą. Poruszający z niej robi u ż y t e k komponując wiersze, przy czytaniu których przychodzi mi na myśl słowa Rilkego: „Ach, poezje to takie nic, kiedy się je pisze za młodu. Powinno się z tym czekać i gromadzić sens i słodycz przez całe jedno życie i to długie o ile możliwości. (...) Poezje nie są bowiem, jak ludzie sądzą, uczuciami, (uczucia miewa się dość wcześnie) – są doświadczeniami. Gwoli jednej strofy trzeba wiele miast zobaczyć, ludzi i rzeczy...”.

Chociaż trudno jest przewidywać losy poezji, to jedno zdaje się pewne: głos Miłosza, to szorstki, to czuły, to gniewny, to ironiczny, zawsze głębokodzwonny, będzie brzmiał nam w uszach, póki naszego życia.

Joanna Pollakówna

Stanisław Lem

Nioceniony Panie Czesławie,

Tym razem tą drogą ślę Panu najpotężniejsze życzenia zdrowia i wytrwałości, ponieważ reszta leży nadal w Pana siłach.

Z najszczerzszymi urodzinowymi życzeniami ośmielił się skreślić te słowa

Stanisław Lem

Jan Józef Szczepański

Wielce Szanowny i Drogi Panie,

przyczyna kalendarzowej daty, jakkolwiek godna szacunku i uwagi, nie jest, w moim przekonaniu, wystarczającą do składania gratulacji. Jednakże w tym wypadku jest to okres szczególnie ważny. Okres wielkich osiągnięć życiowych.

Pragnę więc wyrazić Panu mój podziw i moją wdzięczność za to, czym wypełnił Pan te liczne lata. Nagroda Nobla, jakże zasłużona i słuszna, jest dzięki Panu wyróżnieniem poezji polskiej – jednego z najciekawszych i najpiękniejszych głosów światowej kultury. Dzięki miejscu urodzenia i miejscu spędzenia lat dziecięcych i młodzieńczych, jest Pan bliski tradycji I Rzeczypospolitej, o której dzisiejsze młode pokolenia już niewiele wiedzą. Jest więc Pan, niezależnie od doświadczenia naszych czasów, kontynuatorem tej wielkiej tradycji. Niech trwa. Niech się dalej rozwija. Tego Panu życzę.

Jan Józef Szczepański

Jan Błoński

Pisać całym sobą

Miłosz tak pisze o literaturze, jak pisze literaturę. Między jego wierszem a prozą nie ma wcale pęknięcia. Przechodzi spontanicznie od wspomnienia dzieciństwa do intelektualnej dywagacji, od religijnego wyznania do historycznej anegdoty, od czystego zachwytu leśnego dziecka do samokrytyki profesora, którym się stał z przypadku losu. Czasami cierpi na tym nie tyle logika wyvodu ile pamięć czytelnika, któremu pisarz wszystkie szufladki mózgu pootwierał jednocześnie. Rysuje się tak szczególnie prawdziwy wyraz. Miłosz posiada umiejętność pisanego całym sobą, nie zaś erudycją osobno, wrażeniami osobno, plcią osobno i osobno intelektem. Jego pisma uwidoczniają zdolność słownej totalizacji doświadczenia, zebranego przez osobowość tak bogatą, że zawsze zagadkową i nieraz denerwującą. Maskuje ona – na pół przez dyskrecję, na pół przez przekorę – to, co najważniejsze i najgłębiej skryte; obnaża się zaś przez zestawienia, opozycje, niespodziewane skojarzenia. Prawda tej poezji objawia się kontrapunktem emocji i refleksji, pamięci i marzenia, historyczności i naturalności, Wschodu i Zachodu, prowincjonalności i awangardyzmu. Tak na przykład w szkicu o Tiutczewie, który lubił mieszkać zagranicą, ale w Rosji widział zbawicielkę świata; jak Gałczyński a nie Broniewski został ulubionym poetą polskich lat pięćdziesiątych. Tak na przykład, czy ma sens układanie podręczników polskiej literatury dla cudzoziemców (Miłosz taki napisał) oraz czy Litwin (w dziewiętnastowiecznym rozumieniu tego słowa, które przetrwało przecie do młodości Miłosza) jest Polakiem, a jeśli jest, to jak i dlaczego. Mowa jeszcze o wielu różnych sprawach. A przecie z tej arabskiej spowiedzi rysował się jasno rodzaj obowiązku, jakim było dla człowieka, od dwudziestu lat przebywającego na emigracji, uprawianie poezji w języku polskim.

Jest w tej twórczości sporo, niemal świat cały. Napaść na Sartre'a i nadsekwańskich lewaków, której przykłaśnie wielu intelektualistów nadwiślańskich, niezależnie od poglądów. Także wykazanie, że odczucie przyrody kształtował w Polsce pisarz całkowicie w Ameryce zapomniany, którego i ja przecie czytywałem w dzieciństwie, co prawda z mniejszym niż Miłosz zapalem – mianowicie Mayne Reid. Dalej – wspomnienie o Marianie Zdziechowskim, religijnym pesymście i katastroficznym liberalu: wileński rektor, chociaż niedoceniony, nie rozumiany przez swoich studentów, odniósł jednak – jak się okazuje – dyskretnie za grobem zwycięstwo. Dyskusja z Gombrowiczem, gdzie i Miłosz sam się znakomicie okre-

śla: „ujmując to jak najkrócej, co mnie fascynuje, to jabłko: zasada jabłka, prawidłowo jabłka, jabłkowatość sama w sobie. Natomiast u Gombrowicza nacisk jest położony na jabłko, jako na fakt psychiczny, na odbicie jabłka w świadomości. Prawdopodobnie te dwa usposobienia wyznaczają zasadniczy podział w dziejach ludzkości”. Niby żart, ale różnica uchwycona doskonale. Dalej artykuł o Eliocie, Kawafisie, Oskarze Miłoszu, nauczycielach wieku dojrzałego. O losach Apolla Korzeniowskiego, losach arcy polskich, arcykresowych, arcyszlacheckich. O Sienkiewiczu odepchniętym... Słowem o całym świecie!

Ale najwięcej i najcelniej – o własnej poezji; pokazuje ona jednolitość umysłu, który escejuje tak, jak pisze wiersze, nie słucha żadnych reguł i nie respektuje zwyczajów i nakazów, obowiązujących w intelektualnym „towarzystwie”, ale zarazem nie przestaje drążyć i wyjaśniać swoich lirycznych natchnień, poetyckich natręctw i ambicji. Substancja w wierszach ta sama co w esejach, zgęszczenie tylko i zapach odmienny, mocniejszy. Z wędrówki po zdarzeniach, społecznościach, krajobrazach, które wszystkie zapadły w obcość i niebyt, powstać ma fundament pod budowę ładu i prawdy, którą – wbrew nastrojom wieku – winna pozostać poezja. Tu widać, że zamiar Miłosza przypomina Eliotowskie „budowanie z niemożliwości, z braku, z gruzów”. W imię rzeczywistego jabłka i rzeczywistego Boga, który to jabłko utrzymuje w trwaniu, zapewnia mu obecność, byt. Tylko że historia obesza się surowiej z autorem *Traktatu poetyckiego*, niż z twórcą *Ziemi jałowej*.

Dzisiaj polityka wydaje się prawie nieobecna w tej myśli. Widnokrąg doświadczenia zognomiał tak bardzo, że żale i swary, przeczucia i pomyłki pomniejszyły się do listka na obrazie van Eycka. Czyż nie przez trzy wieki i przez trzy kontynenty wędrował człowiek, zrodzony w wiosce nad Issą, dojrzały między Wilnem, a Paryżem, wkorzeniony w Wilno, Kalifornię i Kraków jednocześnie! Toż to tak, jakby z kart *Nad Niemnem* przenieść się w psychodeliczne widowisko... W końcu poeta zostaje sam na sam z dzieciństwem, z przyrodą, którą ludzie niedłwie porzucili, wskazując w technikę, z historią, której doświadczeń nie potrafi, przekazać ani on, ani nikt, z Bogiem wreszcie, którego musi wielbić pod niepojętymi wizerunkami. Przyznaje się do pychy, do grzechów rozmaitych, do porażki... porażki nieuchronnej, dzielonej ze wszystkimi.

Czytelnik rozpozna łatwo tematy, które przez dziesięciolecia rządziły liryką Miłosza. Krytyk śledzić musi ściąg wyobraźni, która rozumuje obrazami, czuje intelektualnym skrótem. Historyk uprzytomni sobie wielorakość inspiracji, jakie miała budzić taka twórczość. Wszyscy pomedytują chwilę, zamilkną.

Jan Błoński

Irena Stawińska

Zamiast uroczystych życzeń dla Czcigodnego Jubilata!

„Czcigodnym Jubilatem” przeżywa Cię świat
(literacki) – naliczywszy Ci ileś tam lat,
Tak wielu że już chyba z hojną dokładką –
(nie wymawiajmy jednak – bo i pisać hadko!)

Więc zamiast komplementów – przyjmij zaproszenie
Do krainy młodości, gdzie nasze korzenie –
Do kraju tego, co zawsze zostanie
Dobry i czysty „jak pierwsze kochanie”,
Na podwórzec naszego Uniwersytetu,
Do Koła Polonistów w malutkim podwórku,
Na Zdziechowskiego profetyczne mowy,
Na literackie gusła do celi Konrada
(gdzie poetycki Olimp dostojnie zasiada)
Latem – nad Narocz – jak zwykle pod żagle
(gdzie wyróciłam kiedyś żaglówkę, bo nagle
zerwała się wichura) – a na narty zimą,
Bo zawsze, jak pamiętasz, śnieg się długo trzyma
No i na długie wieczorne rozmowy
(bo Wilniuk zawsze do gadki gotowy)
Więc do Ponar i Zakretu, Karolinek,
Nad Narocz i do Trockich jezior i wspominek...

Tę inwitację układa i pisze

Irena Orzeszkówka
z Wilna i Snipiszek

Jedna taka,
co zapamiętała dobrze
pewnego Zygmuncinka...

Irena Stawińska

Aleksander Fiut

 Pewien debiut

W 1930 roku, w 9. zeszytcie akademickiego pisemka „Alma Mater Vilnensis” pojawiły się dwa wiersze nieznanego młodego poety, Czesława Miłosza – *Kompozycja* i *Podróż* (WI – 55,56)¹. Uwagę zwraca szczególnie pierwszy z nich. Ponieważ tekst jest mało znany, pozwolę go sobie w całości zacytować:

biała i barokowa złocona i kręta
 nawa leży i szumi
 żagle chorągwi zwinięte
 i wielkie chóry zawisłe pod kopułą
 drzewo ciemne dębowe zakulo

z chórów wysokich spojrzysz w tłumy
 tętnią spokojnie
 na brązowej ambonie mnich w brązowym habicie
z białym sznurem

kazanie ma o wojnie
 którą wiemy ze światem
 i długo bije we mnie echo:
 bracia moi śmierć jest wielkim grzechem

dzwony dzwony wybuchły
 pons christi pons christi
pons pons christi

rozdarły się kurtyny z trzaskiem
 patrzcie – jesteśmy w teatrze

pierwsza odsłona owoc i męskie ciało
 druga odsłona świeci nocą dostałą
 trzecia uderza z łoskotem w oczy nam
 i miłość sentymentalną rzuca w chaosie płam.

Wiersz zaskakuje zarówno swoim tematem, jak też sposobem jego potraktowania. Uderza dążenie do maksymalnie dokładnego opisu, dbałość o odwzorowanie w języku rzeczy widzialnych i dotykalnych, wrażliwość na szczegół a zarazem

¹ Cytaty z dzieł Czesława Miłosza, tutaj przytoczone, lokalizowane są następująco: *Rodzinną Europą*, Czytelnik, Warszawa 1990 – RE; *Wiersze*, t. 1-3, Wydawnictwo Znak, Kraków 1993 – W; *Wypisy z ksiąg użytecznych*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1994 – WKU; *Piesek przydrożny*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1997 – PP; *To*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000 – T (cyfra wskazuje stronicę).

– skłonność do nadawania potocznej obserwacji znaczeń uniwersalnych, równoważenie poetyckiego obrazu dyskursem, intelektualny i estetyczny rygor, wreszcie łatwość zamykania myśli w celne i zapadające w pamięć formuły. Poeta pozostawił na uboczu zarówno tradycję „Skamandra” i Krakowskiej Awangardy, jak też wzór Czechowiczowski. Nie wabi go ani opiewanie biologizmu mieszkańców przedmieść, ani dialogi z mitami romantycznymi, ani opiewanie fiołkowych czarów młodości wiosny, ani upajająca zmysłowo egzotyka Wschodu. Ale obce są mu także napięte do ostateczności międzysłowne związki znaczeniowe, metafory zamienione w intelektualne szarady czy złowróżbne katastroficzne pejzaże. Owszem, od swoich starszych kolegów sporo się nauczył. Jednakże od najbliższej tradycji literackiej oddziela go najwyraźniej powaga podejmowanych zagadnień oraz intelektualne ambicje. Ponadto: mimetyzm oraz podporządkowanie wielorakości i wielostronności oglądu rzeczywistości polifoniczności wypowiedzi, polifoniczności sygnalizowanej tyleż cytatem, co zmiennością osoby gramatycznej.

Korespondencja Miłosza z Jarosławem Iwaszkiewiczem dowodzi, że w parze z daleko posuniętą samoświadomością szły u młodocianego autora niepewność w ocenie plodów własnego pióra oraz wewnętrzne rozterki. Już w pierwszym liście do wziętego Skamandryty, datowanym na 30 listopada 1930, a zawierającym wśród innych juveniliów cytowany wyżej wiersz, wyrażał wątpliwość, „czy są to rzeczy dobre, czy tylko dowodzą pewnej kultury literackiej”, dodając: „Zdanie Pana będąc uważał za rozstrzygające o tym, czy mam nadal traktować poważnie swoją pracę literacką”². W następnym liście, z 11 grudnia 1930, precyzyjnie charakteryzował zasadniczy dylemat własnego pisarstwa: „Kwestia pisania jest dla mnie bardzo ważna. Chwytam się tego jedyne go sensu, jak tonący brzytwy. Poza tym nie mogę ułapić rzeczywistości; świat po prostu przecieka mi przez palce. Nic nie mogę mieć – nawet żadnego rzeczywistego uczucia. To jest wstrętne, tym bardziej, że jakieś niedojrzałe. Oschłość, nienasycenie – ale nie Witkacowskie – bo brak intensywności w przeżywaniu. Stosunek do przeżyć jak do materiału wizyj estetycznych i zarazem tęsknota do kultu życia samego w sobie, do zwyczajnych odczuwań”³.

Zarysowujące się w *Kompozycji* napięcie nie tylko pomiędzy językiem poezji a wielowarstwową złożonością wszechrzeczy, ale także pomiędzy potrzebą uchwycenia „życia samego w sobie” a wymogami estetycznego porządku (skąd zapewne tytuł wiersza) jest tym bardziej dotkliwe, że wydaje się ona być próbą opisu doświadczenia młodzieńczego zwątpienia religijnego. W słowach: „jesteśmy w te-

²Biblioteka IBL PAN Rps. Zb. Wl. 169/1.

³Tamże.

atrze” pobrzmiwa nie tylko chełpliwa дума z bezlitosnego odkrycia, ale też rozpacz utraty. Jeśli bowiem rytuał mszy uznać za rodzaj widowiska, powrót do naiwnej, żarliwej wiary staje się niemożliwy, a w każdym razie niezwykle trudny. Co więcej, tego rodzaju odkrycie skłania do innego spojrzenia na samą religię. Tak przynajmniej, hipotetycznie i w dużym przybliżeniu, można wytłumaczyć trzy odsłony: pierwsza, „owoc i męskie ciało” zdaje się odsyłać do sceny z rajskiego ogrodu, popełnienia grzechu pierworodnego; druga obrazuje zapewne skutki owego grzechu, pogrążenie świata w mocy ciemności. Najbardziej zagadkowy wydaje się sens trzeciej odsłony. Co ona przedstawia? Czasy obecne, wypełnione zgiełkiem doznań i zamieniające przykazanie miłości w jego blade odbicie, w „miłość sentymentalną”? Jakkolwiek by te odsłony odczytać i zrozumieć, jedno wydaje się pewne: obrazują one dotkliwość metafizycznego wykorzenia, a także desakralizację religijnych symboli.

Jest rzeczą zdumiewającą, jak dalece opisana scena przypomina doświadczenie przedstawione przez Gombrowicza w *Pornografii!* Jej główny bohater, podczas wiejskiej mszy, na którą zabrał swojego niewierzącego współtowarzysza, Fryderyka, spostrzega nagle, że „Kościół przestał być kościołem (...) byliśmy gdzieś w kosmosie, zawieszeni z naszymi świecami i naszym blaskiem, i tam gdzieś w bezmiarach wyczynialiśmy te dziwne rzeczy ze sobą i pomiędzy sobą, podobni małpie, która by wykrzywiła się w próżni. Było to szczególnie drażnienie się nasze, gdzieś, w galaktyce, ludzka prowokacja w ciemnościach, dokonywanie dziwnych ruchów w otchłani”⁴. U obydwu autorów podobne jest doznanie nagłości tego doświadczenia, jego walor rewelatorski, przeniesienie z konkretnego miejsca i z przestrzeni sakralnej w przestrzeń zdesakralizowaną, symbolizowaną przez ciemności. Jednakże podczas gdy Gombrowicz, zgodnie ze swoim wyobrażeniem kościoła międzyludzkiego, umieszcza w tej innej, obcej przestrzeni jednostki uwikłane we wzajemne relacje, bohater Miłosza pragnie jedynie podzielić się doniosłością swojego odkrycia ze zbiorowym adresatem, którym tyleż mogą być wierni, wypełniający kościół, co, pośrednio, czytelnicy. W *Pornografii* wtargnięcie ciemności kosmosu we wnętrze kościoła zostaje spowodowane poprzez samą obecność niewierzącego, którego „modlitwa była tylko parawanem, zasłaniającym bezmiary jego niemodlitwy”⁵, obecność, podważającą sens sakralny obrzędu oraz przeistaczającą mszę w groteskowy i absurdalny teatr. W *Kompozycji* jaskrawość owego przejścia jest tym bardziej widoczna, że poprzedza je moment Podniesienia (odzywają się dzwony, a kilkakrotnie powtórzone słowa „pons

⁴ Witold Gombrowicz, *Pornografia*, Instytut Literacki, Paryż 1970, s. 21-22.

⁵ Tamże, s. 20.

christi” naśladują dzwoneczki). Ponadto rozdarcie się kurtyn daje się odczytać jako aluzja do rozdarcia się zasłony w świątyni jerozolimskiej w momencie skona-
 nia Chrystusa. Jest zatem tak, jak gdyby śmierć Boga zapowiadała śmierć wiary.

Komentując wspomnianą wyżej scenę z *Pornografii* Jan Błoński napisał: „Doświadczenie otchłani ma niewątpliwie znamiona obcowania z tajemnicą, z nieokreślonym *sacrum*. Budzi głęboki lęk, przyciągając zarazem i fascynując. Domaga się nie tyle powtórzenia, ile uszanowania. Stale każe o sobie myśleć, nadając kierunek duchowemu trudowi Gombrowicza. *Ślub, Pornografia, Kosmos*, o czym mówią, jeżeli nie o tym budowaniu rzeczywistości przez umysł pozbawiony boskich gwarancji i zdany na samego siebie?”⁶. Warto zwrócić uwagę, że u Miłosza już sam rytuał kościelny zawiera w sobie sprzeczne ze sobą elementy. Bo pozostając w zgodzie z dogmatyką katolicką można, od biedy, wytłumaczyć słowa mniacha o „wojnie, którą wiemy ze światem”. Jak jednak uzgodnić z fundamentalnymi założeniami chrześcijaństwa twierdzenie, iż „śmierć jest wielkim grzechem”? Jak wiadomo, śmierć jest Bożą karą za grzech pierworodny. Grzechem może być jedynie śmierć zadana sobie lub bliźniemu, nie zaś każda śmierć. Krótko mówiąc, podejrzenie, że świat jest siedliskiem grzechu i śmierci, najwyraźniej pobrzmiewa przekonaniem, którymi sycił się już wówczas „gnostyk, marcjonita, /sekretny zjadacz trucizn manichejskich” (*Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* W II 291). Czyżby zatem – podobnie jak w rytuał mszy wplecione zostały obce mu formuły łacińskie (słów *pons christi* nie ma przecież w liturgii katolickiej) – także w homilię wkraadały się heretyckie elementy? W każdym razie owo naruszenie religijnego kanonu wolno uznać za stopniowe przygotowanie, jak gdyby wstęp do mającego wkrótce nastąpić aktu desakralizacji.

Przeceniam, nierzadko nieudolne, młodzieńcze próby Miłosza? Nadinterpretuję jego juvenilia? Być może. Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że widziany jakąś genialną intuicją, wybiegającym daleko w przyszłość przeczuciem – zapewne nie do końca świadomie – poeta, już swoim pierwszym wierszem, wytyczył najważniejszą drogę swoim poetyckim poszukiwaniom. Zawarł w *Kompozycji*, jak już miałem o tym okazję pisać⁷, w formie skondensowanej i w błyskawicznym skrócie, najważniejsze swoje tematy, a także najbardziej zasadnicze założenia własnego języka poetyckiego. Zaryzykuję twierdzenie, że w przedwojennej twórczości odszedł od owej drogi, bądź kuszony – w *Poemacie o czasie zastygłym* – społeczno-polityczną problematyką i doraźnym zaangażowaniem w spra-

⁶ Jan Błoński, *Gombrowicz i rzeczy ostateczne* [w tegoż:] *Forma, śmiech i rzeczy ostateczne. Studia o Gombrowiczu*, Kraków 1994, s. 216.

⁷ Zob. Aleksander Fiut, *Debiut Miłosza – po latach*, „Życie Literackie” 1981, nr 41.

wy bieżące, bądź ulegając, w *Trzech zimach*, mrocznym, zagadkowym, wieloznacznym, symbolistycznym wizjom, które podyktował mu dajmonion. Dopiero od *Głósów biednych ludzi* ponownie podejmie i będzie stopniowo wzbogacał o różne od-cienie oraz rozwijał przeczyte i naszkicowane w *Kompozycji* fundamentalne dylematy. Stopniowo także udoskonali ledwo tam zaznaczone możliwości poli-fonicznej wypowiedzi poetyckiej.

Echa zagadnień, które stały się przedmiotem refleksji w *Kompozycji* łatwo od-naleźć w całej dalszej twórczości Miłosza. Co dodatkowo przemawia za tym, że przedstawione tam doświadczenia miały dla poety znaczenie zasadnicze. Niemal jak prozatorski wariant *Kompozycji* brzmi fragment *Rodzinnej Europy*, w któ-rym Miłosz wspomina swój udział we mszy świętej w kościele św. Jerzego w Wil-nie. Odczuwał wówczas, jak powiada, nienawiść do bezmyślnego tłumu „małp”, dodając: „Wzbijałem się na jakąś boską wysokość i trwałem nad nimi jak nad pre-paratem. Rodzą się, sekunda, umierają i żadnego śladu”. Zadawał sobie pytanie: „Religia jest rzeczą świętą, jak to być może, żeby ich Bóg był jednocześnie mo-im Bogiem?”. Komentując zaś po wielu latach swoje młodzieńcze bunty, zwraca uwagę, że splatały się w nich motywy sprzeczne: „Smak niezależności, wstręt do wszelkiej hipokryzji, obrona wolności sumienia szły w parze z intelektualną aro-gancją z przekonaniem, że rozumiem więcej niż ktokolwiek, i ze wstydliwą tro-ską o czystość” (RE 85-86). Niemalą rolę odgrywał także charakter polskiego ka-tolicyzmu, religia zmieniona pod naciskiem wiekowej niewoli w „siłę społeczną, konserwatywną i konformistyczną” (RE 87). Podobne poczucie zasadniczej ob-cości w tłumie wiernych, bycia na zewnątrz dopada Miłosza w Szwajcarii. Jednak-że esej *Niedziela w Brunnen*⁸ – na którego szczegółową analizę brak tutaj miej-sca – przynosi nie tylko subtelny i niezwykle wnikliwy opis osobistych religijnych rozterek poety. Są one bowiem jedynie punktem wyjścia do namysłu nad trans-formacjami wyobraźni religijnej oraz związanymi z tym trudnościami wiary współ-czesnego człowieka.

Z biegiem czasu postawa Miłosza ulega widocznej zmianie. Na przykład zapis z *Nieobjętej ziemi*: „Kościół. Jedyne miejsce gdzie ludzie są zwrócenie nie do in-nych ludzi i nie są przy tym tylko widzami (jak są w teatrze)” – można by dopi-sać jako uzupełniający autokomentarz do *Kompozycji*. Natomiast dalszy wywód w tejże nocie: „Człowiek zwrócony twarzą do innych ludzi nigdy nie występuje całkowicie bez odruchów obrony” czyli spotkanie się oczu jest pojedynkiem

⁸ Pierwodruk „Kultura” (Paryż) 1954, nr 3; przedr. [w:] *Essaje*, wybór i posłowie Marek Zaleski, „Świat Książki”, Warszawa 2000.

dwóch podmiotów. Człowiek wobec *sacrum* nie musi się bronić. Był sens w pozycji kapłana” tyłem do wiernych, jako przewodnika chóru” (W III 211) – brzmi nieomal jak głos w dyskusji na temat cytowanego wyżej fragmentu *Pornografii*.

Jeszcze ważniejsze jest zderzenie w *Kompozycji* momentu epifanii (za nią przecież można uznać chwilę Podniesienia) z jej negatywnym, zaprzeczonym odbiciem, które proponuję nazwać ciemną iluminacją. Epifaniczność stanowi według Miłosza – co pierwszy spostrzegł i precyzyjnie opisał Błoński⁹, a za nim rozwinął Ryszard Nycz¹⁰ – najgłębszą istotę poezji. Sama zaś epifania jest rozumiana przez poetę jako „jedna chwila uprzywilejowana, w której następuje intuicyjny uchwyt głębszej, bardziej esencjonalnej rzeczywistości, zawartej w rzeczach czy osobach” (WKU 17). Jednakże już *Kompozycja* świadczy o tym, że owa „chwila uprzywilejowana” nie musi być wcale jedynie momentem zachwytu, olśnienia nieprzebrany bogactwem i urodą istnienia. Może być także czarną dziurą w barwnej zaslonie bytu, dziurą, za którą ziele nicość.

Zastanawia uporczywość, z jaką w całej poezji Miłosza powracają opisy owych ciemnych iluminacji. Stanowią jak gdyby przeciwagę chwil epifanicznych, ale zarazem – w znacznym stopniu są do nich podobne. Analogicznie jak epifanie pojawiają się nagle (użycie tego właśnie słowa zwykle je zapowiada) i w błahych okolicznościach. Mają charakter momentalny i wywołują wielorakie psychologiczne asocjacje. Także i w tym przypadku czytelnik zmuszony jest do, jak to określa Nycz, epifanijnego „przeskoku”, czyli uzupełnienia – domysłem, wyobraźnią – tych treści, które poeta jedynie sugeruje¹¹. Doznający ich przeżywa swego rodzaju wstrząs, obdarzony zostaje jak gdyby innym wzrokiem, sięgającym głębiej niż powierzchnia zjawisk. Jeśli jednak ogląda coś „oczyrna duszy”, to nie tyle metafizyczną istotę bytu, lecz, przeciwnie, jej zaprzeczenie. Chwilom tych iluminacji nie towarzyszy blask, lecz mrok. Budzą trwogę, nie zachwyty. Zamiast darzyć uczuciem wszechwypełniającego szczęścia, wtrącają w jałową pustkę.

Już w młodzieńczym wierszu Miłosza *Teatr pcheł* ludzi „nagle dotknęła wypukłość nieba/I spostrzegli swe wyciągnięte kształty (...) w soczewce, sklejonej z niebieskawych szkieł” spoza której, jak teatr pcheł właśnie, obserwują ich „miliony oczu” (W I 73) – mieszkańców kosmosu? zmarłych przodków? We *Wcielaniu* (W I 103) bohaterowi dana jest niespodziewanie przeraźliwa wiedza:

⁹ Jan Błoński, *Epifanie Miłosza* [w tegoż:] *Miłosz jak świat*, Kraków 1998.

¹⁰ Ryszard Nycz, *Miłosz: Bio-grafia idei* [w tegoż:] *Słowo współczesne. Problem konstrukcji tekstu*, Ossolineum, Wrocław Warszawa 1984.

¹¹ Opis składników poetyckiej epifanii zaczerpnałem ze studium Nycza: *Zamknięty odprysk świata. O twórczości Gustawa Herlinga-Grudzińskiego*, „Teksty Drugie” 1991, nr 1-2 przedr. [w:] *Herling-Grudziński i krytycy*. Antologia tekstów, wybór i opracowanie Zdzisław Kudelski, Lublin 1997.

Nagle wiadomo, czym jest tutaj nisko
 To trwanie: niby brzęk na głuchej strunie
 Nad grzęzawiskiem, gdzie podziemna praca
 Szeptów, chichotów ziemię przeistacza.

Ciemna iluminacja zdarza się jakby niezależnie od okoliczności zewnętrznych, wszakże rzeczywistość okupacyjna nadaje jej złowrogą konkretność. Stąd „nagły ogień nawiedzenia”, który dotknął bohatera z wiersza *Błądząc*, wypala jeszcze jedną wizję przemijania i przygodności ludzkiego żywota: „Te twarze ledwie są, już nie istnieją,/Dotknąć nie można, jak nie można lecących pocisków” (W I 149). W *Piosence wielkopostnej* „Buchnęło światło i zgasło/nad ciemną miłością własną” (W II 269). Bywa także, iż głębszym wejrzeniem we własne wnętrze, wtajemniczeniem we własne grzechy – na przykład „próżność i łakomstwo” (W III 196) – obdarowuje intymne zbliżenie z najbliższą osobą. Wzrok wewnętrzny może także ogarnąć z ponadludzkiej wysokości „nieobecność” Boga; „mocarstwo przeciw-spełnienia; karę utraconej na zawsze obietnicy” (*Tak było*, W II 189). Skąd rodzi się zasadne pytanie: „Komu nagle odślania się bezlitosna prawda istnienia, ten nie może nie spytać: jak to jest możliwe?” (*Nieobjęta ziemia*, W III 369).

W ostatnich tomach Miłosza znikają ciemne iluminacje. Jakby już pocie nie były potrzebne, spełniły swoje zadanie, zagnieździły się na dobre w jego najgłębszym „ja”. Wyraźniej natomiast daje o sobie znać niemożność czy niechęć wypowiedzenia przekazanej z nich wiedzy. Symbolicznego znaczenia nabiera tytuł rozdziału *Nieobjętej ziemi: Ciemne i zakryte*. Przed odsłonięciem zdobytej prawdy, co powstrzymuje? Nade wszystko litość dla skazanych, a nieświadomych. Jak powiada poeta: „nic nie upoważnia mnie/do wyjawiania rzeczy zbyt okrutnych dla ludzkiego serca” (*Przemilczane strefy* T 53). Pewną rolę odgrywa także obawa przed nieporozumieniem i wyrozumiałość dla tych, co wołą kojącą niewiedzę od porażającej wiedzy: „Wyjawiać, ale komu? Rodzą się, dorastają/w wielkiej przetrwie i nie chcą słyszeć co potem” (*Świadomość* W III 175). Ale równie istotna okazuje się zasadnicza niemożność zawarcia tej wiedzy w słowach. Stąd potrzeba nieustannego, cierpliwego i w istocie daremnego *Szukania*: „Odczucie, że m u s i być jakiś układ słów, w który zostałaaby schwyтана niejako esencja potworności poznanej w tym stuleciu. I czytanie pamiętników, wspomnień, reportaży, powieści, wierszy, zawsze z nadzieją i tym samym wynikiem: „To nie to” (PP II). Co sprawia czasami, że nie do końca wiadomo, jaka prawda w danym momencie przed poetą się odkrywa. Kiedy w wierszu z tomu *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* czytamy: „Natrafiłem na to przechodząc ulicą i wydało mi się to jak wyjawione ludzkie przeznaczenie” (*Natrafiłem na to* W II 229), możemy sens zaimka wskazującego rozumieć dwojako: jako epifanię bądź ciemną iluminację.

Podobnie w ostatnim tomie, nie przypadkiem zatytułowanym *To*. Tytułowy wiersz opisuje rozmaite odmiany ludzkiej udręki: samotność bezdomnego; grozę człowieka zaszczutego jak zwierzę; porażenie obrazami nędzy, starzenia się i choroby; ból wywołany utratą bliskiej osoby; rozpacz wobec zapowiedzi nieuchronnej śmierci. Ale czy istotnie mowa o samotności, grozie, porażeniu, bólu, rozpacz? Takie przynajmniej, wielce nieudolne, nazwy zwykło się nadawać pewnym odczuciom. Tyleż w życiu codziennym, co w literaturze; w bliskiej i dalszej przeszłości historycznej, a także współcześnie; w literaturze faktu i w baśniowej przypowieści. Postać Żyda, który widzi „zbliżające się ciężkie kaski niemieckich żandarmów”, przywołuje wszak obrazy z ostatniej wojny. Piekło ludzkiej nędzy i upodlenia ogląda natomiast „syn króla”, który „wybiera się na miasto”. Bo też Zło rodzi się nie tylko w stosunkach międzyludzkich i wyrasta z drzemiącej w człowieczej naturze skłonności do zbrodni i okrucieństwa. Usadowione jest także, a może nade wszystko w samym porządku wszechrzeczy, zwłaszcza – w śmiercionośnej rozrzutności natury. Wobec jego wszechobecności słowo, także poety, ociera się o jęk, bezsilny belkot i milczenie. „Ponieważ TO oznacza natknięcie się na kamienny mur,/i zrozumienie, nie ten mur nie ustąpi żadnym naszym błaganom” (T 7-8).

O ile epifanie mają zazwyczaj, mniej lub bardziej jawny, charakter sakralny – niezadko wolno je uznać za akty łaski, dary Boże – o tyle ciemne iluminacje stanowią momenty pokusy, zdają się oddawać człowieka w pacht sił piekielnych. Owe iluminacje szyderczo przecież negują wyniesienia człowieka nad inne istoty (świat ludzki przypomina teatr pcheł), zaprzeczają sensowi trwania (jest ono, jak „dźwięk na pustej strunie”), brutalnie uzmysławiają przelotność i błahość człowieczej egzystencji oraz ograniczenia ciała, które musi podporządkować się prawom natury, wreszcie – roztaczają wizje rzeczywistości opuszczonej przez Boga. Jak pisał przenikliwie Błoński, diabeł objawia się w poezji Miłosza dwojako: „Najpierw jako doznanie pustki, marność, przygodność istnienia (...) jest figurą nicości, co sama z siebie szydzi i nad sobą rozpacza”. Zdaje się tym samym dowodzić bezsilności Boga. Ale „zła wola, tkwiąca w człowieku, budzi lęk przed predystynacją, strach jednostkowego potępienia. I ten strach właśnie jest dziedziną diabła wewnętrznego, diabła teologa”.¹²

Ów dwupostaciowy diabeł uparcie towarzyszy poecie. W *Wierszach dla opętanych* „rani pychę” (W I 59). Nawróconemu na katolicyzm kalwinowi szyderczo dowodzi: „Nie, panie bracie, nie będzie wieczności (...) Tobie i bydłu przypadek jednaki” (*Rozmowy na Wielkanoc* 1620, W 1193). Jest Oskarżycielem, który przypomi-

¹² Jan Błoński, *Diabeł w polskiej literaturze powojennej* (3), „Tygodnik Powszechny” 1986, nr 12.

nając o znikomości poetyckiej sławy, pyta z ironią: „Ty chciałbyś na rytuał oczyszczenia/Lud zgromadzony prowadzić między kolumny świątyni./Rytuał Oczyszczenia? Gdzie? Kiedy? Dla kogo?” (*Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, W II 294). Jest „duchem pustki” (*Pokusa*, W III 19), pouczającym o ulotności i marności pojedynczego życia. Jest „duchem ciemnym”, który przekonuje poetę, że całe jego życie, „było tylko ukrywaniem zła” (*Odstąp ode mnie*, W III 38). Nawet w ostatnim tomie, przyoblekając kształt złośliwego demiurga, podsuwa nierozwiązalny dylemat: „Albo nieme skały jak w pierwszym dniu stworzenia,/albo życie, którego warunkiem śmierć,/i to upajające ciebie piękno” (*Nad strumieniem* T 27).

Diabły Miłosza nie skłaniają do nagannych moralnie uczynków. Podsycają wprawdzie w poczcie pychę, przekonanie o jego, jako artysty, wyjątkowości, jedyności, niepowtarzalności, ale nade wszystko ranią oczy przeraźliwymi obrazami bólu i unicestwienia, podważając tym samym wiarę w to, że Stworzenie jest dziełem dobrego i miłosiernego Boga. Sferą ich działania nie jest etyka, lecz ontologia; są depozytariuszami nie tyle negacji, co nicości. Dokładniej: sfery, która, jak przyroda, pozostaje na wartości etyczne całkowicie obojętna. To właśnie diabły są władcami unicestwiającego Ruchu. I tym trudnej im się oprzeć. Poeta toczy przecię z nimi nieustanną walkę. Obrazom niezawinionej męki istot żywych przeciwstawia zapierającą dech w piersiach urodę istnienia. Przed unicestwiającą błahością pojedynczego życia chroni się w myśl o trwałości i pamięć o dobrych uczynkach. Na przemian dokonuje na sobie samym egzorcyzmów: „Odstąp ode mnie, duchu ciemny” (*Odstąp ode mnie* W III 38) i bluźni: „Przyzwoity człowiek nie może wierzyć, że dobry Bóg chciał takiego świata” (*Nieobjęta ziemia*, W III 213). Wciąż wewnętrznie rozdarty, modli się słowami: „W godzinie mojej agonii bądź ze mną Twoim cierpieniem/Które nie może świata ocalić od bólu” (*Modlitwa*, T 94). I szuka sojuszników: w „siostrach potężnego miłosierdzia, ratujących więźniów za kolczastym drutem” (*Odstąp ode mnie* W III 38), podobnych do tej, która go uratowała – jak to opisał w *Rodzinnej Europie* – z obozu pod Pruszkowem; Simone Weil, dla której Ukrzyżowaniem jest cały świat; w Jeanne Hersch, uczennicy Jaspersa, która broniła przekonania, że „rozum jest wielkim boskim darem” (*Czego nauczyłem się od Jeanne Hersch?* T 59); w Zdziechowskim „który wyobrażeniu świata jako bezładu i bezrozumu przeciwstawiał cud istnienia Boga; w Janie Pawle II”, który siłę swojej wiary czerpie z przeświadczeń polskich romantycznych poetów”, iż historią rządzi Opatrzność.

Oparcia szuka także w obrzędzie. Wpierw rozumianym jako poczucie zbratania, ugruntowane wspólnotą krajobrazu, kultury, poezji i języka, a sięgające nawet poza czas doczesny. Poemat *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada* (W II 268) zawiera znamiennej strofę:

A teraz jesteśmy złączeni w obrzędzie.
 W kryształach? W bursztynie? Muzykowanie.
 Ani to co było, ani to co będzie,
 Tylko to co jest, kiedy świat ustanie.

Myśl o tych, którzy minęli, którzy nas poprzedzili w ziemskim wędrowaniu, a z którymi łączy nas przekazywana z pokolenia na pokolenie pamięć, pozwala dostrzec także w poezji, wbrew jej kruchości, odmianę dogmatu o Świętych Obcowaniu. Poeta przywołuje zatem swoją młodość, powierza ją Bogu i uwiecznia w łańcuchu pokoleń. „Jak długo w obrzędzie (...) wzbija się dym (jego) słów” (W II 298).

W *Nieobjętej ziemi* Miłosza zdumiewa z kolei trwałość rytualnych strojów, gestów i słów, które opierają się przez tysiąclecia niszczącemu potokowi czasu. Ale także i to, że obrzęd uwalnia człowieka, choć na mgnienie, od przypadłości jego zwierzęcej natury. Dlatego ludzie są „wierni obrzędowi, że jest tak różny od nich/i unosi się nad nimi, nad ich ciepłem śluzowej błony,/Na niepojętej granicy umysłu i ciała” (*Świadomość* W III 175).

Nie jest zatem przypadkiem, że ostatni tom Miłosza zawiera wiersz pt. *Obrzęd* (T 86-87). Zdumiewa natomiast, że ów wiersz daje się odczytać jako swego rodzaju, dopisana po dziesięcioleciach, reinterpretacja młodzieńczych religijnych rozterek opisanych w *Kompozycji. Obrzęd*, przypomnę, przyjmuje formę intymnego dialogu poety z pełną wahania i wątpliwnością przyjaciółką nazwaną Bereniką, ale jest także, jak łatwo się domyślić, dialogiem wewnętrznym. Rytuał staje się tutaj synonimem spotkania ze sferą sakralną, nawet wówczas, gdy to spotkanie jest nieudolne, naznaczone ludzką słabością, nieuwagą, zaś prawdy wiary przerastają rozumienie i wyobrażenie, zwłaszcza współczesnego człowieka. Ten sam poeta, który w *Kompozycji* mszę świętą zamienił w widowisko tylko ludzkie, na wątpliwość Bereniki:

Uwaga nasza krótka (...) Moja myśl wraca, liturgii na przekór,
 Do lustra, łóżka, telefonu, kuchni,
 Niezdolna unieść miasta Jeruzalem
 Sprzed dwóch tysięcy lat, i krwi na krzyżu.
 – replikuje:
 Jednak szybujemy, chociaż obciążeni
 Zapachem sosów, krzykami z wąskich uliczek,
 Widokiem mięsa w sklepach rzeźniczych,
 Wzbijając się nad ołtarz, kościół, miasto,
 Obiegając wirującą ziemię.

Jeśli zatem „jesteśmy w teatrze”, to jest to teatr metafizyczny. Podniebny lot – wiary, świadomości, potrzeby dobra – unosi wiernych ponad ich zależność od

natury i od świata materialnego. Dlatego ten, który czuł się wyniesiony ponad bezmyślną rzeszę i wzgardliwie na nią spoglądał, teraz z cielesnej współobecności z innymi podczas mszy czerpie pociechę: „W tej samej ławce obok, ich świadomość,/Moja świadomość. Oto tajemnica/ Niemal miłosnej przemiany mojego «ja» w «my».” Ten, który w młodym wieku szukał współnictwa w poczuciu dumnego wyłączenia, apelując: „spójrz na tłumy” oraz w radykalnym odrzuceniu doznań religijnych („jesteśmy w teatrze”), pod koniec życia, przeciwnie, zwracając się do wątpiącej przyjaciółki, odrzuca pokusę pychy i znajduje swoje miejsce w zbiorowości wierzących. Dostrzegający niegdyś we mszy świętej wyłącznie pusty, społeczny rytuał, przywołuje słowa Chrystusa: „Jesteście solą ziemi, jesteście światłem ziemi” i przypomina o potrzebie adoracji. Silniejszej od religijnego zwątpienia, bardziej elementarnej i bardziej pierwotnej od wszystkich, historycznie zmiennych rytuałów. Wyrażającej afirmację najdrobniejszych, zmysłowo dotykalnych przejawów istnienia, a właściwiej – tego jego wymiaru, którego nieudolnie dotyka język teologii i język filozofii – na przykład Heideggera:

A może my zaczniemy adorować kamień,
Zwyczajny polny kamień, samo jego Bycie,
I odprawimy modły, nie otwierając ust?

Aleksander Fiut

Janusz Szuber

Czesławowi Miłoszowi
z urodzinowym pokłonem

Zapamiętane z dzieciństwa wylewy Sanu,
Mojej domowej narowistej rzeki,
W której chrzest brały tamte tłumy zmarłych,
Tak że Rudy Icek, przewoźnik, musiał pracować za czterech.

Do późnej wiosny pałace
Ze spiętrzonej na białogórskim brzegu kry,
Kiedy wsuwaliśmy się w lodowe labirynty,
Pod grube matowe płyty,
Przez które do środka wpadało dziwne światło.

W sobie zawsze przeciw sobie – trzynastolatek zatopiony w kryształ
Patrzę jak spławik nieruchomo płynie,
A wody Sanu, Niewiaży i Lety szumią taftami panny Teodozji.

Kiedy rozmawiam o Panu z moim przyjacielem
Broniem M. *my wszyscy z Niego* powtarza.
I choćbym chciał – nie zaprzeczę.
Tak, my wszyscy z Pana.

Janusz Szuber

Zofia Zarebianka

Krajobrazy pamięci

(Wilno i ziemia wileńska w późnych wierszach Czesława Miłosza.)

Na początek, przed podjęciem właściwego toku rozważań, trzeba spróbować odpowiedzieć na istotne dla ich dalszego kształtu pytanie: co to znaczy – „w późnych wierszach Czesława Miłosza?” Jeżeli dwa pozostałe człony tytułu zdają się w miarę zrozumiałe i nie budząc szczególnych wątpliwości, nie wymagają specjalnych wyjaśnień, to określenie „późne wiersze” owej semantycznej oczywistości jest pozbawione. Najpierw zatem, zanim rozwinie się nasz dyskurs, musimy ustalić, przynajmniej, w sposób czysto arbitralny, a zarazem zapewne – nie bezdyskusyjny, którym tekstem, ściślej, którym tomom, przydajemy na użytek tego szkicu miano „wierszy późnych”. Dodatkowo sprawę komplikuje fakt, że twórczość stanowiąca przedmiot naszych zainteresowań wciąż – Bogu dzięki – przyrasta, granica zatem owej „późności” przesuwa się z każdym nowo napisanym utworem.

Z różnych względów, mimo naturalnej płynności wskazanej granicy, wolno, jak sądzę, uznać za „wiersze późne” teksty powstałe w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Cezurą, w pewnym sensie czysto zewnętrzną, jest tu Nagroda Nobla z roku 1980 oraz przypadające wkrótce potem siedemdziesiąte urodziny, której to rocznicy oraz związanej z nią i odnotowanej poetycko przemianie świadomości dał wyraz w wierszu *Poeta siedemdziesięcioletni*, zamieszczonym potem w *Nieobjętej ziemi*. Sama przelomowość i historyczny charakter roku osiemdziesiątego ma tu dla nas jedynie takie znaczenie, że przemiany tamtego czasu otworzyły pocie możliwość podróży i faktycznego, nie zaś mentalnego jedynie, jak przez powojenne dziesięciolecia, odwiedzenia rodzinnych stron, co, być może stanowiło jeden z istotnych czynników nasilenia się obrazów, motywów i tematów ewokowanych już nie tylko przez wspomnienie, lecz przez konfrontację pamięci ze współczesną rzeczywistością tamtych ziem. Charakterystyczne dla twórczości poety antytetyczne napięcia nie pomijają sfery czasu; przenikanie się płaszczyzn czasowych, różnorakie napięcia między przeszłością a terażniejszością są konstytutywnym elementem Miłoszowego światopoglądu i mają zasadnicze znaczenie dla struktury poetyckiego świata – wewnętrznego ruchu racji i obrazów. Warto przy tym zauważyć szczególnie status „minionego” w tej twórczości: dzięki stałej obecności tego, co było w psychice bohatera, przeszłość najściślej należy do jego terażniejszości, trwa w nim i podlega jak gdyby aktualizacji, stanowiąc istotny fragment jego wewnętrznego „teraz”.

Konfrontacja ta stanie się dla Miłosza źródłem istotnych przemyśleń nie tylko historycznych, lecz – przede wszystkim – epistemologicznych, ontologicznych i egzystencjalnych i okaże się ważną inspiracją twórczą, ilustrującą i zarazem z pewnością wspomagającą wspomnianą powyżej „przemianę świadomości”, dokonującą się u progu starości, na początku lat osiemdziesiątych.

Przedmiotem naszego opisu będą zatem wybrane wiersze z pięciu ostatnich tomów poety: *Nicobjętej ziemi*, *Dalszych okolic*, *Kronik*, *Na brzegu rzeki* oraz *Pieśka przydrożnego*, który nie jest co prawda zbiorem wierszy w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, jednak mimo swej stylistycznej niejednorodności, daje się, mimo wszelkich oporów i zastrzeżeń skrupulatnych teoretyków, potraktować jako tom poetycki. Trudno byłoby zresztą znieść zrezygnować bez straty, z uwagi na ciężar pomieszczonych w nim tekstów, istotnych dla naszych penetracji.

Zintensyfikowany powrót myśli w strony ojczyzny nierozzerwalnie wiąże się we wszystkich wymienionych książkach ze znamionym dla dojrzałości i – szczególnie starości – zainteresowaniem przeszłością, z potrzebą podsumowań i rozrachunków z sobą i z czasem, z własną epoką i pokoleniem. Stwierdzenia powyższe uznaje się za psychologiczne truizmy, gdyby nie fakt, że znajdują się wśród ważnych racji upartego podejmowania przez Poetę szeroko rozumianej problematyki wileńskiej. Uwzględnienia ich domaga się także wierność tekstom, w których takie właśnie – banalne z pozoru i oczywiste wyznania – zajmują poczesne miejsce. Potrzeba ta zdaje się szczególnie mocno naznaczać wiersze powstałe w ostatnim dwudziestolecu, nadając zawartej w nich refleksji niespotykany raczej wcześniej u Miłosza ton osobistego wyznania, połączonego, czy przechodzącego zawsze niemal, często w sposób prawie niezauważalny w rozważania historiozoficzne i filozoficzne, obecne w jego poezji od samego początku, od *Poematu o czasie zastygłym* oraz *Trzech zim*. Nie chodzi jednak tylko o nostalgiczne rozpamiętywanie emigranta i powtarzanie romantycznych tropów rodem z Mickiewicza, choć i taki aspekt w wileńskich tematach Miłosza jest obecny i stał się, przy innej okazji przedmiotem odrębnego omówienia. Tym razem interesować nas będą inne kwestie, natury bardziej, by tak rzec generalnej, związane – przede wszystkim – ze zmaganiem z pamięcią, które to zmagania uznaje Miłosz za jeden z najistotniejszych wymiarów swojej późnej twórczości. Że przedmiotem owych zmagania stało się w dużej mierze Wilno i wileńska młodość poety, wydaje się – z pewnego punktu widzenia – sprawą poniekąd wtórną, wynikającą z takich a nie innych osobistych dziejów autora, aczkolwiek tragiczna historia tego miasta i jego mieszkańców oraz niezwykle bogactwo kulturowe stanowiły bez wątpienia dodatkowy bodziec dla wspomnień. Biograficzne uwarunkowania tematy-

ki wileńskiej w twórczości Miłosza są tyleż oczywiste, co nie dość mocno nazwane przez badaczy. Biograficzny wątek wileński poprowadzi poetę do rozważań egzystencjalnych i duchowych, niekiedy nacechowanych eschatologicznie, do refleksji ontologicznej i epistemologicznej, w rejony zatem rozważań o charakterze fundamentalnym i uniwersalnym, w taki czy inny sposób dotyczących każdego, niezależnie od miejsca urodzenia. Kwestia wileńska stanowi tu więc poniekąd jedynie punkt wyjścia, nicistotny dla końcowych konkluzji, choć – oczywiście – ważny w aspekcie badań nad strukturą Miłoszowej wyobraźni i kształtem świata przedstawionego jego tekstów.

Z drugiej strony stała obecność tematyki wileńskiej w twórczości Noblisty dyktowana jest względami natury historycznej i kulturowej. Wątek ten wiąże się z kolei silnie z autotematycznymi przeświadczeniami Miłosza, z jego koncepcją roli i obowiązków poety i owocuje zarówno tekstami o silnym ładunku społecznym, jak i utworami stanowiącymi w istocie dyskurs historiozoficzny, ukrywający pytania o naturę dziejów i prawidłowości rozwoju cywilizacji ludzkiej. Tutaj też temat wileński ważny jest sam przez się, zyskując status autonomiczny, istotnym celem staje się świadectwo o tamtej rzeczywistości, minionej bezpowrotnie, którą ocalić może jedynie trwanie poprzez słowo: „Czego chcę? Żeby było. Co? Czego już nie ma” (*Kroniki*).

Przedmiot naszego zainteresowania w niniejszym szkicu sytuuje się poza ambicją prześledzenia materialnej zawartości obrazów Wileńszczyzny pojawiających się w późnych wierszach Miłosza, tym bardziej nie jest naszym zamiarem zastanawianie się nad topograficzną zgodnością literackiego zapisu z realną rzeczywistością ani obecną, ani przeszłą. Wymieniony w tytule „krajobraz” funkcjonuje tu zatem w znaczeniu całokształtu treści psychicznych generowanych przez różnolienne impulsy związane z pamięcią o ziemi młodości. Oznacza to zarazem, że „krajobraz” jest w naszych rozważaniach kategorią wewnętrzną, o statusie o tyle nietypowym, że pozostającym zwykle w pewnym odniesieniu, przynajmniej mentalnym, do rzeczywistości zewnętrznej. W szczególny sposób zajmować więc nas będzie funkcja wileńskiego wspomnienia w strukturze poetyckiego świata. Jednym z najważniejszych bohaterów naszych rozważań staje się zatem pamięć.

„Od dość dawna moje wewnętrzne kłopoty sprowadzają się do pytania: jak unieść pamięć?” (*Dlaczego odstępuję tematy, Piesek przydrożny*). Pamięć jawiłaby się w tym kontekście jako brzemię... co o tyle nie jest dziwne, o ile uświadomimy sobie, jakie doświadczenia historyczne przyszło jej zarejestrować i przechować. Chodzi jednak o coś więcej, niż poczucie obowiązku wobec tych, którym „życie” może dać tylko zapisane wspomnienie, choć ten czynnik, jako sprawczy

moment wielu utworów wileńskich wskazywany jest przez samego Miłosza. „Nie było nikogo//Z tych, którzy kiedyś chodzili tymi ulicami//I teraz nic nie mieli oprócz jego oczu.//Potykając się, szedł i patrzył zamiast nich (...)” (*Miasto młodości, Na brzegu rzeki*). Rządzona współczuciem pamięć wskrzesza więc na chwilę spotkane niegdyś postaci: Kazi, Helenki, Ludwika, pań z katolickiej dobroczynności podających malcom po I Komunii kakao – towarzyszy dziecięcych i młodzieńczych wtajemniczeń, ożywia wydarzenia, umieszczając je w znajomych pejzażach, pośród lasów, sadów, nad rzeką, za domem, czy też pośród wileńskich uliczek, których nazwy, niby cienie przeszłości wydobywa z mroków zapomnienia. „Wcześniej ten wyrok zapadł na mnie,//Żebyś powracał w państwie cieniów//Na róg Portowej i Zawalnej” (*W mieście Salem, Nieobjęta ziemia*). Najbardziej własne i osobiste nabiera tu wymiaru ponadindywidualnego, stając się symbolem czasu minionego, który domaga się ocalenia przed zapomnieniem, to znaczy – w rozumieniu poety – przed nicością, na przekór ziemskiemu prawu nicestwienia pamięci” (*Capri, Na brzegu rzeki*). „Zaiste, bezustannie, w dzień i w nocy wyobrażany etos kolegów z Wilna w łagrach i kopalniach Workuty był motywem przewodnim jego długiego życia” (*Zadra, Piesek przydrożny*).

Pamięć jednak nie tylko z powodu tych historycznych obciążeń i zobowiązań wydaje się Poecie brzemieniem. Niepokoi sama jej natura, skłonna do zniekształcania rzeczy, które przez to zmieniają swą istotę, i „mniej są”. „Bądźcie sobą, rzeczy tej ziemi, bądźcie sobą.//Nie polegajcie na nas (...)//Na fantazjach zdradliwego i chciwego oka//Tęsknimy do was, do waszej istoty,//Abyście trwały takie, jak w sobie jesteście (...)” (*Kto, Na brzegu rzeki*). Przeinaczenia odbierają rzeczom ich prawdę i to właśnie stanowi zasadniczy kłopot, wręcz dramat pisarza, pragnącego podarować minioniej rzeczywistości nieśmiertelność i zapisać ją wiernie, by trwała na zawsze w chwale najdrobniejszych szczegółów. Stąd przestroga przed zbytnim zaufaniem pamięci i jej roszczeniami. Stąd zaznaczająca się wyraźnie ambiwalencja stosunku do pamięci: „Ostrożnie. Ostrożnie. Pamięć nie ma racji. Na przekór pamięci honorujemy ziemię” (*Roztropność, Piesek przydrożny*). Dla poety „ścigającego” rzeczywistość, chcącego uchwycić każdą rzecz w samym jej rdzeniu, pojedynek z pamięcią oznacza w tym kontekście nieuchronną klęskę. Odkrycie, iż nie ma obiektywnej prawdy o postrzeganej czy – tym bardziej – zapamiętanej rzeczy, niezależnej od postrzegającego podmiotu prowadzi do swego rodzaju kapitulacji, wyrażającej się w konieczności zaakceptowania rozdzwisku między tym, co jest a tym, co istnieje jedynie w myśli lub – choćby najwierniejszej, fotograficznej nawet pamięci: „Kim jest ten, który widzi?//I konary potężnych drzew nad stromą drogą pod górę//Nachylone ku

sobie, i tej alei Za kolumnadą pni otwarta jasność. Dla kogo to? I jak się zmienia//za każdym nowym powrotem widzenia?” (*Kto?, Na brzegu rzeki*). Po-brzmiewają tu echa filozoficznych konstatacji o uzależnieniu przedmiotu postrze-ganego od postrzegającego podmiotu i tęsknota poety – fenomenologa, by dotrzeć do rzeczy w jej istocie... Wątek ten znajdzie kontynuację także na płaszczyźnie rozważań teologicznych, w których wspomnienia wileńskie odnajdą swoje niebagatelne miejsce. Zarysowujący się; wniosek epistemologiczny o prze-paści między „zapamiętanym” a rzeczywistym, między „zapisanym” a istnieją-cym w rzeczywistości oraz między postrzeganiem własnym a widzeniem innych: „Kiedy rozważam teraz, skąd wziął się mój zamiysł lepienia fragmentów, zmu-szony jestem przyznać się (...) z wiedzy o tym, że rzeczywistość opisana, nama-lowana, czy sfilmowana jest zupełnie inna niż ta dana nam bezpośrednio (...)” (*Kroniki*) – w konsekwencji nie musi też prowadzić do uświadomionej zmiany statusu tego, co zapamiętane i zapisane, do zasadniczej zmiany – perspektywy: z zewnętrznej na wewnętrzną, z obiektywnej na nieobiektywną, z ogólnej na jed-nostkową, i zarazem – do zmiany roli wątku wileńskiego.

Niezależnie od dylematów ontologicznych i epistemologicznych od pamięci nie ma ucieczki, wydaje się ona w Miłoszowym świecie poetyckim wszechwładna, kreując wewnętrzny krajobraz, bliski, czy niekiedy wprost tożsamy z przeniesio-ną wpływ czasu przestrzeni stron rodzinnych. Filarem tego wewnętrznego świa-ta wydaje się – ściśle sprzężony z pamięcią – czas, uruchamiający przeszłość i na planie psychiki oraz na planie wiersza przemieniający „minione” w „w terażniej-sze”: „(...) Podczas jazdy ulicą, z szeroko otwartymi oczami zmieniałem domy, mury, skwery, mury starych kościołów w ciąg obrazów przesuwających się, a jed-nak wyrwanych z czasu, nie wiadomo czy widzianych dawniej, czy trwających rów-nocześnie” (*W sen, Piesek przydrożny*). Ten wewnętrzny, zapamiętany świat „mi-nionego” pełni w późnej twórczości Miłosza istotne i wielorakie funkcje.

„Przypomniane krajobrazy i ludzkie postacie łagodnieją i pięknieją, przenika je szczególne światło, nawet dawny gniew zmienia się w litość i współczucie (...) Która rzeczywistość jest prawdziwa? Czy ta pierwsza, surowa, która nas rani, obezwładnia, zwodzi obietnicami, czy ta druga, oczyszczona, piękniejsza, mo-że taka, „jaką widzą duchy bezcielesne?” (*Wstęp, Kroniki*). Krajobraz pamięci by-tuje w idealnym świecie, co zapewnia mu, jak u Platona w państwie idei, status tego, co Rzeczywiste. A tego właśnie, co najprawdziwiej rzeczywiste, poszuku-je wyobraźnia poety, ścigając świat – fizyczny, lecz także – świat umieszczony w szkatułkach pamięci: „Naprawdę, co chciałem im powiedzieć? Że trudziłem się (...) szukając tego, co jest Rzeczywiste” (*Nieobjęta ziemia*). Zapamiętana i od-

tworzona przez pamięć przeszłość zdaje się posiadać przymiot niedostępny rzeczywistości. Jest doskonała, i jako taka stanowi, może stanowić wzór piękna. Ma charakter modelowy, na całe życie wyznaczając artyście estetyczny wzorzec, miarę piękna. „(...) bo artysta, poeta czy malarz trzyma się i co dzień ściga wymykającą mu się doskonałość (...)” (*Dzielo, Piesek Przydrożny*). Poszukiwanie ładu, harmonii, charakterystyczne dla poetyki Miłosa zdaje się mieć uzasadnienie sięgające głębiej niż do argumentów natury estetycznej, stając się swego rodzaju orężem wobec praw niszczenia, destrukcji, przemijania: „Zamieszkać w zdaniu, które byłoby jak wykute z metalu. (...) Nienazwana potrzeba ładu, rytmu, formy, które to trzy słowa obracamy przeciwko chaosowi i nicości” (*Nieobjęta ziemia*). Poddany rytmowi natury porządek życia, w harmonijnym współistnieniu z przyrodą traktowany jest przez Miłosa jako kosmos (w rozumieniu przeciwnym wobec chaosu), wyznaczając zarazem trwały punkt w jego estetyce, zorientowanej na budowanie. W ten sposób – przeniesiony przez pamięć krajobraz tworzy fundament dla pojmowania tego, co piękne: Gaia (...) raduje nam oczy//Abyśmy zgodnie umieli nazwać, co jest piękne” (*Gaia, Na brzegu rzeki*). Rekwizyty przywołane w dalszych wersach utworu – szorstkoskóre dęby, wysokopienne sosny, brzozowe i osinowe gaje – nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do swego pochodzenia. Gaia najwyraźniej jest rodem z Litwy i uosabia litewską puszcę, czy szerzej – litewską przyrodę wyznaczając nie tylko pewien ideał, nie istniejący już w – rzeczywistym świecie, stanowiąc więc nie tylko zakodowany archetyp estetyczny, lecz przede wszystkim – ustanawiając dla bohatera twórczości (a zapewne i dla samego autora...) swego rodzaju psychiczne centrum, wewnętrzny zwornik i punkt odniesienia, nie tylko i nie przede wszystkim, choć także – geograficzny.

Wileńszczyzna, miasto i okolica oraz rodzinne ziemie poety i bohatera twórczości nabierają cech mandali, symbolu centrum i doskonałości. Pozwalają zatem na orientację w świecie, niezależnie od następujących w czasie zmian: „Wszystko się zmieniło, ale kierunek został” (*Tam, Piesek przydrożny*). „Tutaj, gdzie nauczyłem się czterech stron świata” (*W Szetejniach, Na brzegu rzeki*). Ta wewnętrzna oś odnosi się najpierw do świata zewnętrznego, sytuując jego środek na ziemi dzieciństwa i młodości: „To jest dolina Niewiaży, samo serce Litwy” (*Rok 1911*). „Gdziekolwiek wędrowałem, po jakich kontynentach, zawsze twarzą bytem zwrócony do Rzeki” (*W Szetejniach, Na brzegu rzeki*). Zakodowanie w pamięci kresowego wzorca geograficznego tworzy przestrzenną wyobraźnię poety, każąc porównywać z sobą i zestawiać później ujrane pejzaże i współistniejącego równoległe z krajobrazami odległej Ameryki czy Europy Za-

chodniej: „Przypomniał mi się wysoki most na Niemnic//Kiedy pociąg wykręcał z alpejskiej przełęczy” (*Nieobjęta ziemia*). Nic to jednak wydaje się najważniejsze. I nie to nawet, że archetypem podróży na zawsze miała pozostać zapisana w pamięci odbyta w dzieciństwie podróż z Raudonki do Turgiel: „Prawie wszystkie moje podróże we śnie mają swój wzór w tej jednej prawdziwej: bryką z Raudonki przy trakcie Wilno Jaszuny na kiermasz do Turgiel” (*Nieobjęta ziemia*). Istotniejsze wydaje się ponowienie spostrzeżenia o psychicznym statusie tego, co zapamiętane. Ta wewnętrzna rzeczywistość z całą jej złożoną zawartością, z okruciami wydarzeń, sprzętów, ludzi, pejzażu, architektury, zawirowań historii, wreszcie – nastroju należy do przeszłości i jako taka podlega sakralizacji. Zaś jako rzeczywistość święta nabiera charakteru ponadczasowego, aktualizując się wciąż na nowo – w przeżyciu bohatera twórczości oraz w samym procesie zapisywania, unoszącym ją w wieczne teraz. To, co święte, oznacza zarazem – idąc tropem ustaleń Eliadego – rzeczywiste, prawdziwe. Dlatego też jej mentalne trwanie utożsamia się z wyobrażeniami wiecznej szczęśliwości, a także, co ściśle z tym związane z wyobrażeniami raj, arkadii i prowadzi do kontemplacji czasu: „(...) moja faktograficzność jest inna, zdaje się służyć kontemplacji czasu” (*Wstęp, Kroniki*). I nie chodzi tu już tylko o właściwe podmiotowi mówiącemu tej twórczości „zapuszczanie się między widoki minionego czasu” (*Capri, Na brzegu rzeki*) dla pełnego zachwyty przywoływania jego złożoności i dziwności. Chodzi o sam namysł nad czasem, uważne wpatrywanie się w jego meandry znikające, a jednocześnie zatrzymane: „wieczne (...) dlatego że raz było” (*Realizm, Na brzegu rzeki*). Stąd mimo wszelkich ułomności ludzkiego zapamiętywania, rzeczywistość ta – jako rzeczywistość święta – wyposażona jest w moc oddziaływania na wszystkie poziomy ujawnianej w tekstach świadomości.

Staje się także niekiedy rewelatorem mistycznej iluminacji: „Była to łąka nadrzeczna, bujna, sprzed sianokosów, //w nieskazitelnym dniu czerwcowego słońca. I zapach mnie ogarnął, ustało wszelkie wiedzenie. //Nagle poczułem, że znikam i płaczę ze szczęścia” (*Łąka, Na brzegu rzeki*). Wyartykułowane w wierszu przeżycie posiada wszystkie cechy doświadczenia mistycznego: wyłączenie aktywności umysłu, zachwyty, zanik poczucia odrębności własnego „ja”, doświadczenie świata jako kosmosu, jako rzeczywistości uporządkowanej wreszcie – najważniejsze może poczucie jedności ze wszystkim, co jest. Fakt, że przedmiotem owego zjednoczenia jest tu rzeczywistość należąca do świata przyrody, sytuuje to doświadczenie w kręgu tak zwanej mistyki naturalnej, co raz jeszcze, od innej strony potwierdza wcześniej poczynioną uwagę o sakralizacji krainy dzieciństwa. W doświadczeniu wewnętrznym bohatera, konstytuowanym przez celebrację polifonicznych sygnałów

minionego dwa elementy wydają się szczególnie istotne: doświadczenie rzeczywistości uporządkowanej oraz doświadczenie jedności. To dzięki temu, że „dawność” zapisana jest w myśleniu o niej bohatera jako rzeczywistość uporządkowana, może ona stanowić dlań aksjologiczny punkt odniesienia „tylko z pamięci (...) mogła pochodzić nieomylna miara różnicy pomiędzy dobrem i złem (...)” (*Zadra, Piesek przydrożny*), co w świecie pozbawionym ukierunkowania ku wartościom jawi się mu jako szczególnie cenne, zapewniając zakorzenienie w tradycji humanistycznej i chroniąc przed manowcami relatywizmu oraz zagubieniem pośród mnogości równorzędnych propozycji: „Po dwóch tysiącach lat budowania wielkiego gmachu wyobrażeń i dogmatów, od Orygenesisa i świętego Augustyna po Tomasz z Akwinu i kardynała Newmana, kiedy każde dzieło ludzkiego umysłu i rąk powstawało w pewnym systemie odniesienia, wschodził wiek bezdomności” (*Zamiast zostawić, Piesek przydrożny*). Jedność ewokowana przez ponawiane, aktualizowane dzięki wspomnieniu doświadczenie bycia w tamtej magicznej rzeczywistości ma niekiedy odniesienia religijnoegzystencjalne. Nie jest to jednak jedyny aspekt zagadnienia. Za równorzędny uznać należy dokonujący się dzięki silnemu zakorzenieniu w przeszłości moment jednoczący, umożliwiający rozpoznanie osobowej identyczności z sobą dawnym: „Tak, pojechałem tam i znalazłem się w krainie moich trzynastu lat. Byłem ten sam, bo z tym samym poczuciem kierunku” (*Tam, Piesek przydrożny*). Albo: „Doznanie zmysłowe każdego szczegółu tak ostre, jak kiedy miałem lat dziewiętnaście i odtworzone to samo poczucie (...), że jestem tu tylko na chwilę. W Krasnogrudzie. Na ziemi?” (*Nieobjęta ziemia*). Czy powyższy cytat upoważnia do uogólnienia, iż poczucie tożsamości Miłoszowego bohatera wyznacza w dużej mierze świadomość bycia przechodniem, status pielgrzyma ku krainom nieprzemijającym i bardziej rzeczywistym, niż poddana czasowi ziemia. To poczucie znikomości wyzwolone zostaje jednakże, co trzeba raz jeszcze mocno podkreślić, w kontakcie z widzialną rzeczywistością uświęconych w myślach stron rodzinnych, tak zaś stają się one znakiem rzeczywistości absolutnej. Nie w mniejszym stopniu prawdziwe będzie przecież stwierdzenie, że właśnie dzięki silnej i przechowanej, mimo odległości przez lata identyfikacji z ziemią lat młodości uformowana i w wyrazisty sposób określona została tożsamość bohatera jako tego, który pochodzi Stamtąd. Istnieje tu z pewnością pewne napięcie pomiędzy dążeniem ku konkretnemu jawiącemu się w drogiej postaci ojczystej ziemi, a wychyleniem ku wymiarowi nieskończoności. Napięcie to zdaje się charakteryzować całą twórczość Miłosza, zaznaczając się już w tomach międzywojennych. Znajduje też rozwiązanie na wyższym poziomie, na którym to, co ziemskie, fizyczne, konkretne i materialne, nie tracąc nic ze swej namacalności doświadczanej na

poziomie zmysłowym, staje się transparentnym symbolem, wskazującym, w drodze niedoskonałych analogii na sensory eschatologiczne i objawiającym rzeczywistość niebieskiego Jeruzalem. Dla obydwu wskazanych płaszczyzn, nie ulega wątpliwości zasadnicza rola zakodowanego obrazu przeszłości, utożsamiającego się z obrazem krainy dziecięcych lat, w procesie rozpoznawania własnej tożsamości oraz, co równie istotne w procesie wewnętrznej integracji bohatera.

Pochodzenie „stamtąd”, zakorzenienie topograficzne, aksjologiczne, kulturowe, psychiczne na kresach generuje również samoświadomość twórczą bohatera późnych wierszy Miłosza. Przede wszystkim stanowi źródło artystycznej odrębności, zapewniając siłę oryginalności wobec uniformizujących się propozycji Ameryki i Zachodu: „Poeta rzucony w ogromną, międzynarodową *bouillabesse*, (...) odkrywa, że siedzi mocno w swojej prowincji, mieście, zaścianku i zaczyna to błogosławić” (*Wielka zupa, Pisek przydrożny*). I w innym miejscu, na potwierdzenie powyższego: „Całkowite wyzwolenie się spod siły ciężenia lokalnej i zaściankowej skazuje na naśladowanie obcych wzorów” (*Wyzwolenie, Pisek przydrożny*). Posiadanie „własnego świata” nie tylko zapewnia osobność, stając się gwarantem odmienności, poetyckiej dykcji, umożliwia także dystans wobec konwencji, mód, zgiełku postmodernistycznej rzeczywistości ludzkiej. Tak charakterystyczna dla Miłoszowego bohatera postawa obserwatora tu właśnie może mieć jedno ze swych źródeł.

Tak więc wewnętrzna topografia bohatera odsyła na Litwę i w przeszłość, wyznaczając swego rodzaju siatkę kartograficzną dla światoodczucia ujawnianego w tekstach. Ma to fundamentalne znaczenie dla wszystkich poziomów świadomości ujawnianych przez tę twórczość, co w szczególny sposób odnosi się do wierszy ostatniego dwudziestolecia.

Zofia Zarębianka



Fot. Elżbieta Lempp

Fot. Andrzej Miłoś



Zbroja – napierśnik przodka Czesława Miłosza, który w 1605 roku ze swoją chorągwią „towarzyszy pancernych” szarżował na Szwedów pod Kircholmem, gdzie był ciężko ranny.

Archiwum rodzinne Miłoszów



Wilno, przed maturą w gimnazjum im. Króla Zygmunta Augusta w Wilnie.



Archiwum rodzinne Miłoszów

Wilno, lata szkolne.



Archiwum rodzinne Miłoszów

Uniwersytet Stefana Batorego – w gronie kolegów z Klubu Włóczągów, Wilno, lata trzydzieste.



Archiwum rodzinne Miłoszów

Ostatnie lata studiów, Warszawa 1938 rok.



Fot. Andrzej Miłoś

Z żoną Janką i synami, Montgeron, Francja 1956 rok.



Fot. Andrzej Miłoś

W Paryżu, 1979 rok.



Miłosz z bratową Grażyną Strumillo-Miłosz i synem Antonim na Placu Oskara Miłosza, Fontainebleau (60 km na pd.-wsch. od Paryża), 1980 rok.



Fot. Andrzej Miłoś

*Z synem Antonim w miejscu urodzenia Księdza Prymasa
Stefana Wyszyńskiego, podróż po kraju, 1981 rok.*



Archiwum rodzinne Miłośów

Doktorat honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1981 rok.



Fot. Andrzej Miłosz

Z Ireną Górską-Damięcką, Warszawa 1981 rok.



Fot. Andrzej Miłosz

Z André Silvaire, wydawcą dzieł Oskara Miłosza, Paryż 1987 rok.



Fot. Mieczysław Biliewicz

Na Podlasiu, 1981 rok.



Fot. Andrzej Miłoś

Na rzece Czarna Hańcza na Suwalszczyźnie, 1993 rok.



Z żoną Carol, Litwa 1995 rok.



For. Elżbieta Lempp

Ludmiła Marjańska

Przylot

Na bezludnej wyspie Manhattanie
wyrastają wielkolistne paprocie,
błędny ogień zapala się i gaśnie
i śpiewają słodkostrune oriole.

W czarnej dżungli przez pączkowanie
rozmnażają się skały i puchną;
już rozpiera się w nich skalotocze,
w rozpadlinach gniją martwe sole.

Woń zgnilizny podnieca rekiny,
krążą wokół bezludnej wyspy,
otwierają przepastne paszcze.

W jedną z nich wpada pyłek:
Jonasz.

Wielki Kanion Colorado

Wśród siedmiu cudów świata śpi
Wielki Wąwóz w fiolecie zmierzchu.
Pęknięte łono ziemi wydało go na świat.
Barwę krwi zmieszał błękit nieba Arizony
w niepowtarzalny kolor, inny
o każdej porze dnia:
różowy, czerwony, srebrny
z przewagą fioletu.

Brzegiem tej wielkiej misy
napelnionej światłem
idę pełna zachwytu, przeniesiona raptem
w cud dzieciństwa, bez lęku,
że zbudzi mnie ze snu
czułe dotknięcie matki.

I za to dotknięcie
oddałabym tę podróż i tę rzeczywistość
siódmego cudu świata: Wielkiego Kanionu.

Kanarek z wieży Babel

W tej wieży Babel trudno wspiąć się na wyżyny,
chyba, że wsiądziesz w szybkobieżną windę.
Wtedy śliczna panienska w uniformie, z białą
czarodziejską pałeczką, ukaże kierunek
gestem prawie magicznym: „Going up” zanuci,
i oto – ogłupiały wąż, którego fakir
dźwiękiem piszczałki wabi – wznosisz się do góry
mechanicznie, bezwolnie, nie-wiadomo-po-co,

by na dziewiątym piętrze kupić z wyprzedzący
nieprzydatną ci na nic klatkę na kanarka.

Zwabiony teraz fletem szczurołapa:
„Going down!” – jedziesz na dół
i w krzykliwym tłumie różnojęzycznych,
smutnych, samotnych podróźnych
uśmiechasz się jak oni i triumfująco
potrząsas pustą klatką, mieszkaniem kanarka,
który uciekł, zwabiony zakłębieniem pieszczalki
aż na ostatnie piętro dostępnych mu wyżyn,
a stamtąd w ciepłą przestrzeń,
ufny w kruche skrzydła,
dwa żółte jaskry, które go uniosą
daleko od hałasu śmiesznej wieży Babel.

Nowy Jork (I)

W obramowane, głuche, ciasne
przestrzenie wtłoczył się tłum gęsty.
Kłębi się, gubi twarze własne,
przejmuje cudzy dźwięk i gesty.

Do szarych ścian się upodabnia,
szumiącą rzeką rwie chodnikiem,
w rytm świateł czeka, rusza zgrabnie
jak na błysk zmroku zwierzę dzikie.

Tlum istot o tysiącznych twarzach
wije się w szumie samochodów,
pulsuje, rośnie i przeraża
jak serce niechcianego płodu.

Aż krzyk rozedrze białe niebo,
twarze umilkną, zamrą, staną.
Wydarte betonowym trzewiom
rodzi się serce Manhattanu.

Seattle

Nawet tu, w mieście na siedmiu wzgórzach,
gdzie po przebudzeniu szukasz wzrokiem
różowej górskiej krawędzi,
o zachodzie szukając jej po prawej stronie –

w mieście jak rozwijająca się róża,
która słodkie jeziora więzi,
a o zmierzchu jak gwiazda w zatoce Pugeta tonie –

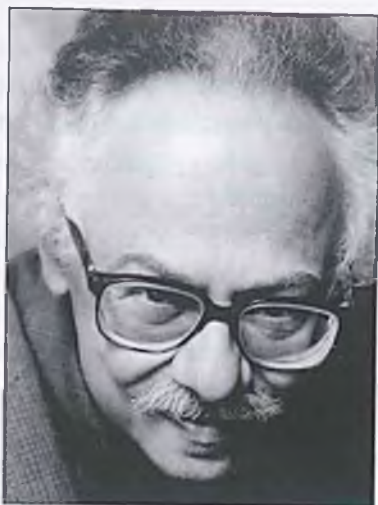
nawet tu, gdzie na wzgórza wspinają się konie
ulic, gdzie trawniki to strzyżone pudle,
a zieleń, kwiaty – pomarańcze soczyste;

nawet tu, w otwartej urodzie świata, płonie
lampa mojego domu, przysłania czule,
gdy dzieci idą spać jak muzyka promieniste.

Za późno przychodzi to, czego oczekujemy przez lata.
Na granatowym niebie szukamy znanych gwiazdozbiorów.
Orion świeci, ale nawet jego blask nie może pomóc.

Uciekamy w głąb siebie przed innością świata,
przed krzykiem światła, rozrzutnością kolorów –
i chcemy wrócić do domu.

Ludmila Marjańska



Fot. Elżbieta Lempp

Piotr Matywiecki

Msza

Kłękam, zapominam o sobie.

Ktokolwiek, proszę cię, przypomnij mi ciszę.
Proszę cię, ciszo, przypomnij mi słowa,
bo jestem stworzeniem z przypomnienia.

Msza za kogoś, za czyjąś duszę?
Nie może być mszy za kogoś –
muszę doczołgać się do mszy
przez Ziemię, przez samego siebie.

Proszę cię, ciszo, niech to będę ja.

Czołgam się – same cichną cisze samotne.
Czołgam się – łatwo milkną cisze zdawkowe.
Twarda jest cisza umarłych,
zdziera mnie do kości.

Na Ziemi stoi ołtarz.
Na ołtarzu wszystkie moje słowa
w naczyniach pustych, bez słowa i ciszy,
czekają
na przemienienie.

Od urodzin do kości
jedyna chwila, która czasu nie traci.

Oddech ołtarzem, głoska ofiarą –
i niech ją porwie Bóg łaknący!
A mnie nic do tego,

I niech Bóg powie: wszystko dla ciebie!

Nawrócenie

Budując chrześcijański dom
do fundamentów wkładano Ewangelię.
Cokolwiek miało dzieć się z mieszkańcami,
dom stał na Słowie.

Kiedy Chrześcijanina grzebie dom zwałony
spojrzy pod niebo przez kartkę Ewangelii
i powie wskrzeszony z ruin:
„W domu Ojca jest mieszkań wiele!”

Ale kiedy z nieba na niebo popatrzy –
tam bezdomność, żydowska pustynia.

*

Przed wejściem gospodarzy do nowego żydowskiego domu
czytano Torę między puste ściany.

Pełnia Słowa miała unieważnić
przyszłe nawyki domu, cnotliwe
ale brudniejsze od modlitwy
porannej jak raj nagiej ziemi, nie zabudowanej.

Pobożne obyczaje budują się na pustkowiu.

Oddech na ruinach
wyśpiewuje się z nawyków życia
i Bóg ma z Żydami wspólną śmierć, wspólną krtań.

A Chrześcijanin, wzięty takim Duchem,
powróci do Jezusa bezdomnego w Bogu.

Dom otwarty

Przyjaciółom z Plebarki

Kiedy wąwozem szedłem ku domowi
z góry sąsiedniej, cementarnej, wesoło zwiłało wieniec
prosto do nóg. Tutaj nie ma złych znaków,
dom stoi pod dębami, w chłodzie zielonego serca.
Przez cały dzień na kominie śpi sowa.
Wieczorem szerszeń bije w szkło naftowej lampy.
W nocy po deskach strychu biegają koszatki,
dziurami wydostają się na pole,
gwiazda je przygwaźdża a sowa dobija.
Rano nad Wisłę idzie się godzinę
a od Wisły wraca się wzgórzami,
po rozbieganych skrzydłach piaskowych mew
wraca się wszędzie na zawsze.

Chlebnikow

Zdarzyła się taka chwila, że ludzie zajęci byli sobą – umarli, śpiący albo nieprzytomni z miłości. W takiej chwili mowa mogła wyrazić się sama, bez mówców i myślących. Wtedy stworzyła własne słowo, nawet w uszach poetów ono nie rozbrzmiewa. Ponieważ to było słowo mowy a nie słowo ludzi, mowa nie musiała wyjaśniać jego znaczenia, dlatego nie wiadomo nikomu, co ono znaczy.

A kiedy chwila minęła, ludzi skusił cień tamtego słowa mowy, bo było podobne i niepodobne do ich słów. I ludzie – zazdroszcząc mowie jej samodzielności – w cieniu mowy spróbowali zobaczyć się sami, nie używając słownych oczu ani uszu ani słownego dotyku ani słownego smaku. Milczała śmierć, milczał sen, milczała miłość. Ludzie zdziwieni patrzyli na poetę, którego stworzył ich wzrok. Poeta w milczeniu przechodził między nimi – jak bezsłowna miłość, jak bezsłowny sen. Nieludzka śmierć przechodziła między nimi po ludzku.

To musiał być szalencie!

I skazali go na śmierć głodową, żeby milczenie minęło. A mowę suto karmił słowami życia, jawy i obojętności, żeby o sobie samej milczała – a nie o ludziach.

Sekunda świata po mojej śmierci.

Kocham ciebie.

Nikt nie wie kto

kocha i kogo.

Tylko miłość wie.

Piotr Matywiecki



Fot. Elżbieta Lempp

Mirosław Dzień

O mądrym i wielkim Duchu (Przyczynek do rozważań nad Diabłem)

Na początku tego szkicu muszę się wytłumaczyć przed czytelnikiem z powodów, jakie mną kierowały, aby podjąć tak trudny i wciąż niezgłębiony – choć przecież całe biblioteki już o tym napisano – temat, jakim jest zło w jego najróżniejszych maskach i przebraniach. Powód pierwszy i podstawowy: sam doświadczam zła, jestem jego ofiarą i – co przyjmuję z ogromnym bólem – jego sprawcą. Kolejnym powodem powstania tych rozważań jest panoszenie się zła, jego triumfalny pochód przed naszymi oczyma, wobec naszych uszu, które przestały już ćwiczyć się w trudnej sztuce zdumienia, własne przerażenie zamieniając w apatię. Moje uwagi nie roszczą sobie pretensji do systematycznego wykładu; nie są dziełem filozofa i teologa – choć w obu tych jakże szacownych dyscyplinach ludzkiej myśli przyszło mi swego czasu terminować – wyrażają raczej niepokój artysty.

Czy dziś, w epoce postchrześcijańskiej opanowanej przez informację, stającą się wyznacznikiem samoświadomości człowieka, można mówić o złu, używając jeszcze języka religijnego? Czy nie powinno się raz na zawsze zamknąć rozdział zatytułowany: Diabeł, Zło, Bóg? Czy na początku XXI stulecia od narodzin Chrystusa powrót do *Biblii* nie jest swoistego rodzaju anachronizmem, próbą

wskreszenia idei, których czas już minął i spoczęły w ciemnych zakamarkach uniwersyteckich bibliotek. Czy nie lepiej odejść od tej już zdewaluowanej terminologii i nie męczyć siebie samego i innych sprawami ulotnymi, ledwie mieszczącymi się w naszym statystycznym myśleniu o świecie i o nas samych? A jednak – będąc świadom wszystkich wyżej wymienionych zastrzeżeń i obaw – będę mówił o zlu i Diablu; będę używał języka religijnego, bez którego w moim przekonaniu traci się z pola widzenia pewien szczególnie wymiar, a odpowiedź jakiej próbowałibyśmy udzielić na temat natury zła, okazałaby się ulomną, w trudny do oszacowania sposób okaleczona i nieprawdziwa.

W PRZEBRANIU NIEOBECNOŚCI?

Człowiek i Diabeł to dwie główne osoby dramatu rozgrywającego się w świecie. Jest jeszcze oczywiście trzecia osoba, stojąca na uboczu, jakby zakłopotana śmiertelnym zmaganiem, a może tylko niewinną igraszką – to Bóg. To dziwne, ale utarło się, co najmniej od czasów Ojców Wschodu, a ugruntowane zostało przez świętego Augustyna i scholastyków, iż problem zła jest w gruncie rzeczy problemem braku, absencji dobra. Tym samym w trudny dla mnie do zrozumienia sposób pozbyto się osoby Diabła z rozważań filozoficznych, pozostawiając go jako kazuistyczny argument bardziej gorliwym pasterzom owczarni Pańskiej.

W tej fazie naszych rozważań nad naturą zła pomocny będzie wykład Ricoeura wygłoszony na wydziale Uniwersytetu w Lozannie w 1985 roku^{*}. Francuski filozof problem zła ujął w aspekcie poziomów wypowiedzi na temat zagadnienia zła. Według Ricoeura mamy do czynienia z pięcioma takimi poziomami. Punktem wyjścia jest zawsze doświadczenie zła, które w tradycji judeochrześcijańskiej pod pojęciem zła podstawia takie zjawiska jak: grzech, cierpienie i śmierć. „W ścisłym sensie tego słowa zło moralne – zwane w języku religijnym grzechem – oznacza to, co sprawia, że ludzki czyn staje się przedmiotem imputacji, oskarżenia i potępienia. Imputacja polega na przypisaniu odpowiedzialnemu podmiotowi czynu podlegającego ocenie moralnej. Oskarżenie charakteryzuje sam czyn jako pogwałcenie etycznego kodu, który obowiązuje w danej wspólnoty. Potępienie oznacza wyrok skazujący, na mocy którego sprawca czynu uznany zostaje za winnego i zasługuje na karę. Otóż to w tym miejscu zło moralne nakłada się na cierpienie jako że kara jest zadawanym cierpieniem”. Dlaczego – pyta Ricoeur – umieszczamy zło jako wspólną podstawę grzechu i cierpienia? Dlatego – odpowiada – że ist-

^{*} Paul Ricoeur, *Zło*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1992.

nieje ścisła współzależność obu tych zjawisk. Z jednej bowiem kara jest fizycznym i moralnym cierpieniem dodanym do zła moralnego, i to zarówno kiedy mamy do czynienia z pozbawieniem wolności, karą cielesną, wstydem czy też wyrzutami sumienia. Stąd „samo poczucie winy jest już karą, określane słowem *peine*, które przetrzuca most pomiędzy złem popełnionym a złem doznany”. Z drugiej strony zasadniczą przyczyną cierpienia – twierdzi francuski filozof – jest gwałt, jaki na człowieku popełnia drugi człowiek. Czynienie zła jest bowiem wyrządzaniem krzywdy komuś drugiemu, powoduje zatem jego cierpienie. Pierwszym poziomem wypowiedzi na temat zła jest poziom mitu. Ricoeur przypomina rozróżnienie, jakie poczynił Rudolf Otto mówiąc o ambiwalencji *sacrum* przybierającym postać *terrendum i fascinosum*, które nadaje mitowi zdolność pomieszczenia w sobie zarówno mrocznej, jak i jasnej strony kondycji ludzkiej. Zwraca również uwagę na fakt, iż dzięki swemu folklorystycznemu charakterowi obecnemu w wielu religiach i kulturach mit nabiera demonicznego aspektu doświadczenia zła, wyrażając go w mowie. Z drugiej strony spekulatywny charakter mitu kładąc akcent na problemach początku, utorował drogę racjonalnym teodyceom. Stąd zaś już krok od pytania frapującego filozofów i teologów: skąd bierze się zło? Drugim poziomem wypowiedzi na temat natury zła jest stadium mądrości. Autor wykładu powiada: „charakter mitu musi ulec zmianie: ma on bowiem nie tylko opowiadać początki, aby wytłumaczyć, dlaczego ludzka kondycja w ogólności stała się tym, czym jest, ale przytoczyć argumenty na rzecz tego, dlaczego jest ona właśnie taka dla każdego z nas. A to już jest stadium mądrości”. Wyjaśnianiem na jakim skupia się mądrość, jest idea „odpłaty”. Idea ta głosi, że każde cierpienie okazuje się karą za jednostkowy lub zbiorowy, znany lub nieznaną grzech. W ten sposób teoria „odpłaty” okazuje się pierwszym moralnym poglądem na świat, tym samym próbą wytłumaczenia skandalu, jakąż jest cierpienie. Ale co ciekawe, Ricoeur w stadium mądrości dopatruje się trudnej do pokonania aporii, zwłaszcza tam, gdzie mądrość proponuje kategoryczną interpretację: „[...] mądrość, jako że argumentuje, powinna przeobrazić się w jakąś ogromną dysputę ze sobą, a nawet w dramatyczną debatę, jaką sami z sobą toczą mędrzy. Pojęcie odpłaty nie może już bowiem zadowalać, od kiedy zaistniał pewien prawny porządek, który odróżnia złych od dobrych i zajmuje się wymierzaniem kary zależnej od stopnia winy każdego obwinionego. Z perspektywy absolutnie elementarnego poczucia sprawiedliwości obecne rozdzielanie różnych postaci zła może się wydawać jedynie czymś arbitralnym, niezróżnicowanym, dysproporcjonalnym: dlaczego raczej ten niż ów umiera na raka? Dlaczego umierają dzieci? Dlaczego aż tyle cierpienia, zbyt wiele jak na przeciętną wytrzymałość zwykłego śmiertelnika?” Faza gnozy oraz gnozy antygnostycznej to trzecie stadium opowiadania o złu. Zachodnia myśl filozoficzna właśnie gno-

zie zawdzięcza postawienie zagadnienia zła jako pewnej problematycznej całości: *Unde malum?* (Skąd bierze się zło?). Święty Augustyn odmówił złu statusu „substancji”, albowiem, kto myśli „byt”, ten myśli „coś zrozumiałego”, myśli „jedno”, myśli „dobro”. W zamian powstała nowa idea „nicości”, idea *ex nihilo* zawarta w idei stworzenia całkowitego i bez reszty. W tym miejscu dochodzimy do punktu bardzo istotnego dla naszego szkicu. Ricoeur pisze: „Najważniejszą konsekwencją negacji substancjalności zła jest to, że wyznaczenie zła ustanawia wyłącznie moralną wizję zła. Jeżeli bowiem pytanie: *unde malum?*, traci wszelki sens ontologiczny, pytanie, które je zastępuje: *unde malum faciamus?* (skąd to, że czynimy zło?), przesuwa cały problem zła do dziedziny aktu, woli, wolnej decyzji. [...] każde zło jest albo *peccatum* (grzechem), albo *poena* (karą). Czysto moralna wizja zła pociąga ze swojej strony za sobą penalną wizję dziejów: ani jedna dusza nie została niesprawiedliwie wtrącona w nieszczęście”.

W ten sposób doszło do rzeczywistego, a nie tylko iluzorycznego rozziwienia pomiędzy metafizyczną, w rozumieniu filozofii augustyńskiej i tomistycznej, spekulacją na temat zła – postrzeganego właśnie w kategoriach braku, a refleksją nad realnym istnieniem Diabła i próbą refleksji nad jego naturą. Tym samym kamyczek uwagi uderzył w człowieka: odtąd to właśnie z nim wiązać się będzie zło i refleksja nad jego naturą. Zło zostanie związane ze strukturą ludzkiej wolności. W ten sposób jednak „omija” się problem Diabła, usuwa się refleksję nad jego rzeczywistym istnieniem w sferę wolną od poznawczej penetracji. Czy jest to słuszna droga? Myślę, że nie. Uważam, że jest to sytuacja, jaka – o ile oczywiście przyjmimy realne istnienie Szatana – odpowiada Złemu z kilku co najmniej powodów. Po pierwsze – rzuca on całkowitą odpowiedzialność za zło na człowieka, tym samym kryjąc się za zasłoną ludzkiej wolności. Po drugie – to człowiek, a nie Diabeł weźmie odpowiedzialność za wszelkie zbrodnie dokonane w tym świecie. W ten sposób Diabeł przybierze postać nieobecnego; będzie rzeczywistością, której odebrany zostanie status bytu realnego; będzie kimś, kogo nie ma.

Kolejnym poziomem rozważania zła jest faza teodycei. O teodycei możemy mówić jedynie wówczas, kiedy „sformułowanie” problemu zła jest w zdaniach zmierzających do jednoznaczności. Na ogół chodzi o trzy twierdzenia: 1. Bóg jest wszechmocny; 2. Bóg jest nieskończenie dobry; 3. Zło istnieje. Cel argumentacji nosi znamiona apologetyczne, co wyraża się w stwierdzeniu: Bóg nie jest odpowiedzialny za zło. I wreszcie: użyte środki odpowiadają wymogom logiki niesprzeczności i systemowej całości. Ricoeur powołuje się na teodycę Leibniza, uważając ją za wzorcową: „Z jednej strony rozważa on [Leibniz – dopisek mój M.D.] wszystkie postacie zła, i to nie tylko zła moralnego (jak w tradycji augustyń-

skiej), lecz także cierpienie oraz śmierć, i umieszcza je pod szyldem zła metafizycznego, które jest nieuchronnym brakiem, ułomnością każdego bytu stworzonego, jeśli prawdą jest, że Bóg nie mógłby stworzyć innego Boga. Z drugiej strony wzbogaca on logikę klasyczną, dorzucając do zasady niesprzeczności zasadę racji dostatecznej, której wyrazem jest zasada najlepszego, odkąd stworzenie pojęte zostało jako wynik rywalizacji w rozumie Bożym między wielością modeli świata, z których jeden tylko stanowi maksimum perfekcji przy minimum braków". Cios myśleniu na temat zła zapoczątkowanemu przez świętego Augustyna, a przez Leibniza zakończonemu, zadał Kant, który w *Krytyce czystego rozumu* zakwestionował ontologiczne podłoże teodycei. Zło według Kanta przynależy wyłącznie do dziedziny praktyki jako „coś, co musi być i co musi zostać zwalczone przez działanie". Ważne przesunięcie jakiego dokonał Kant, polega na tym, że cierpienie nie jest już powiązane ze sferą moralności za pośrednictwem kary. W systemie kantowskim „zasada” zła to tylko najwyższa maksyma, która służy jako ostateczna subiektywna podstawa wszystkim złym maksymom naszej wolnej woli. I właśnie ta najwyższa maksyma ustanawia „skłonność” do zła w całym rodzaju ludzkim, przeciwną zadatkowi do dobra, konstytutywnemu elementowi dobrej woli. Jednak sam Kant uważał, że racja bytu zła radykalnego jest „niezłębiona” (*unerforschbar*). Komentując tę uwagę Ricoeur stwierdza, że Kant dostrzega: „demoniczne podłoże wolności ludzkiej, lecz czyni to z umiarkowaniem i skromnością właściwą myśli zawsze uważnej, by nie przekroczyć granic poznania i zachować dystans między myśleniem a poznaniem przedmiotowym”.

Ostatnią z analizowanych przez Ricoeura dróg do zgłębienia natury zła jest faza tzw. dialektyki „łamanej”. Twórcą nowej drogi jest protestancki teolog Karl Barth. Według Bartha można zbudować nową teologię, która przyznaje złu rzeczywistość nie dającą się pogodzić z dobrocią Boga i dobrocią stworzenia. Dla takiej rzeczywistości rezerwuje Barth termin *das Nichtige*, odróżniając ją od „negatywnej” strony ludzkiego doświadczenia: „Należy pomyśleć nicość niechętną Bogu, nicość nie tylko ułomności i braku, lecz zepsucia i zniszczenia. [...] nicość to jest to, co Chrystus pokonał wyniszczywszy sam siebie na Krzyżu. A przechodząc od Chrystusa do Boga, trzeba powiedzieć, że w Jezusie Chrystusie Bóg spotkał i zwyciężył nicość i że w ten sposób my «znamy» nicość”. W Chrystusie Bóg pokonał zło, dlatego też zło nie może już nas unicestwić, ale zarazem jego eliminacja nie pojawiła się jeszcze w pełni. I jeszcze jedna rzecz, na którą zwraca uwagę Ricoeur komentując myśl Bartha: „nicość także pochodzi od Boga, ale w zupełnie innym sensie niż dobre stworzenie, w tym mianowicie, że dla Boga wybranie w sensie biblijnego wyboru oznacza odrzucenie tego czegoś, co – dla

tego że odrzucone – istnieje na sposób nicości. [...] Nicość jest tym, czego Bóg nie chce. Istnieje tylko dlatego, że Bóg jej nie chce. Innymi słowy, zło istnieje tylko jako przedmiot boskiego gniewu. Tym samym włodarstwo Boga jest całkowite, choć królowanie nad nicością nie przystaje do całkowitego panowania dobroci nad dobrym stworzeniem”.

Transponując to, co było wyżej powiedziane wydaje mi się, że w Barthowskim określeniu „nicości” możemy dopatrzeć się znamion Tego, którego poczyniliśmy przedmiotem niniejszego szkicu – Szatana. Diabeł nieobecny jest zarazem Diabelem nie przyłapanym na gorącym uczynku zniszczenia. Diabeł nieobecny okazuje się rzeczywistością nieskrępowaną; bytem, którego jeszcze nie określono; światem jakiemu nie nadano jeszcze nazwy. Doprawdy trudno wyobrazić sobie bardziej komfortową sytuację: Diabeł w stanie swojej nieobecności dla człowieka.

Tytuł tego rozdziału opatrzyłem znakiem zapytania, który bierze się z mojego szczerzego zdumienia. Diabeł wyproszony z kręgu zbrodni i nieprawości? Oto wielkie jego zwycięstwo; oto cena, jaką płaci ludzki rozum za wiarę w swoją nieomylność. A przecież w latach siedemdziesiątych papież Paweł VI wypowiedział jakże znamienne słowa: „Największym zwycięstwem Szatana jest to, że ludzie w niego nie wierzą”. Diabeł porzucony, ośmieszony, wsadzony pomiędzy bajki, z ogonem i rogami, którymi czasem straszy się niesforne dzieci. Diabeł ubezwłasnowolniony, na marginesie naszych zainteresowań, nikły przedmiot w epoce internetu, poczty elektronicznej i fascynacji możliwościami inżynierii genetycznej – oto rozpoznanie XX wieku.

W PRZEBRANIU PODEJRZENIA (WĄŻ)

Pierwsze spotkanie z Diabełem w kulturze judeochrześcijańskiej ma miejsce w trzecim rozdziale *Księgi Rodzaju*. Z opisu kuszenia dowiadujemy się kilku istotnych szczegółów na temat Diabła i strategii jego działania. Pierwszą cechą, jaką Biblia przypisuje Diabłu w przebraniu „węża”, jest „przebiegłość”, ba przebiegłość w stopniu o wiele przewyższającym wszystkie inne zwierzęta lądowe. Przyglądając się opisowi kuszenia odnosi się wrażenie niespotykanej śmiałości, graniczącej wręcz z bezczelnością, która to cecha charakteryzuje osobników o rozbudowanym poczuciu własnej wartości. Diabeł poddaje w wątpliwość zakaz Boga. Tę strategię od tamtej pory powtórzy niezliczoną ilość razy i dopasuje do płci, koloru oczu, epoki, wykształcenia i kontynentu. Ale schemat zawsze pozostanie ten sam: poddanie w wątpliwość raz ustalonego porządku, świadome przekręcenie intencji, podstawienie półprawdy w miejsce całej prawdy. Zaczyna się tak: „Czy rzeczywiście Bóg powiedział: «Nie



Rysunek Dore'a do „Raju utraconego” Milтона.

jedzcie owoców z drzew tego ogrodu?» (Rdz 3, 1). Aby potem stwierdzić: „Na pewno nie umrzecie! Ale wie Bóg, że gdy spożyjecie owoc z tego drzewa, otworzą się wam oczy i tak jak Bóg będziecie znali dobro i zło” (Rdz 3, 4b-5). Ach, czy zastanawiała was ta kategoryczność nie znosząca sprzeciwu, bez cienia wątpliwości stawiająca swoje zdanie na piedestał, na którym dopiero co zasiadł Bóg? Czy zasta-

nawiała was ta pełna buty i zaślepienia pogarda wobec służby Przedwiecznemu? Diabeł jest mistrzem podejrzania, obcy jest mu duch pokory, postawa zaśluchania, jakakolwiek forma uniżenia. Diabeł nie znosi pokory, ponieważ nie znosi prawdy o sobie samym, o swojej pysze i zakłamaniu. Propozycja, jaką zły duch kieruje w stronę człowieka, jest poniekąd tym, o czym on sam nie przestaje myśleć. To właśnie Diabeł chce tak jak Bóg znać dobro i zło, chce o nim decydować – to znaczy określać przestrzeń dla wartości. Znamy finał pierwszego spotkania diabła z człowiekiem... Pamiętać należy o wyroku, jaki został wydany na Diabła; o wyroku, który – a często o tym zapominamy – nie został odwołany: „Wtedy Pan Bóg rzekł do węża: Ponieważ to uczyniłeś, bądź przeklęty wśród wszystkich zwierząt domowych i polnych; na brzuchu będziesz się czołgał i proch będziesz jadł po wszystkie dni swego istnienia. Wprowadzam nieprzyjaźń między ciebie a niewiastę, pomiędzy potomstwo twoje a potomstwo jej: ono zmiążdży ci głowę, a ty zmiążdżysz mu piętę” (Rdz 3, 13-15). Intrygujące słowa. Przede wszystkim należy zwrócić uwagę na przekleństwo. Diabeł jest przeklęty przez samego Boga. To zaś znaczy, że przekleństwo jakie stało się jego udziałem, ma moc definitywną, absolutną. Odtąd już zawsze Diabeł będzie działał w obłoku przekleństwa; przekleństwo jak znamię będzie miał wypisane na ustach. Diabeł przeklęty jest zarazem poniżony, ma status kogoś, kto czołga się na brzuchu i je proch. Diabeł zatem – jeśli bliżej przypatrzeć się temu porównaniu – jednoczy się z tą ziemią, z jej prochem, a więc tym wszystkim, co symbolizuje nietrwałość i zmienność. Jednoczy się ze śmiercią, która jest przeciwieństwem życia. Kolejna ważna sprawa to archetypiczna nieprzyjaźń między diabłem i niewiastą. To ważna uwaga: źródłem nieprzyjaźni między człowiekiem i diabłem jest sam Bóg. To właśnie On, Przedwieczny, antagonizuje diabła i ludzi. Wszędzie tam, gdzie diabeł żyje w przyjaźni z człowiekiem, ten ostatni nie może liczyć na przyjaźń Boga. I jeszcze jedna sprawa jaką możemy odczytać z tego fragmentu: nosimy w sobie samych ducha bezwzględnej walki z Diabłem.

W PRZEBRANIU ZAZDROŚCI (KAIN)

Od czasów dzieciństwa intrygowała mnie ta mroczna historia. Intrygowało mnie w niej wszystko: dwóch braci, zbrodnia, kara – jednym słowem trudno znaleźć lepszy model, bardziej właściwy schemat do rozważania problemu zła moralnego, nieprawości i kary. Ale jedna rzecz w opowieści o Kainie i Ablu zawsze była niedopowiedziana, jakby obłok niepewności był właściwym klimatem do namysłu nad kondycją zbrodni, nad jej fenomenologią. Dlaczego Kain zabił swego brata? Przecież Abel nic złego mu nie uczynił, ba, Abła nawet jego brat nie interesował, był pa-

sterzem trzód; żył zatem na swój własny rachunek i nie wchodził w drogę swojemu bratu, który zajęty był uprawą roli. Wydawać by się mogło, że konflikt między braćmi jest ostatnią rzeczą, jaka mogłaby się im przytrafić. A jednak – choć przecież trudno w to uwierzyć – to właśnie Bóg ich poróżnił. Poprawię się, nie Bóg, lecz tęsknota za jego miłosiernym i pełnym przyzwolenia spojrzeniem; tęsknota za Tym, który stanął po drugiej stronie świata, w jakim przyszło teraz żyć wypędzonym z Raju pierwszym rodzicom; tęsknota, która nie mogąc zostać pohamowaną urodziła owoc, jakim jest zazdrość. Ale to wszystko jeszcze nie tłumaczy zbrodni, jakiej z całą premedytacją dopuścił się Kain. Czytajmy zatem ten fragment *Księgi Rodzaju* uważnie: „Pan wejrzał na Abła i jego ofiarę; na Kaina i na jego ofiarę nie chciał patrzeć. Smuciło to Kaina bardzo i chodził z ponurą twarzą. Pan zapytał Kaina: «Dlaczego jesteś smutny i dlaczego twarz twoja jest ponura? Przecież gdybyś postępował dobrze, miałbyś twarz pogodną; jeżeli zaś nie będziesz dobrze postępował, grzech leży u wrót i czyha na ciebie, a przecież ty masz nad nim panować»” (Rdz 4, 4b-7). Cóż było takiego w ofierze Kaina, na co Bóg nie chciał patrzeć? Czy było to uchybienie w rytuale? A może szkopuł leżał w moralnej intencji, w nastawieniu wnętrza? Pytania to trudne, ale przecież podstawowe, dla każdego kto, choćby trochę chciałby zbliżyć się do anatomii zbrodni, do tajemnicy zła. Słowa jakie Bóg kieruje do Kaina, są dziwne, więcej: są do pewnego stopnia prowokujące. Pytanie o „smutną twarz” jest pytaniem o coś, co sprzeciwia się strategii diabła. Jest to przecież pytanie o zranione przez zło wnętrze, które jeszcze nie zadomowiło się w nim w stopniu, który bezlitośnie tłamsi wszelkie przejawy skrupułów wobec naruszonego systemu wartości. A więc Bóg daje do zrozumienia Kainowi, że wie o jego moralnym problemie; Bóg zna przestrzeń występku, ale zarazem nie odrzuca Kaina jako tego, który się go dopuścił. Bóg wie, że „pogodna twarz” jest synonimem moralnej czystości – ale wie również – i przypomina o tym Kainowi – że w „smutnym obliczu” żyje jeszcze siła zdolna pokonać zło; leży w nim moc sprzeciwu wobec pokusy. Stąd ostrzeżenie pełne troski, stąd obalenie raz na zawsze konieczności jako zasady, na którą powoła się każdy, kto przyjął pocałunek diabła. „Jeśli zaś nie będziesz dobrze postępował, grzech leży u wrót i czyha na ciebie, a przecież ty sam masz nad nim panować”. Tekst ten mówi o grzechu, o zlu, które jest pewną formą aktywności – „leży u wrót i czyha”. W zlu nie ma bierności, a jeśli jest, to bierność ta okazuje się tylko atrapą, kamuflażem, którego zadanie polega na osłabieniu ludzkiej czujności. Jeśli zastanowimy się głębiej nad tym ostrzeżeniem, to stanie przed nami obraz zła jako rzeczywistości pasożytniczej, jako siły dla której pożywką jest człowiek i jego życie. Zło zatem nie jest czymś przydanym, czymś okazjonalnym, lecz okazuje się być rzeczywistością wpisaną niejako w los człowieka; rzeczywistością kroczącą tuż obok nas, wciąż narzucającą się nam

z całą bezczelnością. *Nowy Testament* przyniesie porównanie diabła z lwem ryczącym, który szuka kogoś, kogo mógłby pożreć. To musi prowadzić do jeszcze jednego, jakże istotnego wniosku: zła zależy na człowieku. Człowiek jest obsesją Diabła. Ale jest również coś optymistycznego w przytoczonym wyżej urywku: to wskazówka o sile sprzeciwu jaka dana jest człowiekowi.

Wiemy co wydarzyło się potem. Kain wybrał drogę zła. Zrealizował swoim czynem pokusę bycia jedynym, który będzie stawał przed Bogiem. Diabeł popchnął go do zazdrości. A czym w swojej istocie jest zazdrość? Wydaje mi się, że to takie usposobienie naszego wnętrza, które nie potrafi pogodzić się z pomyślnością, jaka spada na innych, a nie na nas. W oku dotkniętym zazdrością, ja jestem najważniejszy; tylko ja zasługuję na nagrodę. W oku dotkniętym zazdrością twarze innych ludzi stanowią zagrożenie dla mojego bezpieczeństwa, a ich sukcesy to coś, co mnie poniża, rujnuje, przyprawia o śmierć w moim własnym mniemaniu. Zazdrosne oko wciąż dotknięte jest śmiercią, która przychodzi ze strony innych. Dlatego Kain chciał rozerwać powrozy krępującej go śmierci, chciał pozbyć się patrzającej nań twarzy swojego brata Abła: twarzy radosnej, opatulonej szalem światła. Pozbycie się twarzy Abła było dlań wyzwoleniem. Stąd pełna frywolnej prostoty odpowiedź, jakiej udziela Bogu zabójca, jak gdyby właśnie teraz dopiero stał się sobą; jak gdyby to, co zamykało go w więzieniu zazdrosnego oka, teraz raz na zawsze odeszło, stało się nierzeczywiste, nigdy niedokonane, fantasmagoryczne: „Wtedy Bóg zapytał Kaina: «Gdzie jest brat twój, Abel?» On odpowiedział: «Nie wiem. Czyż jestem stróżem brata mojego?»» (Rdz 4, 9).

W PRZEBRANIU SUKCESU (HIJOB)

Czy czytać będziemy *Księgę Hioba* „za”, czy też „przeciwko” Hiobowi, oto w swoim wydzwięku padnie szekspirowskie pytanie. I rację zapewne mają ci, którzy jak René Girard w pracach *Kozioł ofiarny* oraz *Dawna droga, którą kroczyli ludzie niegodzini*, dopatrują się w biblijnej opowieści o Hiobie czegoś, co w radykalny sposób wykracza poza prolog. Dla Girarda sprawa Hioba jest jaskrawą egzemplifikacją struktury przemocy opartej na mimetycznej pożądliwości; sam Hiob stanowi przykład kozła ofiarnego, którego fizyczne unicestwienie tworzy fundament porządku społecznego. Rzeczywiście, przyglądając się bliżej Księdze Hioba odnosimy wrażenie, że mamy do czynienia z dwoma różnymi opowieściami spiętymi kłamrą osoby Hioba. Śmiem twierdzić, że pierwszoplanową postacią pierwszej z tych opowieści, to znaczy prologu jest Szatan – Hiob okazuje się jedynie pretekstem, dzięki któremu bliżej możemy zapoznać się ze swoistego rodzaju socjotech-

niką Złego; część druga – dialogi to już opowieść o człowieku uwiklanym w niewątpliwie spojrzeń innych, człowieku złapanym w potrzask nieprzychylniej opinii.

Pochylając się nad opowieścią o Hiobie należy – jeszcze raz – postawić pytanie: co jest ważniejsze, czy cierpienie Hioba, a więc zranienie niewinności; czy też spotkanie ze złem i z podmiotem zła; z naturą, która stoi za nim; która pociąga za niewidzialne sznurki? Jednym słowem – spotkanie z Diabłem. Wydaje się, że nasza odpowiedź stanie po stronie cierpienia. Przecież Hiob jest niewinny, powiemy, jego cierpienie jest niezasłużone; cierpienie to łamie reguła sprawiedliwości, niweczy porządek moralny jakiemu przez całe swoje życie człowiek z ziemi Us starał się być posłuszny. Nie wiem czy nie jest tak, że problem Hioba jest zarazem sprawą Diabła. Zastanawiam się, czy ten, który poddany jest próbie okrutnej i bezwzględnej, nie sprawdza natury Diabła, nie poddaje jej wiwisekcji, nie ujawnia dróg, którymi porusza się szatańska dialektyka?

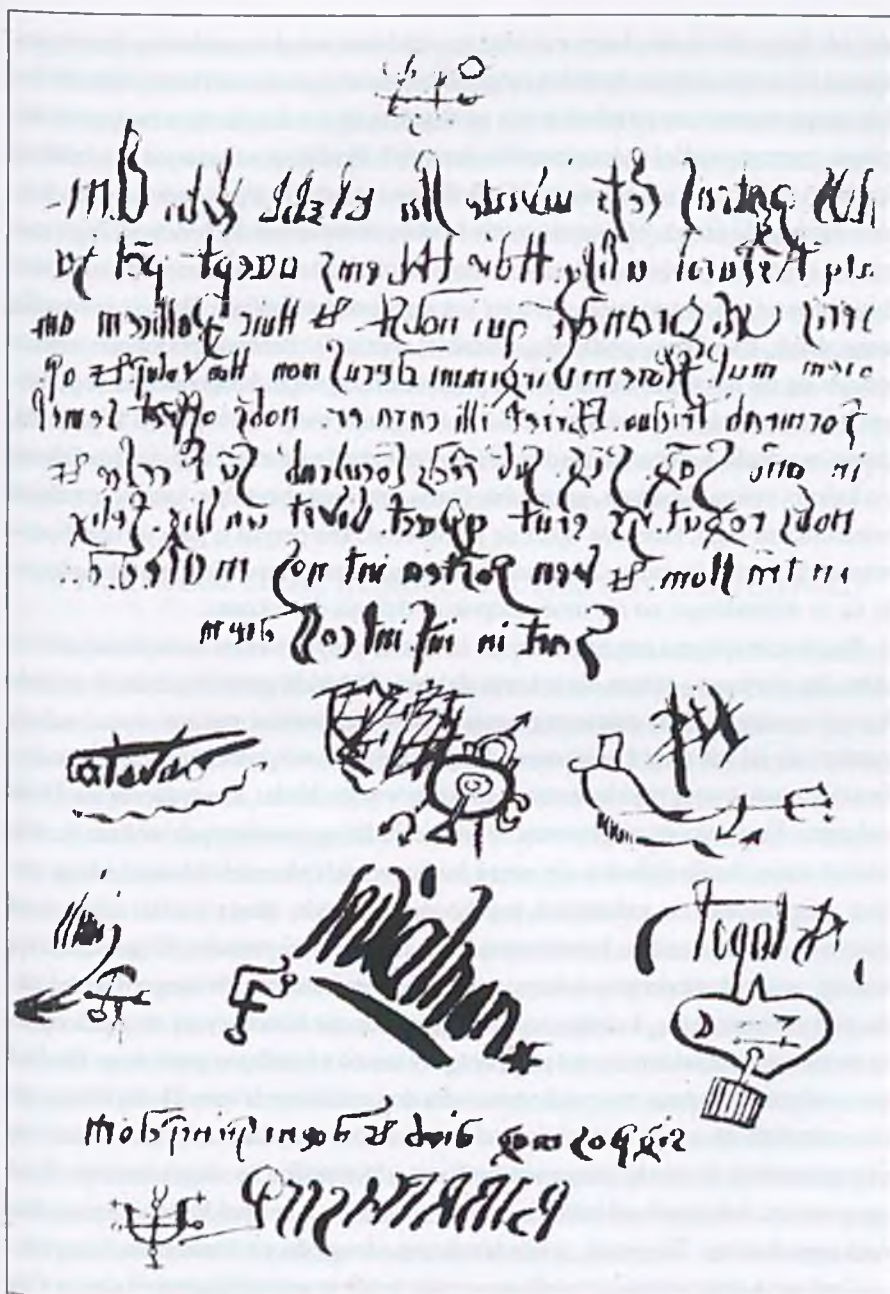
Szatan przeprowadza dwie rozmowy dotyczące Hioba. Jednak inicjatorem tych rozmów jest sam Bóg. Podczas pierwszej rozmowy Bóg wymienia przymioty Hioba, które są Mu szczególnie mile: prawość, sprawiedliwość, bogobożność, unikanie grzechu. Odpowiedź Szatana jest bardzo interesująca, mówi bowiem wiele o nim samym: „Czyż za darmo Hiob czi Boga? Czyż nie ogrodziłeś zewsząd jego samego, jego domu i całej majątności? Pracy jego rąk pobłogosławiłeś, jego dobytek na ziemi się mnoży. Wyciągnij, proszę, rękę i dotknij jego majątku! Na pewno w twarz będzie Ci złorzeczył!” (Hb 1, 9b-11). Jak bardzo przebiegła to odpowiedź, godna kogoś, kto nie pierwszy raz posługuje się sztuką podstępów. Szatan ni mniej, ni więcej powiada, że nie ma na świecie ludzi, których stosunek do Boga nie mieściłby się w kategoriach interesowności, kupiectwa, gdzie zapłatą za cześć i szacunek byłaby życiowa pomyślność i szacunek. To w tych właśnie kategoriach Szatan chciałby widzieć związki człowieka z Bogiem, to znaczy w kategoriach życiowego sukcesu, zaspokojenia życiowych pragnień i oczekiwań. Nic więcej. Żadnej transcendencji, żadnych uroszczeń umysłu i woli. Wszystko ma rozstrzygnąć się tutaj – zdaje się mówić Szatan – wszystko musi pozostać w kręgu pragnień, których zaspokojenie osiągnięte być może przez dobra tego świata. Szatan jest wielkim kupcem tego świata, orędownikiem ścisłych, aż do bólu, aż do krwi więzów z tym światem.

Zamknięcie człowieka w doczesności jest procesem osaczenia go przez to wszystko co tutaj, w tym świecie, posiada wartość bezwzględną, to znaczy ostateczną. Zanim bliżej przyjrzymy się tym sprawom spróbujmy raz jeszcze zapytać o Hioba i o jego wartość zarówno w oczach Boga, jak i Szatana. Jedna rzecz może umknąć naszej uwadze: Bóg zachwyca się Hiobem, Bóg się Hiobem cieszy. Taki zachwyt nie może pozostać bez sarkastycznej reakcji Szatana. Wszystko w jego oczach jest do-

puszczalne poza Bożym zachwytem, a więc czymś, co nieskończenie wynosi Hioba ponad skończoność tego świata, ponad to wszystko, co ceni się w nim z rumieńcem na twarzy i słonym potem cienką strużką spływającym pod ramionami. Tego Szatan Bogu nie zapomni, a Hioba za wszelką cenę starał się będzie poniżyć. Nie ma bowiem większego policzka, jaki może być wymierzony Szatanowi, jak świadomość człowieka, że zamieszkał w spojrzeniu Boga; że w spojrzeniu tym się zadowił. Opowieść o Hiobie jest zatem opowieścią o zazdrości, o nienawiści Szatana do człowieka. Odsłania ona naturę samego Diabła, ściąga z jego twarzy maskę niewinności.

W trakcie kolejnej rozmowy Szatana z Bogiem, Szatan mówi: „Skóra za skórę. Wszystko, co człowiek posiada, odda za swoje życie. Wyciągnij, proszę rękę i dotknij jego kości i ciała. Na pewno Ci w twarz będzie złorzeczył” (Hb 2, 4b-5). Wartość życia – to ostateczny argument jaki pojawia się w ustach Szatana. To przecież ostateczna granica kompromisu, miejsce, gdzie każda – nawet najbardziej frywolna – zabawa musi się skończyć. W chwili zagrożenia, w obliczu możliwości utraty życia perspektywa postrzegania własnego losu ulec musi diametralnej zmianie. Szatan dobrze wie, co mówi, zna wagę swojego sądu: wszystko człowiek odda za swoje życie. To jest centralny moment szantażu, ostateczny argument. Jesteśmy zatem w punkcie, gdzie los transcendencji człowieka wrzucony został do ognistego pieca. Zatem ból, cierpienie, które wymierza człowiekowi Szatan (a nie Bóg – ten ostatni tylko na nie daje swoje przyzwolenie), staje się godziną próby dla człowieka, ale również ujawnia metodę Szatana. Metodę pozbawioną wszelkich hamulców, bezwzględną i wyrafinowaną.

Pytanie o zło we współczesnym świecie jest zarazem – o zgrozo! – pytaniem o niektóre wyróżniki cywilizacji, w której żyjemy a także kultury i to nie tylko masowej; jest pytaniem o sposób manifestowania się Złego w naszym własnym otoczeniu; jest wreszcie pytaniem o nasze własne bezpieczeństwo – nie chodzi mi o bezpieczeństwo fizyczne, ale o bezpieczeństwo duchowe, a więc tę sferę, która jak delikatna tkanina ujawnia kształt nas samych w pełni, bez potrzeby kamuflażu. Jest to zatem pytanie o przestrzeń naszej wrażliwości duchowej. Jednym z wyznaczników cywilizacji przełomu tysiącleci jest sukces. I to właśnie sukces – zwłaszcza ten lansowany przez media – wydaje się być dziś przebraniem Złego. Kultura sukcesu jest przestrzenią, gdzie możemy przekonać się w sposób nieomal empiryczny, jacy jesteśmy. Mistrz podejrzania okazuje się tutaj mistrzem sukcesu. To ten sam kusiciel, który w rajskim ogrodzie nawoływał do przełamania tabu, do zerwania łańcuchów boskiego słowa w imię prawa człowieka do posiadania wiedzy o dobru i złu, teraz proponuje nam sukces jako lekarstwo na nasze rozterki; jako skuteczne antidotum na marazm rzeczywistości spod znaku niczym nie skrzępowanej przedsiębiorczości. „Bądź człowiekiem sukcesu” – zdaje się mówić Zły – „a wtedy otworzą ci się oczy i tak jak – no właśnie chyba już



Pakt między diabłem i ojcem Urbain Grandier przedstawiony jako dowód w procesie w Loudun w 1634 roku, pisany po łacinie pismem lustrzanym. Podpisy słożyli Satanas, Beelzebub, Lucifer, Elimi, Leviathan i Astaroth, według R. H. Robbins, „The Encyclopedia of Witchcraft and Demonology”, New York 1960 .

nie jak Bóg, ale jak ten, który ma władzę – będziesz mógł w swobodny sposób poruszać się w tym świecie, będziesz mógł zakosztować tego, co od dawna było dla ciebie przygotowane; co prosiło o twoją wyciągniętą dłoń i dziwiło się z twojego zaślepienia opartego o jakieś wymaginowane skrupuły”. Przebranie sukcesu jest przebraniem lojalnym wobec aspiracji człowieka. Wychodzi ono naprzeciw jego oczekiwaniom. Sukces, dążenie do niego, jest immanentnie wpisany w naszą ludzką kondycję. Jego motorem często jest ambicja, bo właśnie ambicja niesie w sobie ziarno niepokoju; ambicja prowadzi do wyróżnienia. Diabeł jest duchem poróżnienia, dlatego za wszelką cenę dzieli, klasyfikuje, podkreśla, oddziela, wyróżnia. Ambicja podobnie: zawsze odcina się do równości jak od zarazy, pogardza rezygnacją, która mieszka w pokornych. Ambicja nigdy nie składa broni, nie rezygnuje, nie pochyla głowy. Wydaje się, że nie ma ducha sukcesu tam, gdzie nie sprzymierzy się on z ambicją. Innym filtrem, na którym opiera się sukces, jest pycha. Pycha myśli wciąż o sobie, jest do cna zajęta wizerunkiem tego, który nie oparł się jej urokowi; kto przyjął ją jako sposób budowania własnego wizerunku. Ten, który jest pyszny, omija innych, jego wzrok ześlizguje się ze wszystkiego, co nie może zaspokoić dążenia do sukcesu.

Przebranie sukcesu jest przebraniem śmiercionośnym z kilku co najmniej powodów. Po pierwsze – sukces nie toleruje słabości. Słabością gardzi się. Należy jej unikać jak zarazy, a kiedy mimo tego pojawi się w przestrzeni naszego życia, należy pozbyć się jej jak stare i zniszczone buty. Ktoś, kto nie potrafi uporać się ze słabością, musi zostać wykluczony z ekskluzywnego klubu kandydatów na ludzi sukcesu. Ktoś taki musi pozostać w getcie ludzi o przeciętnych obliczach. Ci, którzy mają chwile słabości, ale wciąż bucha w nich płomień sukcesu, mogą zostać „naprawieni” w gabinetach psychoanalitycznych; mogą zostać nakarmieni pozytywnym myśleniem; bezstresową dietą i pastylkami *prozaku*. Ci jeszcze mają szansę, zawyrokuje demon sukcesu ustami jakiegoś dobrze ubranego dżentelmena pod pięćdziesiątkę, którego wizytówką będzie nie kończący się uśmiech oparty na wkręconym szkliwie w dziąsła, prywatny samolot i zadbane paznokcie. Po drugie – sukces wywyższa, to znaczy prowadzi do uznania tych wszystkich, którzy go nie osiągnęli za mniej wartościowych, nieudolnych życiowo. Sukces karmi się przekonaniem, że ten któremu jest on dany, z pewnością na niego zasłużył. Tym samym inni, odrzuceni od sukcesu, muszą uznać ten fakt i pokłonić się temu, kto nosi jego koronę. To prosta, jakże przejrzysta droga do panowania nad innymi.

Czyż nie z tego właśnie zrodziły się wielkie totalitaryzmy mijającego stulecia? Czy faszyzm i komunizm jako przebrania Diabła w istocie swojej nie postawiły sobie celu, jakim było władanie umysłami i sercami innych ludzi, a wszystkich słabych i odmiennych eliminowały z całą bezwzględnością? Dramatyczne pytanie o Holokaust,

jest pytaniem o rzeczywiste wpływy Boga i Diabła w tym świecie. Zaraz po wojnie wielu teologów i filozofów żydowskich sprawę tę formułowało w sposób niezwykle dramatyczny pytając o to, gdzie był Bóg, gdy miliony synów i córek Abrahama poddanych zostało bestialskiej eksterminacji. Wtedy to po raz kolejny zdano sobie sprawę z realnej siły Złego, z jego prawdziwej natury. Zdano sobie również sprawę z niszczycielskiej mocy paktu z Diabłem; z bezwzględności z jaką niszczy wszystko, co stanie mu na drodze. Jak uporać się z bierną (a może tylko tak nam się wydaje?) postawą Boga wobec ogromu zła i cierpienia, jakim został napiętnowany wiek XX? Odpowiedź jaką daje Kościół, będący Mistycznym Ciałem Zbawiciela, jest aktem ogromnego zaufania, jest wyrazem wiary poddanej próbie ognia, głosi ona: Bóg jest niewinny, *anaitios o Theos!* Zatem odpowiedzialność za zło spada na Szatana i człowieka będącego pod jego wpływem, nawet jeśli ten wpływ miałby pozostać we mgle ukrytych przed człowiekiem uzasadnień.

W PRZEBRANIU CUDU, TAJEMNICY I AUTORYTETU (DOSTOJEWSKI)

Trudno dziś wyobrazić sobie poruszanie się po niebezpiecznej i pełnej zasadzek drodze śledzenia śladów Diabła bez wskazania na twórczość Fiodora Dostojewskiego, zwłaszcza zaś bez refleksji nad małym arcydziełem jakim bez wątpienia jest autonomiczna część *Braci Karamazow*, opatrzona tytułem *Wielki Inkwizytor*. Myślę, że Dostojewski ma to, co niestety – może poza Gustawem Herlingiem-Grudzińskim – nasi rodzimi pisarze zgubili już chyba bezpowrotnie: głębokie przeświadczenie o sakralnym charakterze kultury, o wciąż trwającym zmaganiu w strefie duchowej, gdzie tak naprawdę rozstrzyga się los indywidualny i zbiorowy; gdzie Bóg i Szatan stają naprzeciw siebie w śmiertelnym starciu o człowieka. Ale to wszystko ma miejsce ponad rzeczywistością podpadającą pod zmysły i tylko okruchy tej walki docierają do nas; tylko fantazmaty wiją sobie gniazda w rozterkach psychicznych i duchowych Dymitra, Aloszy i Iwana – głównych bohaterów wielkiej książki Dostojewskiego. W tym kontekście nie może dziwić fakt, że Iwan pisze metafizyczny poemat, który tyleż jest rozprawą na temat wolności i kondycji człowieka, ile próbą rozwiązania tajemnicy Diabła. Zresztą Diabeł staje się głównym bohaterem poematu, jego *sacra personae* – cokolwiek powiedzielibyśmy na temat źródła jego rzekomej „świętości”. Pomijając samą akcję fabularną poematu – tak bowiem określiła go sam Iwan – która jest dosyć wątła, a zasadza się w przeważającej mierze na mającej miejsce w lochu nocnej rozmowie – dialogu Wielkiego Inkwizytora z Chrystusem, który o brzasku ma zostać stracony jako heretyk; powiedzieć należy od razu, iż zamysł Dostojewskiego jest o wiele ambitniejszy. Pisarz zamierza bowiem na-

kreślić globalną wizję świata poddanego władzy Diabła; rzeczywistości alternatywnej wobec odrzucenia przez Chrystusa „propozycji” złożonych mu przez Diabła kiedyś na pustyni.

Spróbujmy przyjrzeć się bliżej *Wielkiemu Inkwizytorowi*, poszukując w tym dziele oblicza Diabła, starając się ujawnić i opisać jego kolejne przebrania. W centralnym punkcie swojego monologu, starzec powiada do Chrystusa: „Straszliwy i mądry duch, duch samounicestwienia i niebytu [...] – wielki duch mówił z Tobą na pustyni; księgi nam przekazały, jakoby Cię kusił. Jestże tak w istocie? Czy można było powiedzieć coś prawdziwszego nad to, co Ci był oznajmił w trzech pytaniach, któreś Ty odrzucił, a które w księgach nazwano kuszeniem? Przecież jeśli na świecie wydarzył się kiedy jaki wielki prawdziwy cud, to tylko w owym dniu, w owym dniu trzykrotnego kuszenia. Cud polegał na tym, że takie trzy pytania były postawione. Gdybyśmy przypuścili gwoli próby i przykładu, że owe trzy pytania straszliwego ducha zniknęły bez śladu z ksiąg, że trzeba je wskrzesić, od nowa wymyślić, stworzyć, aby z powrotem zamknąć w księgach; że w tym celu trzeba zebrać wszystkich mędrców tego świata – władców, arcykapłanów, filozofów, poetów – i dać im zadanie: «Wymyślcie, stwórzcie takie trzy pytania, aby nie tylko były na miarę owego wydarzenia, ale na domiar w trzech słowach tylko, w trzech ludzkich zdaniach wyrażały całe przyszłe dzieje świata i ludzkości» – czy myślisz, że wszystka mądrość ziemską, połączona i skończona, potrafiłaby wymyślić coś, co pod względem mocy i głębi byłoby podobne do owych trzech pytań, zadanych Ci w rzeczywistości wówczas na pustyni przez potężnego i mądrego ducha? Już z tych pytań, z cudu ich powstania, można zrozumieć, że ma się do czynienia nie z kruchym umysłem ludzkim, ale z odwiecznym i absolutnym. Albowiem w owych trzech pytaniach jest jak gdyby zawarta i przewidziana cała dalsza historia rodzaju ludzkiego i objawione są trzy obrazy, w których skupią się wszystkie nie rozwiązane historyczne przeciwieństwa natury ludzkiej na całej ziemi”. Każdego uważnego czytelnika tych słów zdumieć może ujawniony w nich metafizyczny maksymalizm. Dostojewski ustami Wielkiego Inkwizytora nie pozostawia nam żadnej wątpliwości: los pojedynczego człowieka i całej ludzkości zamknięty jest w swoiście rozumianych kleszczach dialektyki, gdzie z jednej strony mamy propozycję Szatana, idącą w kierunku ubezwłasnowolnienia człowieka, pojmania go w sidła cudu, i skrępowania zarazem struktury jego wolności; z drugiej zaś pozostawienia mu garbu wolności, puszczenia go na wody domysłu, w rejony, gdzie cenna jest tylko wiara nieposzukująca zrozumienia i pociechy – to świat Boga, rzeczywistość radzenia sobie z faktem, że zamieszkało się w spojrzeniu Przedwiecznego. Zanim przypomnimy sobie słowa kuszenia zapisane

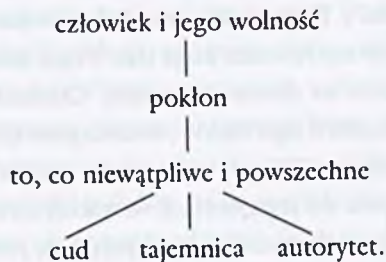
w *Ewangelii*, spróbujmy zastanowić się nad określeniami użytymi przez Dostojewskiego do scharakteryzowania Diabła. Pisarz mówi o „straszliwym i mądrym duchu”, „duchu wielkim, duchu samounicestwienia i niebytu”. I dalej, przeciwstawia go „kruchemu umysłowi ludzkiemu” powiadając, że Diabeł jest umysłem „odwiecznym i absolutnym”. Zaskakuje, że Złemu przypisany został przymiot mądrości. Wydaje się bowiem, że jest to cecha, jaka przysługiwać może jedynie Bogu. Jeśli Diabeł jest mądry, to musimy się zastanowić, co to znaczy?; w jakim sensie ktoś, kto jest figurą antytetyczną wobec Boga, może posiadać przymiot tylko Jemu jako Stwórcy właściwy? Wydaje się, że Diabeł jest właśnie „mądry” na zasadzie zaprzeczenia, na zasadzie podważenia, niejako zniesienia mądrości samego Boga, i zastąpienia jej swoją własną. Mądrość Diabła jest „antymądrością”, jest poddana logice zaprzeczenia. Diabeł chce być mądry, bo mądry jest Bóg, ale pragnie być mądry na sposób, w którym mądrość Boga utraci swoją treść, przestanie być mądrością. W taki sam sposób Diabeł chce być „piękny” i „wspaniałomyślny”. Zastąpić Boga samym sobą, uczynić z siebie przedmiot ludzkiego zachwyty: oto cel jaki stawia sobie Szatan. Kolejny epitet jaki zostaje przypisany Złemu to określenie: „duch samounicestwienia i niebytu”. Cechy te wydają się być bliskie temu, co filozofia klasyczna określa mianem zła. W filozofii świętego Augustyna wszystko, co istnieje jest dobrem. Dzieje się tak dlatego, że cokolwiek istnieje, wyszło z ręki Boga, ten ostatni zaś nie czyni rzeczy złych. Cały świat jest objawem najgłębszej istoty boskiej i wszystko w nim jest pełne cudu, od najbardziej codziennych zjawisk, aż po przebieg dziejów. Zastanawiając się nad naturą i pochodzeniem zła, święty Augustyn uważa, że zło nie należy do przyrody, lecz jest dziełem wolnych stworzeń. Zło nie jest realne, skoro wszystko, co istnieje jest dobre jako pochodne od Boga, wobec tego, zło jawić się może tylko jako brak dobra, jako jego absencja. To zaś prowadzi teologa z Hippony do wniosku, że zło jest dziełem istot wolnych, w tym człowieka – kiedy bowiem nie czyni on dobra, wtedy skłania się ku złu, niejako wybiera drugą stronę dobra, jego rewers – zło. To przekonanie świętego Augustyna jako bytowym braku powtórzy wielu filozofów i teologów z kręgu tomistycznego. Dla nas jednak wydaje się o wiele bardziej istotna swoistego rodzaju współzależność między dobrem i złem. Tak już jest, że dobro i zło przypisane są sobie, egzystują jak syjamskie siostry. Często słyszymy, że jedynym skutecznym orężem w walce ze złem jest dobro – to oczywiście truizm ocierający się o odpustowy gadżet, który kupujemy tylko po to, aby zaspokoić przyzwyczajenie do uczestnictwa w rytuale. Ale dobra zło unika, chowa się przed nim, zmienia konie, udaje Greka albo kobietę ciężarną, której należy oszczędzić przykrości. Bo zło ma coś do powiedzenia dobru, czego innym mówić nie chce

i nie musi: to tajemnica ulotnego bytu, jak byt bańki mydlanej. Zło przed dobrem niknie, wobec dobra rozmywa się, traci byt – i to jest największym upokorzeniem zła, jego jedyną, ale ostateczną klęską. Utrata bytu przez zło w konfrontacji z dobrem to przecież śmierć, a nawet o wiele więcej – to nicłość! I właśnie przed nicością zło ucieka, nicości się obawia; to nicłość właśnie spędza złu sen z jego zuchwanych powiek. Dobro unicestwia zło. Dobro zło wymazuje, jak wymazuje się zapis ołówkiem ze szkolnego kajetu.

Wróćmy teraz do zapisu kuszenia w czwartym rozdziale *Evangelii według świętego Łukasza*. Po czterdziestu dniach spędzonych na pustyni bez jedzenia, Jezus zaczął dotkliwie odczuwać głód. „Rzekł Mu wtedy diabeł: «Jeśli jesteś Synem Bożym, powiedz temu kamieniowi, żeby stał się chlebem». Odpowiedział mu Jezus: «Napisane jest: Nie samym chlebem żyje człowiek» (Pwt 8, 3). Wówczas wyprowadził Go na górę, pokazał Mu w jednej chwili wszystkie królestwa świata i rzekł diabeł do Niego: «Tobie dam potęgę i wspaniałość tego wszystkiego, bo mnie są poddane i mogę je odstąpić, komu chcę. Jeśli więc upadniesz i oddasz mi pokłon, wszystko będzie Twoje». Lecz Jezus mu odrzekł: «Napisane jest: Panu, Bogu swemu, będziesz oddawał pokłon i Jemu samemu służyć będziesz.» (Pwt 6, 13). Zaprowadził Go też do Jerozolimy, postawił na narożniku świątyni i rzekł do Niego: «Jeśli jesteś Synem Bożym, rzuć się stąd w dół! Jest bowiem napisane: Aniołom swoim rozkaże o Tobie, żeby Cię strzegli, i na rękach nosić Cię będą, byś przypadkiem nie uraził swej nogi o kamień.» (Ps 91, 11n). Lecz Jezus mu odparł: «Powiedziano: Nie będziesz wystawiał na próbę Pana, Boga swego.» (Pwt 6, 16). Gdy diabeł dokonał całego kuszenia, odstąpił od Niego a do czasu”. Nie ulega wątpliwości, że druga pokusa jest właśnie tą, w której Diabeł mówi nam coś istotnego o sobie samym i o swojej pozycji w świecie. Dowiadujemy się bowiem o tym, że Zły jest panem tego świata; włada jego bogactwami i splendorem władzy, i to wszystko pragnie z hojnością mogącą wielu przyprawić o zawrót głowy oddać za... jeden pokłon! Bądźmy ostrożni, mamy bowiem tutaj do czynienia z punktem krytycznym, gdzie rozstrzyga się nasze poznanie Diabła. Pan tego świata, któremu na tym świecie nie zależy, jeśli chce go oddać za jeden pokłon? Maski opadają, ukazuje się nagosc: Zły odda nietrwałość i materialność tego świata za jeden gest z innego świata, z innej rzeczywistości – duchowej. Innymi słowy Diabeł doskonale zdaje sobie sprawę z ułudy tego świata i wszystkiego, co składa się na jego wartość. Zły zna jakościową różnicę pomiędzy jednym gestem pokłonu ze strony Syna Bożego, a całym blaskiem skończonej rzeczywistości tego świata. Tak naprawdę Szatan wcale nie troszczy się o ten świat – jest on potrzebny jedynie jako narzędzie pokusy, jako pretekst do zabiegania o pokłon w sferze czysto duchowej,

gdzie decydują się sprawy, na temat których nasza wiedza jest ułomna i mglista. Piszę o tym wszystkim również dlatego, że Dostojewski skoncentrował się na strukturze pokłonu jako centralnym geście człowieka wobec rzeczywistości transcendentnej wobec niego. Dostojewski pisze: „Najbardziej to męczący i nieustanny fraszunek człowieka: mając wolność szukać czym prędzej tego, przed kim można się pokłonić. Lecz pokłonić się chce człowiek przed tym, co już jest niewątpliwe, tak niewątpliwe, aby wszyscy ludzie od razu zgodzili się na wspólny pokłon. [...]. Właśnie ta potrzeba pokłonienia się jest najistotniejszą męką każdego poszczególnego człowieka i całej ludzkości od zarania wieków”. Główny zarzut, jaki Wielki Inkwizytor wysuwa wobec Chrystusa, to odrzucenie cudu jako sposobu pozyskania sobie ludzkiej wolności. „O, Tyś wiedział – ciągnie dalej swój wywód Wielki Inkwizytor – że Twój czyn zapisany w księgach, że dotrze do końca czasów i do ostatnich rubieży ziemi, i spodziewałeś się, że idąc za Tobą, człowiek będzie z Bogiem, nie będzie potrzebował cudu. Ale nie wiedziałeś, że ledwo człowiek odrzuci cud, natychmiast odrzuci Boga, albowiem człowiek szuka nie tyle Boga, ile cudu. I ponieważ nie może żyć bez cudu, więc stworzy sobie nowe cuda, już własne, i kłaniać się będzie cudom znachorskim, babim czarom, jakkolwiek by sto razy był buntownikiem, heretykiem i bezbożnikiem. [...] nie chciałeś zniewolić człowieka cudem i pragnąłeś wiary wolnej, a nie pokornego zachwyty niewolnika wobec potęgi, która go od raz na zawsze przejęła zgrozą”. Odrzucając logikę Boga, trzeba ją było oprzeć na logice diabła. Dlatego Wielki Inkwizytor wyznaje: „Poprawiliśmy Twoje bohaterstwo i oparli je na cudzie, tajemnicy i autorytecie”.

Dotarliśmy w naszych rozważaniach do takiego punktu, w którym można pokusić się o syntetyczne przedstawienie „struktury pokłonu” jako centralnego wyznacznika całej kondycji człowieka uwikłanego w doczesną egzystencję:



O czym informuje nas ten schemat? O tym, że w rzeczy samej nie istnieje taka wolność, w którą nie byłaby wpisana konieczność pokłonu, dobrowolnego oddania jej temu, co niewątpliwe; temu, co zaspokoi ludzką tęsknotę za pełnią, za życiowym i by-

towym spełnieniem. Dlatego człowiek wciąż szuka oparcia w cudzie, tajemnicy i autorytecie. I tylko dwie siły są w stanie zaspokoić ludzkie oczekiwania: Bóg i Diabeł. Wielki Inkwizytor ubierając Diabła w przebranie cudu, tajemnicy i autorytetu dał mu to, co w oczach ludzkich stanowi o atrakcyjności, o doczesnym spełnieniu. „[...] człowiek na ziemi [...] chce wiedzieć, przed kim się pokłonić, komu poruczyć swoje sumienie i w jaki sposób połączyć się niezawodnie we wspólne i zgodne mrowisko, albowiem potrzeba powszechnego zjednoczenia jest trzecią i ostatnią udręką człowieka”. Dostojewski nie lękał się drogi maksymalistycznej, ale powtórzmy to raz jeszcze – tylko taka droga, tylko taki sposób formułowania pytań i próba poszukiwania na nic odpowiadzi, jest zamiarem rzetelnym, pozbawionym metodologicznego uniku, który bardziej troszczył się będzie o klarowność wyводу niż o treść problemu, z jakim przyszło nam się borykać. Poszukiwanie Diabła, śledzenie jego przebrań to droga wymagająca maksymalnej koncentracji i skupienia. Diabeł raz rozpoznany, zmienia swój makijaż. Traci bowiem w naszych oczach atrakcyjność kogoś nieznanego; kogoś, komu moglibyśmy oddać w ręce swoje sprawy. Dlatego wciąż musi przybierać atrybuty cudu, tajemnicy i autorytetu. Wystarczy, że jeden z nich utraci, wówczas straci wszystkie. Czy zatem możemy powiedzieć, że Szatan jest dla naiwnych? Daleki byłbym od takich uproszczeń. Nie możemy zapominać o tym, że jest to bardzo subtelna inteligencja, pełna sprytu i przebiegłości. Każda duchowa porażka człowieka jest zwycięstwem Diabła, zaś materialny sukces może to zwycięstwo tylko wzmocnić.

W PRZEBRANIU NIEWINNOŚCI

Wydaje się, że żyjemy w czasach, w których dokonuje się proces odchodzenia od grzechu jako jednego z filarów nie tylko religii judeochrześcijańskiej, ale całej, sformułowanej od prawie czterech tysięcy lat tradycji kulturowej stawiającej przyjazny związek człowieka z Bogiem jako warunek *sine qua non* bytu. Tam, gdzie nie ma grzechu, tam nie ma również Boga jako Tego, który byłby jego ostatecznym uprawomocnieniem na drodze ontycznej. Odchodzenie od grzechu, jak i również zacieranie wszelkich jego śladów, świadczy nie tylko o desakralizacyjnych tendencjach we współczesnym świecie, ale zarazem – co dla naszego szkicu jest bardzo istotne – otwiera pole do argumentacji wszelkich moralnych aberracji, gdzie nie ma prawa pojawić się wytłumaczenie, wychylające się ponad psychologiczny poziom uzasadniania. Stąd już bardzo niedaleko od uznania tego świata za jedyną przestrzeń, po której porusza się człowiek, a prawa przez tego człowieka powołane do życia za ostateczną, niepodważalną instancję regulującą całość międzyludzkich odniesień i relacji. Utrata poczucia grzechu jest tym, na czym z pewnością Dia-



*Belzebub, Władca Much. „Dictionnaire infernal”,
J.A.S. Collina de Plancy, Paryż 1863.*

blu bardzo zależy. Wszędzie bowiem tam, gdzie dokonano zła – może być ono złem nienazwane, może zostać poddane procesowi rozmiękczenia, swoistej socjotechnice. Innymi słowy: usunięcie z kultury pojęcia grzechu, a co za tym idzie bolesnej refleksji nad utraconą przyjaźnią z Przedwiecznym, doprowadza nie tylko do skarlenia duchowego, lecz nadto usuwa sferę duchową z przestrzeni ludzkiego doświadczenia, zamykając ją co najwyżej na strychu mitotwórczej wyobraźni. Zatem tam, gdzie nie ma już kary za policzek wymierzony Bogu (co oczywiście oznacza ni mniej, ni więcej ciężki nokaut na samym sobie jakiego dopuszcza się człowiek), nie istnieje już wina. Diabeł ogłasza czas niewinności człowieka, okres jego wyzwolenia z rzekomego przymusu służenia Bogu. Ale ogłasza go w ten sposób, iż samo słowo Bóg staje się słowem zakazanym. Odkąd będzie to jedyne słowo omijane, jedyne słowo jakie znajdzie się na indeksie Złego.

Kultura niewinności nie wymaga od samej siebie nic ponad minimum tego, co w świecie zdominowanym przez pogoń za sukcesem i dobrami materialnymi okazuje się kryterium rozstrzygającym – to znaczy lojalnością wobec świętej „zasady tolerancji”. Tolerancja bowiem w rozumieniu jakie nadaje jej współczesność, jest nie tylko przyzwoleniem na odmienność, ale nade wszystko wydaje się

być pochwałą różnych, niejednokrotnie sprzecznych postaw moralnych. Tolerancja znosi zasadę prawdy, unieważniając ją już na poziomie odrzucenia jej klasycznej postaci: *veritas est adaequatio intellectus et rei*. Tolerancja może co najwyżej hołubić samą siebie, przyglądać się sobie z zachwytem jak ktoś, kto osiągnął wyższy stopień świadomości, na którym nie można już poddać w wątpliwość czyjeś roszczenia do normy. Ale tak w rzeczywistości mówimy przecież o sytuacji, gdzie normę porzuca się zastępując ją oryginalnością, wolną kreacją własnej osobowości. Mówię o tym wszystkim dlatego, że stan taki najczęściej znamionuje okres niepewności. Przestrzeń niepewności to bardzo dobre środowisko dla zła. Zło bowiem w przestrzeni niepewności pojawia się jako norma porządkująca, jako rzeczywistość dająca poczucie ładu, stabilizacji. Dzieje się tak dlatego, że zło zawsze jest suflerem dobra, przejmując jego rolę. Zło jest wielkim zastępcą dobra. Przebranie niewinności, jakiego doświadczamy we współczesnej cywilizacji, jest przecież synonimem Raju; przebranie niewinności uobecnia pragnienie wielkiego powrotu do świata niepodzielnego sekretną wiedzą o moralnych zobowiązaniach. I jeśli w obecnym świecie dopatruje się Zła w przebraniu czegoś, co przecież jest stanem utęsknionym przez wszystkich mistyków, to jest to nie tylko przejaw duchowej amnezji, ale – o ironio! – również symptom eschatologicznych przeczuć, jakie głęboko są zakorzenione w nas samych.

POD POWIEKĄ NIENAWISTNEGO OKA (HERLING-GRUDZIŃSKI)

Podstawowym zagadnieniem, jakiemu ten szkic jest poświęcony, jest pytanie o to, czy za złem, tym widocznym, namacalnie obecnym w rzeczywistości naszego codziennego życia, kryje się coś jeszcze, jakiś ukryty, podmiotowy byt, jakaś nienawistna człowiekowi inteligencja? Jest to zatem pytanie o umysł tropiący Diabła; o myśl, która nie poddała się propagandzie utrzymującej, że zło jest jedynie konsekwencją wolności człowieka. Wprowadzenie problemu podmiotowego zła wydaje się bowiem zarazem uwolnieniem z potrząsku, w jakim znalazł się człowiek jako „jedyny” sprawca zła. Innymi słowy, chodzi tutaj o zdemaskowanie Szatana jako tego, który – jak głosi wyznanie wiary podczas odnawiania przyrzeczeń Chrztu Świętego – „jest głównym sprawcą grzechu”. Ujawnienie oblicza Diabła jest także – a może nade wszystko – zwróceniem uwagi na organiczne połączenie świata materialnego z duchowym, o czym tak często współczesna cywilizacja zdaje się zapominać. Istnienie Diabła staje się dla nas dziś wyzwaniem, momentem domagającym się namysłu, sprawą równie ważną jak nasze osobiste Zbawienie. W tym kontekście ważny i domagający się analizy wydaje się być głos Gustawa Her-

linga-Grudzińskiego, jaki możemy odnaleźć w jego opowiadaniu *Don Ildembrando*. Tekst ten osnuty jest wokół złotego uroku *iettatura*, albo złego oka, *malocchio*, prastarego wierzenia przez Rzymian nazywanego *fascinum*, przez Greków zaś *alexiana*. Herling-Grudziński pisze: „*Iettatore* powoduje nieszczęście, groźna jest sama jego obecność. Roznieca «złym okiem» pożary, doprowadza chorych do śmiertelnych ataków, wywołuje burze i katastrofy statków, uśmierca płody w brzuchach ciężarnych kobiet, odbiera dar płodności młodym dziewczynom, krzyżuje i wikła zabiegi na stołach operacyjnych, popycha do wypadków na równych drogach, jednym zabójczym spojrzeniem obrywa żyrandole w salach balowych, koncertowych i operowych, jednym podniesieniem wzroku sprawia obsuwanie się starych kamienie”. Jeden z głównych bohaterów opowiadania, Don Fausto, często zadaje sobie pytanie, które wręcz okazuje się być jego życiową obsesją: „Dlaczego rodzi się ktoś wyposażony w instrument Zła (bo Don Fausto uważał cechę za przyrodzoną), a przedmiotem jego ataku bywa ktoś zupełnie czysty i niewinny?”. Zły urok może promieniować z portretów przedstawiających ludzi naznaczonych jego nieprzeniknioną tajemnicą. Jest on zatem rzeczywistością przekraczającą czasowe ograniczenia, jest czymś, co egzystuje w innym porządku. Narrator tak opisuje pierwsze spotkanie ze złym okiem: „Przysunąłem fotel do ryciny przedstawiającej *Don Ildembrando*. Byłem, nie wiadomo dlaczego, przekonany, że Don Fausto jest w domu. Jak nie wiadomo dlaczego nagle rozbolała mnie głowa, co mi się dotąd nie zdarzyło nigdy, jako człowiekowi nie skłonnemu do migren. I równocześnie opanował mnie gwałtowny odruch ucieczki, niemożliwej wobec nagłego zdrętwienia nóg, które zwisały z fotela jak dwie ciężkie kłody. Udało mi się, oparłszy ręce o podłogę odwrócić fotel od ryciny do drzwi. Przysiągłbym, że w framudze wywiercony jest dość wysoko otwór, przez który ktoś mnie obserwował. Ktoś... Byłem celem wymierzonego wprost na mnie oka. Oko brało mnie w swoje władanie, oplątywało mnie jakby i dusiło, aż ogarnęła mnie ciemność”.

Warto zwrócić uwagę na rozmowę, jaką narrator przeprowadza z irlandzkim kapłanem zajmującym się demonologią. Padają tutaj istotne tezy na temat zła, oraz Diabła obecnego we współczesnym świecie. Wiedza o Diabiele wzbogaciła się. „Zmieniła się jego strategia. Dawniej dążył głównie do tego, by nie wierzono w jego istnienie. Teraz z mroków, gdzie w naszych czasach dostrzegali go jedynie dewoci i wiejscy księża (też nie wszyscy), wyszedł na oświetlony przód sceny. – Wystarczy patrzeć dzień w dzień dokoła siebie, czytać gazety, oglądać telewizję i filmy. Wszędzie Zło, rosnące, zachłanne, rozwydrzone, podszyte delectacją. *Delectatio morbosa*, uczucie piętnowane niegdyś przez Kościół. Zło panowało zawsze, ale nigdy tak nasycone czynnikiem *gratuit*, często bez żadnej przyczyny. Zło dla

Zła. Chorobliwa staje się nie delectacja Zła, lecz tęsknota do Dobra. [...] Większość biskupów nie wierzy w Szatana. Zdają się nie dostrzegać eksplozji niedomagań, rozstrojów nerwowych, depresji psychicznych, których źródłem jest zły urok. Czyhają na ludzi dwie kategorie demonicznego Zła: *infestazione diabolica*, tropienie osoby przez siły zewnętrzne, wobec których środki medyczne są bezsilne; *posessione diabolica* (niezmiernie rzadka), zawładnięcie osoby przez Demona, opętanie jej od wewnątrz; tylko egzorcysta może (ale nie zawsze potrafi) przyjąć tu z pomocą. W obu wypadkach zły urok działa na różne sposoby, między innymi przez *malocchio*, diabelskie oko zdolne pod ludzką powłoką zadać cios. [...] Najważniejsze jest pamiętać o jednym: Demon nie jest istotą bezosobową, złem abstrakcyjnym, lecz istotą konkretną [...]. W *Nowym Katechizmie* napisano wyraźnie: «Zło nie jest abstrakcją, oznacza natomiast osobę: Szatana, Złego, Anioła w walce z Bogiem». Rozpoznanie Herlinga-Grudzińskiego w sprawie rzeczywistej obecności Diabła wydaje się być bardzo ważnym, i unikalnym na gruncie polskiej literatury współczesnej. Głos to tym istotniejszy, iż trafia w samo sedno problemu Diabła, dostrzegając w nim osobową inteligencję z nieokielzaną siłą starającą się zawładnąć człowiekiem i wszystkimi jego sprawami. Frontalny atak Złego nie zna taryfy ulgowej, obca jest mu wszelkiego rodzaju pobłażliwość i wyrozumiałość.

Na zakończenie chciałbym zatrzymać się nad jednym jeszcze zagadnieniem, które zdaje się być zwieńczeniem rozważań nad przebraniem Złego. Chodzi mi o rozpacz. Jerzy Nowosielski w wywiadzie z *Rozmów na koniec wieku* powiedział, że Diabeł najbardziej kusi nas rozpaczą. Rozpacz bowiem jest jego rzeczywistością, jest jego światem. Przebranie rozpaczy wydaje się być okiem cyklonu, w którym objawia się oblicze Złego. Rozpacz nie znajduje oparcia dla swojej udręki. Rozpacz jest niema, nie potrafi nawet zwerbalizować świata własnego niedostatku, rzeczywistości, której odjęto wszystko. Diabeł bawi się rozpaczą człowieka, w niej odnajduje największą rozkosz, bowiem rozpacz w ostateczności jest bezprzedmiotowa jak czarna dziura. Każdy dotknięty rozpaczą, przekonany jest o daremności wszelkich swoich wysiłków. Szatan kaleczy go przekonaniem o bezsensowności egzystencji. Rozpacz mieszka w pokoju bez okien, rozpacz do cna zajęta jest sama sobą, skupiona na bezsile, w ciągłej depresji uzasadnienia. Rozpacz nie można uzasadnić, bo każde jej uzasadnienie mogłoby okazać się kagankiem ze światłem, które rozproszyłoby ciemność nadając kształt, lub choćby kontur niemożliwości. Niemożliwość określona, przestaje być ostateczną. Rozpacz zadenuncjowana, traci swoją moc. I co wydaje się być paradoksem, Diabeł popychający nas ku rozpacz, wystawia siebie samego na pośmiewisko, ujawnia mizericę własnej egzystencji. Kiedy bowiem rozpacz zostanie przewyciężona, Zły musi emigrować...



Zbigniew Jankowski

Suma

Być lepszym
i stać w obliczu morza,
które tę pojedynczą lepszość
pomnaża w swojej skali.

To chyba wszystko, do czego chwiejnie
wciąż dochodzę
i przy czym się upieram
jak kompas przy swojej północy.

Czy tego ode mnie chcesz?
Bo właśnie wtedy
czuję Twoją bliskość.

Twarzą w Twarz

Krystynie Miłobędzkiej i Andrzejowi Falkiewiczowi

Poeta to ten, który dotknął
i odjęło mu mowę,
i padło na oczy.

Odtąd wciąż od nowa
szuka własnego języka,
ale tamten jasny dotyk
zapada się w słowach
jak pisklę strącone w mrowisko.

Dopiero w późnym wieku,
przeżarty do środka,
do białej pustki, poeta
zaczyna mówić
cicho i czysto
jak przez otwarte oczodoły.

Mówi swoje wieczne
pragnienie dotyku.

Wielkie tło

Więc najważniejsze było
tło,
ogarniające i przenikliwe,
oddane i ciche
Jak Bądź wola Twoja.

To ono prześwitywało przez nas
krzątających się na pierwszym planie,
podświetlało nasze czyste intencje.
Ono z nami i przez nas
oddychało szeroko
jak przyływ i odpływ,
obecne i nieobecne,
żywe i martwe.

To ono (Energia, Atman, Boże Tchnienie?)
mieniło się nami,
uzewnętrzniało na chwilę.
Byliśmy fałdą, zmarszczką, dreszczem
wielkiego tła,
które zapada się w siebie
i z siebie wynurza,
jakby otchłań ocierała się o otchłań
w wiecznym tarle życia.

Na pierwszym planie
kołysał się balkon, którym odpływał
chłopiec podlewający pelargonie,
mewy śmieszki nurkowały po złote klucze
do nieba, wzdłuż brzegów ludzie
płakali do siebie i do wielkiego Sensu,
z którego śmiali się inni ludzie,
stara kobieta dokarmiała koty
pod betonowym wieżowcem, który uciekał
swoim opiekuńczym topolom
i jak nowotwór ogłaszał własne prawa.

Na pierwszym planie
ktoś wreszcie pojął,
odwrócił się i długo patrzył
w przepastne tło z gwiazdami,
jakby zrównywał z nim oddech,
coraz głębiej się osuwając, coraz ufniej
jednocząc się z nim.

Teraz jest starcem, na falującym balkonie
podlewa kwiaty i gwiazdy
z jednej na drugą stronę
wielkiego tła.

Sen. Pisał się wiersz

Słowa jak ludzie
szukały się po ciemku,
w popłochu, w powodzi i jakby

rozsuwał się ląd między nimi,
w ostatniej chwili
przeskakiwały rosnącą nicłość
padając sobie w objęcia

i mocno razem
pląkały ze szczęścia
na wspólnej krawędzi.

Sopot, noc 25-26 XI 2000

Zbigniew Jankowski



Fot. Jerzy Lewczyński

Kazimierz Nowosielski

Nieoczywistość

Zapytująca nieoczywistość życia - - -

Uroda szczygła w koronie akacji
gdy pierwszy szron na liściach
Pola wycichłe do rżysk Zapach
gnijących chwastów - - -

W sinej mgle przybliżany widnokrąg
aż do krzyku spłoszonej wrony
do rozpoznawanej opuszkami palców
szorstkiej kolonii porostów – gdy zmęczeni
siadamy na pniu zwalonej sosny
by przeczekać – jakby kolcem zeschłego ostu
nagle ukłucie w sercu: to dotknięcie
nieogarnionej hojności życia
i krańców ziemi? Żal i wdzięczność
że czegoś
nie można nazwać?

O świcie

To co nieokreślone
wykołysane w nieznanym
- pod skrzydłami brzasku – wiatr
i pierwszy śpiew
z krzaków ogrodowego ligustru
(Z trudem
go rozpoznasz – chyba
zięba – jer?)
W gałęziach rozłożystego modrzewia
to co ziemskie
cień łączy z niebiańskim
Za chwilę pieśń
przenosi się tam – wibruje
aż oczyszczona w świetle
nasycona wilgocią
wraca
Czujesz – tak stają się rzeczy
nieomijalne serca:
wiersze
- gdy śmierć na moment
zdaje się odstępować od swych zamiarów
i dźwięk po dźwięku
przybywa dnia
(Jeszcze nie włączaj radia – i tak
ludzki świat
zdąży nam przynieść to
co ma)

Wędrowiec

Wędrowiec – tragarz – samotnik
przynosisz
coś w końcu w sobie
odkrył

miłość – tę podróż
do źródeł obdarowania

czasami – słowo w wierszu
jak owoc
nieznanych ci urzeczywistnień

drzewo cieniste
pod nim kamień
dla utrudzonego

skrawek innego nieba
prześwitujący przez liście

parę ukochanych książek
które kiedyś
też trzeba będzie odłożyć

z krzyża wyzwanie
które nie chce zamilknąć

Powiedzieć

Powiedzieć kiedyś: słowo
było samosiejne – ale uprawa
moja

to co najważniejsze – teraz
jest we mnie

a w tchnieniu wiatru
wszystko
co potrzebne zapomnieniu

* * *

To co najukochańsze
przenosi się – od rozłąki
do rozłąki - - -

ale jest
także i ziemia
która idzie z tobą – do końca
dobro które z mgły wyprowadza
piękno
które nadaje mu
kontur

Kazimierz Nowosielski

PO CO PISZĘ?

Kontynuując ankietę, po odpowiedziach: Czesława Miłosza („Kwartalnik Artystyczny” nr 4/8/1995), Ryszarda Krynickiego, Juliana Kornhausera (nr 1/9/1996), Jana Józefa Szczepańskiego, Tadeusza Konwickiego, Zbigniewa Żakiewicza, Aleksandra Jurewicza, Andrzeja Stasiuka (nr 2/10/1996), Henryka Grynberga, Stefana Chwina, Kazimierza Brakonieckiego (nr 3/11/1996), Tadeusza Różewicza, Urszuli Kozioł (nr 4/12/1996), Michała Głowińskiego, Bogdana Czaykowskiego (nr 1/13/1997), Kazimierza Hoffmana, Janusza Stycznia (nr 2/14/1997), Grzegorza Musiała, Krzysztofa Karaska (nr 3/15/1997), Floriana Śmieji, Macieja Niemca (nr 4/16/1997), Bolesława Taborskiego, Ewy Sonnenberg (nr 1/17/98), Marka Kędzierskiego, Leszka Szarugi (nr 2/18/98), Ludmily Marjańskiej, Janusza Szubera, ks. Jana Twardowskiego, Piotra Wojciechowskiego, Bohdana Zadury (nr 3/19/98), Adriany Szymańskiej, Ewy Kuryluk, Urszuli M. Benki (nr 4/20/1998), Józefa Kuryłaka, ks. Jana Sochonia (nr 1/21/1999), Ryszarda Kapuścińskiego, Aleksandry Ołędzkiej-Frybesowej (nr 2/22/1999), Macieja Cisły, Mirosława Dzieńcia, Piotra Szewca (nr 3/23/1999), Krzysztofa Ćwiklińskiego, Krzysztofa Lisowskiego (nr 4/24/1999), Stanisława Lema (nr 1/25/2000), Anny Nasiłowskiej, Tomasza Jastruna, Jarosława Klejnockiego (nr 2/26/2000), Marii Danilewicz Zielińskiej, Jerzego Gizelli (nr 3/27/2000), Małgorzaty Baranowskiej, Teresy Ferenc, Bogusława Kierca (nr 4/28/2000), Jacka Bolewskiego SJ, Jacka Łukasiewicza, Artura Szłosarka (nr 1/29/2001) zamieszczamy kolejne wypowiedzi. Ciąg dalszy w następnym numerze.

Zbigniew Jankowski

Od nic po Nic

Po co piszę? Po nic. Czy wszystko trzeba robić po coś? Piszę, bo jestem piszący. Tak samo jak: jedzący, idący, oddychający, widzący. Piszę z natury czy nawet z biegu rzeczy, z natury i biegu mojego życia. Bez pisania byłbym nienaturalny, nie-swój, nie ja, a przynajmniej nie w pełni ja. Pisanie mnie współtworzy, współstanowi, wiąże w duchową całość. Nim czuję, marzę, myślę i planuję. Jemu się poświę-

ciem, dla niego wyrzekałem się nieraz doraźnych atrakcji, czasochłonnych uciech. Nawet matematykę, która dziś jeszcze śni mi się po nocach, nawet znieawidzone „studium wojskowe” zaliczałem tylko dla pisania, któremu potrzebne były, tak myślałem, wyższe studia. Wszystkie próby sił, próby woli, także to psychofizyczne pokonywanie siebie „lądowego” w rybackich i oceanicznych rejsach, w trudno znoszonych sztormach – były dla pisania, dla uzyskania moralnego prawa do mówienia o morzu i o sobie pośród morza, coraz częściej pisanego dużą literą.

Po co piszę? Po siebie żywego. Siebie w rozwoju, w kulawym rejsie od małego do dużego Ja. Do tej jakiejś mojej ze światem Całości – lub choćby nareszcie sytej zgody?

I to naprawdę nie najważniejsze, ilu mnie czyta i uznaje. To nie najważniejsze – powtarzam sobie zawzięcie, ale przecież rozglądam się dokoła, głodny cudzych oczu, wrażeń, opinii. Rozglądam się za drugimi, a to znaczy, że daleko mi do tego istotnego Celu, że może wcale Go dla mnie nie ma, może na zawsze wpiśnany zostałem w to moje daremne pisanie?

Przez kogo „wpiśnany”?

Po co to wszystko? Może właśnie po wiersze, które same winny powiedzieć, po co? Winny dotknąć lub przynajmniej p r a g n ą ć dotknięcia tego Czogoś-Kogoś, stanąć twarzą w Twarz.

A to pewnie znaczy, że piszę po niemożliwe, nieskończone, wieczne? Mój najnowszy tom poetycki *Słowo ostatnie i wciąż pierwsze* zamknąłem wierszem pod tytułem *Twarzą w Twarz*. Niech tu się zjawi w całości. To może jakaś pucenta mojego pocopisania?

Zbigniew Jankowski

Kazimierz Nowosielski

Po co piszę? Na tak postawione przez Redakcję pytanie w różnych miejscach mojej twórczości zapewne rozmaite dawałbym odpowiedzi. Ale chyba gdzieś ku jednej w ostateczności by one prowadziły: bo jest słowo i jest życie. Wszystko, co zawiera się między słowem a życiem, co w nich trwa, za ich sprawą się uobecnia,

otrzymuje swój kontur i przemija – koncentruje się w realności oraz niezgłębionej tajemnicy każdego „jest”. Poezja wydaje mi się jednym ze sposobów nasyce-
nia przestrzeni ludzkiego jestestwa cudem i trudem pozyskiwanego słowa – jak
najbardziej jedyne, acz przecież nie wyłączającego ze wspólnoty; bywa najsub-
telniejszym rodzajem objawiania utajonego w nim sensu i artystycznym aktem
dzielenia się nim: dla pełniejszego istnienia, dla jeszcze bardziej angażującej nas
prawdy, dla jeszcze niedoświadczonego piękna. I być może, jak w każdej sztuce,
chodzi w niej też trochę o to, by również nasza nicobecność nie była tak najzu-
pełniej niezauważalna. W każdym razie, tak wciąż mi się wydaje, dopiero troska
o życie i słowo, o słowo życia, o życie słowa czyni znaczącym każde nasze „jest”,
a pisanie wiersza, eseju, lub choćby tej notatki (proszę mi wybaczyć tę odrobinę
patosu) bywa mniej lub bardziej udaną próbą sprostania temu zdaniu.

Kazimierz Nowosielski



Z radością informujemy, że dwaj członkowie naszej redakcji

Grzegorz Musiał i Krzysztof Myszkowski

zostali wyróżnieni tytułem „Bydgoszczanin roku 2000”
w plebiscycie organizowanym corocznie przez Pomorsko-
Kujawski Klub Prywatnego Przedsiębiorcy w Bydgoszczy.
Wręczenie statuetek Łuczniczki odbyło się 20 kwietnia.

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego”



Olga Lalić

Dym cienia

nie straciło uroku
twoje palenie papierosów
twarda krawędź łóżka
zawsze pasowała do ciebie

szeptaleś – kwestia przyzwyczajenia
wojsko
tęsknota za wonią ciała kobiety

przy złamanym stoliku
piszesz kroplami deszczu
zbombardowano nasze ręce i języki

Olga Lalić, ur. 1980 w Szibeniku w Chorwacji. Studiuje filologię słowiańską na Uniwersytecie Jagiellońskim. Debiutowała w 1999 roku na łamach miesięcznika „Radostona”.

zawiadamiasz Amora
on dawno utonął w basenie śródziemnomorskim

dziś wspominają go w książkach
to tylko nudne linijki badań naukowych

Ona

to krzyż chowany
pod językiem
jęk gotowany
za plecami

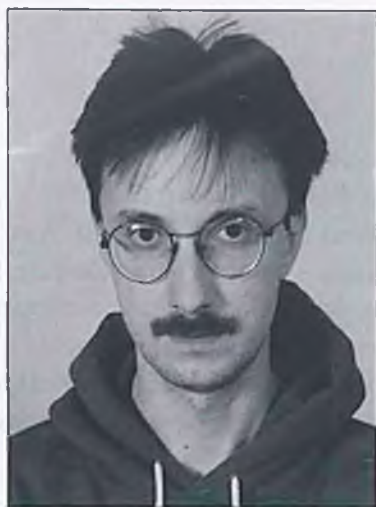
wracała otoczona klęską
otwarcie patrzyła na świat

przyszedł
nosząc szminki w rękawie
lekki uśmiech
odeszła

armaty strzelały w rzeźbę Erosa
dawny ból w biodrach przywracał dni

to krzyż chowany
pod językiem
ślad rozgałęzionych dróg
świat pełen walk

Olga Lalić
Przetłóżył Julian Kornhauser



Cezary Domarus

ASPIRYNA. wie

Światło w kiepskim rynsztunku nowych ofert,
które działają jak znieczulenie. Katar tamuje połączenia
ze światem i trzeba poruszać się wewnątrz gorączkowych
ulic. W słonecznym splocie jest plac i tu zbiegają się
cienie urzędów miejskich, wież, posterunków. I jest sylwetka
dziewczynki poganiającej obręcz w stronę budy na kółkach.
I jest pomarańczowo-żółte powietrze
jak obraz krwi na brzegu siniaka.
A oddech wylania się z uykającej perspektywy,
przynosząc noc i jeszcze ciemniejsze plamki,
które mogą być wyjściem
na zewnątrz.

Cezary Domarus, ur. 1966 w Gdyni; autor tomiku wierszy pt. *ekwipunki* (bruLion, 2000); publikował m.in. w „FA-arcie”, „bruLionic”, „Kresach”, „Lampie i Iskrze Bożej”. Mieszka w Gdańsku.

+23°C

Cykle, wzrosty, napelnienia.
Gąszcze, roztwory, wymiany.
Rozwiąż krzyżówkę – nagroda. A tu
nagroda – w obejrzeniu! Widoki fig, maków
nierozkwitłych – przebudzenia, kojarzenie,
etapy, bajki tysiąca i jednej zmyłki.
Drogi do interpretacji, impertynencji,
indepedencji. Powszechne lanie wody.
I ledwo widoczne widmo absorpcji.

Mury Itaki

W głębi ładu po lewej łazienka, po prawej
sypialnia z różowymi ścianami w kolorze ust.
Na złotej półeczce Joeya Wheatona praca
Luciano Bartoliniego w oprawie ze skał
Hansa Namutha. Okna za zasłoną z tkaniny
drukowanej w słoje drewna, poplamione dżemem
o smaku szyszkowym. Dostępu do sypialni bronią
dwa bryty tkaniny, rozpięte od podłogi do sufitu
niczym żagle. Stolik po lewej to jeden z elementów
„mebli jak chmurki” ubranych w koszulki. Nad
stolikiem lampa Brera firmy Flos. Woda w ujęciu
czystego srebra z niklu. Gdzieś w okolicy tamtej rury
przebiega oś kompozycyjna. I nagle – wbrew pozorom
antresola z żółtymi fotelami to część holu na piętrze!
Teraz dopiero można spocząć na okrągłym łożu
i doceniając zmysły, dochować wierności rozumowi,
podczas gdy na parterze, jak powiadają, czeka nakrycie
dopasowane do charakteru biesiadnika, niczym
każąco trafne odzwierciedlenie.

Cezary Domarus

Rafał Sławnikowski

który to już raz
starzeję się
i znów na śmierć
nie jestem gotowy

na tamtym brzegu rzeki
ten pierwszy jest
po drugiej stronie nurtu

dłaczego właśnie mnie
pisana śmierć
gdy inni jeszcze żyją

na obu brzegach rzeki
zostaję tym
kim byłem przed przeprawą
To jedno się nie zmienia

* * *

piekło się zaśmiewa
nie chichocze podle
ale śmieje się
 śmieje się szczerze
nie bierze się pod boki
pokazując palcem
jest uśmiechnięte
ma zamknięte oczy
wzięło się w ramionach
kołysze się lekko
 zamyśłone

nareszcie nie wspomina
nie zmyśla odwrócenia ról
ale zaczyna
stawia pierwszy krok
jeszcze nie wie

Rafał Sławnikowski

VARIA

Michał Głowiński

Z czerwonej masy rączka

Pamiętam dzień, w którym odbyła się uroczystość pogrzebowa, utkwił on w mojej pamięci z innych zresztą powodów. Tego właśnie dnia popołudniowym pociągiem miałem – po raz pierwszy – wyruszyć do Wrocławia. Zaproszono mnie – jeszcze tylko w roli słuchacza – na pewną literacką imprezę, a mianowicie na sesję poświęconą poezji Leśmiana z okazji dwudziestopięciolecia, jakie niebawem minąć miało od jego śmierci. Nie trudno obliczyć, o jakim roku mówię; poeta zmarł w listopadzie, sesja odbyła się z wyprzedzeniem, wiosną, tego jestem pewien, bo pamiętam to pierwszy raz oglądane miasto w świeżej, dopiero wylaniającej się z nicości, zieleni; pamiętam zresztą również, iż świeżą, najdelikatniejszą zielenią pokryte były drzewa rosnące po obu stronach ulicy, którą ku kościołowi zmierzał żałobny kondukt.

Znałem panią Anielę od dawna, w pewnym sensie od zawsze, być może widywałem ją już w czasie przedwojennych wizyt w domu dziadków, po wojnie stykałem się z nią nieustannie, bo do nas przychodziła, a poza tym należała do stałego pejzażu naszej części Miasteczka. Tej niewielkiej, ale ruchliwej postaci nie mogli nie dostrzegać jego mieszkańcy, nie łączyły mnie z nią jednak żadne więzy o charakterze personalnym, nie zamieniłem z nią w istocie ani słowa – poza „dzień dobry”, jakie wypowiadałem, gdy ją mijalem na ulicy, choć w czasach szkolnych raczej nie byłem dobrze ułożonym młodzieńcem. Nie ma w tym nic dziwnego, że tak właśnie rzeczy się układały, skoro dzielił nas ogromny dystans czasowy, przekraczający półwiecze. Uczestniczyć w pogrzebie nie miałem zamiaru, nic mnie w istocie do tego nie skłaniało, ani poczucie obowiązku, które jakże często kieruje nas na cmentarze i sprawia, że bierzemy udział w finalnych obrządkach, ani potrzeba złożenia hołdu zmarłej osobie, która w tym przypadku była figurą całkiem mi obojętną. Na tym, że decyzję zmienilem, zaważyła prośba mojej Matki, która wolała znaleźć się wśród żałobników w moim towarzystwie. Znała nieboszczkę od najwcześniejszego dzieciństwa – i uznała, że pogrzebu zlekceważyć nie może.

A w owym czasie w miasteczku naszym – nie było ono w tym odosobnione, przeciwnie, podporządkowywało się archaicznej normie – pogrzeby odbywały się zgodnie z tradycją, która w latach następnych miała jeśli nawet nie upaść, to ulec okazałemu ograniczeniu. Kondukt wyruszał przed dom, w którym zmarły rozstał się z tym światem; trumnę umieszczano na ciągniętym przez konia karawanie, zdobnym i jakże różnym od samochodów, którymi obecnie posługują się przedsiębiorstwa pogrzebowe. Na przedzie szedł ksiądz i kościelny (bądź ministrant) ze znacznych rozmiarów krzyżem, żałobnicy sunęli za karawanem w z góry ustalonym porządku, najpierw – bliska i dalsza rodzina, za nią zaś wszyscy inni. A gdy porzucił nasz nędzny małomiasteczkowy padół kolejarz, z reguły towarzyszyła mu orkiestra dęta, złożona z kilkunastu osób, grająca rozmaite *marches funèbres* głośno i pewnie, tak że z dużym wyprzedzeniem można było się zorientować, że kondukt nadchodzi, kolejarska orkiestra tworzyła swojego rodzaju dźwiękową zapowiedź. Pani Anieli pochód w zaświaty odbywał się w milczeniu, ani ona, ani nikt w jej rodzinie pracownikiem kolei nie był, choć odkąd zaczęły rozwijać się drogi żelazne, w tym linia warszawsko-wiedeńska, była to jedna z częstszych profesji w Miasteczku. A to, że – jak Bóg przykazał – na czele konduktu szedł ksiądz, stanowiło przedmiot modlitw i zabiegów pani Anieli. Jego udział w przemarszu łączył się z kosztami, a ona żyła w skrajnej biedzie, własnych pieniędzy nie miała, co zresztą w życiu jej nowiny nie stanowiło (dowiemy się o tym z dalszego toku tej opowieści). W ostatnich latach życia była to dla niej sprawa zasadniczej wagi: pogrzeb ma być w pełni katolicki – i niczym się nie różnić od tych uroczystości, jakimi w bliższej lub dalszej przeszłości żegnano członków jej licznej rodziny. Rzeczy potoczyły się zgodnie z pragnieniami: ksiądz z zapłaty zrezygnował, świadom, że przyszło mu wyprawiać w ostatnią drogę osobę szczególnej pobożności, która nie tylko mszy świętych nie opuszczała, ale też uczestniczyła w nabożeństwach majowych, w nieszpórach, w rekolekcjach, osobę, która była przykładną parafianką przez kilkadziesiąt lat.

Kondukt był niewielki, w Miasteczku bodaj już nikt z rodziny przy życiu nie pozostał, z Warszawy przyjechały bratanice, osoby zbliżające się do lat emerytalnych – i w ogólności zasadniczy jego korpus tworzyły stare kobiety, sąsiadki i znajome z dawnych czasów. Matka i ja skromnie uplasowaliśmy się na końcu. A kiedy dotarliśmy do kościoła, musiałem się wycofać, czas nagiął, wróciłem do domu, wziąłem swój przygotowany, niewielki zresztą bagaż i popędziłem do stolicy, by nie spóźnić się na pociąg, który wówczas wyruszał do Wrocławia z dworca nazywanego się Głównym. Gdybym został na nabożeństwie żałobnym, zostałyby zapewne i Matka, ale kościół nie był w jej przypadku przestrzenią oswojoną, zrezygnowała więc z udziału w dalszej części pogrzebu, wróciła do domu wraz ze mną.

Zacząłem tę opowieść o pani Anieli od relacji o ostatnim wydarzeniu z jej ziemskiego przebytu, w pamięci mojej – i to na stałe – osadziła się ona jednak nie za sprawą pogrzebu, w którego pierwszej części uczestniczyłem. Wiele o niej słyszałem, bo życie jej łączyło się – chciałoby się powiedzieć: łączyło po sąsiedzku – z moją rodziną i to w czasach, w których nie tylko nie było mnie na świecie, ale nawet nie pojawiałem się w najśmielszych projektach, wówczas, gdy moja Matka była jeszcze dzieckiem, albo nawet i jej wśród istot żywych brakowało, pani Aniela była bowiem przyjaciółką mojej Babki, a ich przyjaźń datowała się bodaj od początków XX wieku, skryształizowała się za czasów carskich, kiedy pryncypalna ulica naszej części Miasteczka, dobrze się w tamtych czasach rozwijającego, nie nosiła jeszcze niewątpliwie godnego i zobowiązującego miana 3-ego Maja. Po jednej stronie młody żydowski kupiec drzewny założył swoje przedsiębiorstwo, po drugiej, niemal naprzeciw – przedstawiciele rodziny, wywodzącej się z ziemiańskiego dworu, odebranego jej w latach popowstaniowych, otworzyli sporych rozmiarów sklep; na jego szyldzie informowano, że handluje się w nim towarami, jakie w tamtej odległej epoce nazywano kolonialnymi. Historia pani Anieli, która dożyła wieku sędziwego, toczy się zatem w różnych pokładach czasu, w jego – chciałoby się powiedzieć – rozmaitych warstwach geologicznych, osadzających się jedna na drugiej.

Pamiętam ją z wczesnego dzieciństwa, z początkowego okresu wojennego, kiedy nie zamknięto nas jeszcze w getcie; odwiedzała wówczas dom dziadków, w którym po wrześniewej klęsce skupiła się spora część rodziny – i powtarzała: słoneczko coraz wyżej, sikoreczki coraz bliżej, wykonując przy tym gesty, naśladujące fruwanie, które wydawały mi się dziwne i śmieszne. Nie rozumiałem alegorycznego sensu tych słów, spodobały mi się one jednak i w świadomości utkwily. Miałem przeto w oczach panią Anielę od czasów, które pozostając wierny mojej własnej perspektywie, mogę określić jako skrajnie odległe. Nie chcę jednak zanurzać się w nich już teraz, choć pewien próg opowieści przekroczyłem i mógłbym sięgać po to, co oddalone, w wielu przypadkach znane zresztą z drugiej, a niekiedy nawet z trzeciej ręki. Wolałbym najpierw opowiedzieć o tym, co zapamiętałem z jej lat ostatnich, bez wątpienia najgorszych, jakich w życiu zaznała.

Widywało się ją często na ulicach naszej dzielnicy, po której krążyła nerwowo i z zapamiętaniem, choć cel tych wędrówek – do pewnego przynajmniej momentu – i dla niej nie całkiem był jasny. Zaglądała i do domu dziadków, nie były to już wszakże towarzyskie spotkania przy herbacie i stosownych ciastach lub ciasteczkach, które przed wojną Babka lubiła i umiała wypiekać. Czasy po temu dawno minęły, obie kobiety – postarzałe, schorowane, przywalone przeżyciami z lat wojny – nie potrafiłyby tak jak dawniej rozmawiać, obie zresztą – w różnym tempie i w róż-

ny sposób – rozum traciły. Mimo wszystko pani Aniela przybiegała niemal codziennie (może poza niedzielami, które w dużej części spędzała na modlitwach) i przez pewien okres każdą wizytę zaczynała od tej samej najświeższej wiadomości:

– Słyszeli państwo, komuniści zmieniają Trylogię.

Nowina, powtarzana przez tygodnie, miesiące, może – lata, stała się skamieliną, wypowiadała ją bowiem zawsze w tej samej postaci, zawsze w formie zdania o swoistej intonacji, w której odciskało się przerażenie połączone ze zdziwieniem, ale też – potępieniem. Zdanie to zyskało kształtne *varietur*. Celowo przywołuję termin znany z tradycyjnej filologii, bo wieść, jaką pani Aniela przynosiła z taką konsekwencją i uporem, była natury filologicznej. Nie wiem, jakim sposobem ta właśnie nowina do niej się przyplątała. W okresie tuż-powojennym ci, których określała za pomocą nienawistnego słowa „komuniści”, wyczyniali tyle strasznych rzeczy, jej uwagę jednak zwróciło przede wszystkim to, że grzebią w tekście dzieła Henryka Sienkiewicza i je dla siebie wiadomych celów fałszują. Trudno pojąć, dlaczego tak właśnie rzeczy się potoczyły, nie wiem też zresztą, skąd tę wiadomość zaczerpnęła. Niewątpliwie wywarła ona na niej wielkie wrażenie, skoro wciąż ją powtarzała. A nie należała do osób, które wykazywałyby jakiegokolwiek zainteresowania literackie, nie była pochłaniaczką książek, stały kontakt miała z żywotami świętych, modlitewnikami, innymi drukami, służącymi pobożności i zbudowaniu. Romansów – i tym także różniła się od mojej Babki – czytywać nie zwykła, Trylogia była – można przypuszczać – jedyną powieścią, jaką przeczytała i w sposób sobie właściwy przeczyła.

Pani Aniela za każdym razem była przekonana, że przychodzi z nowiną świeżą jak bułeczki od Cylca bądź Szymańskiego (dwie najbardziej znane w owym czasie piekarnie w naszej części Miasteczka), nie mogła zatem powiedzieć wzorem swojego rówieśnika, pana J.: „znacie więc, słuchajcie”. Dziwiła się zapewne, że tak ważną i budzącą grozę informację zbywa się milczeniem, bo już tylko ono pozostało po tym, gdy usłyszało się ją po raz setny; zwłaszcza mojej Matce od pewnego momentu z trudem przychodziło nieokazywanie zniecierpliwienia, bo w tym czasie właśnie ona najczęściej przebywała w domu, narażona była zatem na wielokrotne wysłuchiwanie przerażającej wieści. A pani Aniela po wypowiedzeniu swej obligatorycznej kwestii bądź przechodziła do innego tematu, bądź opuszczała nasze domostwo, by pobiec do kolejnych znajomych i z nimi podzielić się wiadomością, co ci straszni komuniści wyczyniają z naszym największym pisarzem.

Wagę faktu, że wyraża ona swą troskę o autentyczność Sienkiewiczowskiego tekstu zawsze w tej samej formie, nie wprowadzając do kanonicznego zdania choćby minimalnych zmian, dane mi było ocenić kilka lat później. A wtedy chodziło już o coś całkiem innego, rozpoczęła się epoka poszukiwania parasolki, trwa-

jąca aż do ostatnich dni pani Anieli, a w każdym razie do czasu, w którym intensywna, ale niezbyt długotrwała choroba przykuła ją do łóżka, by w końcu bezlitośnie powalić. I wówczas, co najmniej przez kilka lat, powtarzało się w kanonicznej postaci zdanie:

– Zgubiłam parasolkę, z czerwonej masy rączka.

Pani Anieli nie chodziło o poinformowanie o stracie, szukała w pośpiechu i w zdenerwowaniu utraconego przedmiotu, pragnęła go czym prędzej odzyskać. Śpieszyła się tak, jakby się obawiała, że ktoś niepowołany parasolkę znajdzie i ją sobie przywłaszczy, a w czasach, w których moralność upada i szerzy się bezbożnictwo, własności się nie szanuje i wszystko, nawet najgorsze, staje się możliwe, tylu jest złodziejasków na tym świecie, a sumienia oni nie mają... Rzecz w tym jednak, że w swej chudobie pani Aniela parasolkę miała, zwykła z nią wyruszać nawet wtedy, gdy nie było po temu wyraźnej potrzeby, bo bezchmurne niebo deszczu nie zapowiadało. I choć uczynki jej stawały się coraz bardziej dziwaczne i niekiedy trudne do przewidzenia, posługiwała się nią, gdy tego wymagała sytuacja. Była to wszakże inna parasolka, z czarną rączką, jej posiadanie nie zwalniało od poszukiwania tej parasolki dobrej i ważnej, tak nieszczęśliwie zagubionej.

W latach, o których opowiadam, nikt jednak pani Anieli nie widział z parasolką „z czerwonej masy rączka”; gdybym napisał: najstarsi ludzie nie pamiętali, że taką parasolkę kiedykolwiek miała, niewątpliwie bym nie skłamał. Samo jej istnienie otoczone było tajemnicą, której nie potrafiliby rozjaśnić nawet mędracy. Może pani Anieli ona po prostu się przysniła, a sen tak był sugestywny, że granica między nim a twardą rzeczywistością zatarła się w świadomości, która ze sporym przyspieszeniem traciła swoje tereny, by pogrążyć się w tym, co niejasne i nieokreślone? Kiedy jednak obserwowałem poszukiwania, a trudno było nie stać się ich świadkiem, gdy mieszkano się w Miasteczku, domyślałem się, że chodzi tu o coś innego niż zwykły wytwór obsesyjnej starczej fantazji, choć nie można zaprzeczyć, że maniakalna uporczywość grała tu rolę nie tylko niebagatelną, ale bezdyskusyjnie główną. I wtedy zresztą, i dzisiaj, kiedy powracam do tej historii, nie zależało mi i nie zależy na dostosowaniu do tego przypadku kategorii psychiatrycznych, zamiar taki radykalnie by zresztą przekraczał moje kompetencje. *Casus* tej starej kobiety, poszukującej parasolki z rączką z czerwonej masy, nie jest dla mnie przypadkiem w sensie medycznym, stanowi pewną ludzką sytuację, którą chciałbym zrozumieć.

A pojmuję ją tak: pani Aniela, urodzona w drugiej połowie lat siedemdziesiątych wieku pary i elektryczności, bodaj – tak jak moja Babka – w roku 1878 (ale daleki jestem od pewności w tym przedmiocie), miała kiedyś parasolkę z rączką z czerwonej masy i niefortunnie ją zgubiła. Kroniki faktów takich nie notują, nie możemy zatem określić dokładnej daty, a zdarzyć się to mogło na przełomie wie-

ków, kiedy była młodą, wchodzącą w życie panną, albo tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej, ale nie możemy przecież wykluczyć, iż wydarzenie to, które tak głęboko zapadło w świadomość naszej bohaterki, miało miejsce w okresie międzywojennym lub w latach okupacji. W mentalnym świecie pani Anieli różne rzeczy się pomieszały, czas utracił swą linearność, jego segmenty nie następowały po sobie, w konsekwencji powstała czasowa pulpa, nieokreślona i zbełtana, w której zaginęły przedziały oddzielające to, co zdarzyło się przed laty, nawet w odległych przestrzeniach dzieciństwa, od tego, co stało się niedawno, można by powiedzieć: w zasięgu ręki. Wydarzenia wrzucone w tę dziwną mieszaninę, poddane działaniu bezlitosnego miksera, traciły swą czasową konsystencję – i to, co dawno minione, zyskiwało szansę dziwną i niespodziewaną, przeżywało zaskakujący renesans, nabierało życia, stawało się od nowa aktualne. Parasolka utracona przed półwieczem przemieniała się w parasolkę zgubioną dzisiaj rano czy dzisiaj przed południem. A z czerwonej masy rączka odzyskiwała nowość i nią lśniła.

Pani Aniela poszukiwała swej zguby w różne dni z różną intensywnością, bywało, że na jakiś czas o sprawie zapominała, by po dłuższej lub krótszej przerwie do niej powracać ze spotęgowanym napędem. Zdarzało się, że przychodziła do naszego domu pięć razy w ciągu godziny – i wypowiadała swoje sakramentalne zdanie, często uzupełniane pytaniem: czy nie zostawiłam jej u pani? (natrafiła w większości przypadków na moją Matkę). Wbiegała do sklepów – prywatnych, których trochę jeszcze się ostało, spółdzielczych, państwowych – i wypowiadała swoją niezmienną frazę. Sprzedawcy nie mieli złudzeń, wiedzieli, w jakim celu przychodzi i częstokroć z góry jej odpowiadali, nie czekając na to, co powie, traktowali ją zatem nie jak klientkę, ale lokalną osobliwość, do której wszyscy już zdążyli się przyzwyczaić. W tym czasie była uboższa niż kościelna mysz i jeśli robiła swe niewielkie, chciałoby się powiedzieć – minimalne czy wręcz nędzarskie zakupy, to w sklepiku na bocznej ulicy, znajdującym się nieopodal domu, w jakim w ostatnim okresie długiego życia mieszkała.

Zdarzało się dość często, że pani Aniela zagadywała przechodniów, nie tylko osoby starsze, które na ogół znała od dawna, także ludzi dużo młodszych. Z początku, gdy zaczynała swe poszukiwania, pytano, jak parasolka wyglądała, gdzie mogła ją zgubić, niektórzy pocieszali, że z pewnością się znajdzie i okazywali współczucie, niektórzy tylko odburkiwali coś pod nosem z niechęcią, czynili to głównie miejscowi pijaczkowie – i to zarówno wtedy, gdy rozumieli to, co do nich się mówi, jak i wówczas, gdy im to utrudniało czy wręcz uniemożliwiała pełne alkoholowe zamroczenie. Ale też nie oszczędzała pani Aniela tych, którzy – jak okoliczni chłopi przyjeżdżający dwa razy w tygodniu na targ – zjawiali się w naszym kwartale tylko

w określonym czasie i w określonym celu, podobnie rzecz się miała z osobami przypadkowymi, przybyszami z innych miast, a nawet z odległych dzielnic naszego niewielkiego, ale jednak dość rozległego miasteczka, tych, w które nigdy w swych poszukiwaniach się nie zapuszczała. W końcu tylko ci ostatni brali ją poważnie i tłumaczyli, że nie są stąd, a więc o zagubionej parasolce niczego wiedzieć nie mogą. Pani Aniela nie dziękowała za odpowiedź, nie miała na to czasu, spieszyła się, biegła dalej. Nie mogła zwlekać, jeśli chciała odzyskać swą zgubę.

W pewnym momencie, nie sposób dzisiaj – po latach – orzec, w którym, w tę dziwną historię wdały się dzieci. Z pewnością także je raczyła swą fundamentalną kwestią, stało się jednak coś więcej. Nie wiem, czy za sprawą infantylnego okrucieństwa, czy też dezorientacji, zaczęły ją włączać do swych zabaw. Niewykluczone, że nie zdawały sobie one sprawy, że dzieli ją od niej kilkadziesiąt lat różnicy. A o pomyłkę było całkiem łatwo z tego względu, że pani Aniela należała do osób niskiego wzrostu; szczupła, drobna, wręcz filigranowa, liczyła sobie nie więcej niż sto pięćdziesiąt centymetrów. Kiedy to piszę, mam ją przed oczyma tak wyraziście, jakby zesza ze sceny świata w ostatnich dniach, jakbym ją mijal na ulicy wczoraj czy przedwczoraj i swym skrzeczącym głosem, który dopiero przeszedł mutację, wyburkiwał „dzień dobry” (rodzice nieustannie kładli mi do głowy, że mam się kłaniać wszystkim spotkanym na traktach naszego miasta znajomym). A więc pamiętam, jak pani Aniela przemierzała ulice latem zawsze w tej samej jasno bordowej sukni do kostek i z długimi rękawami, w której z biegiem lat więcej było cer niż właściwego materiału – i zawsze, niezależnie od pory roku, w tych samych butach na niewysokim obcasie, sznurowanych i chyba sięgających łydki, takich, jakie w teatrze można zobaczyć na przedstawieniach, których inscenizatorzy dbają o zachowanie XIX-wiecznych realiów. Zimą na tę jedyną suknię, niezmienną jak zdanie o rączce z czerwonej masy, nakładała paltocik w kolorze, który niegdyś, za dawnych dobrych, a więc przedwojennych czasów, był zapewne wyraziście granatowy, ale starzejąc się wraz z właścicielką, wyblakł czy wyszarzał, tak że trudno byłoby go określić za pomocą jednego przymiotnika. Nie pamiętam zaś, co pani Aniela nosiła na głowie, z pewnością nie był to kapelusz, raczej chustka, chroniąca w miarę potrzeby przed wszelkiego rodzaju zagrożeniami – słońcem, wiatrem, chłodem, choć zapewne nie – deszczem, bo temu miała służyć parasolka. Zapamiętałem natomiast doskonale jej twarz, coraz bardziej pomarszczoną, nic zatem dziwnego, że momentami wydawać się mogło, iż nic już na niej poza zmarszczkami nie pozostało. Były jednak oczy – duże, jasne, niebieskie, one swojej barwy nie utraciły. Ta twarz przypominała mi wizerunki kobiet ze środowiska ziemiańskiego, podobieństwa ujawniały się w rysach, w kształcie no-

sa itp. Mimo skrajnego zubożenia i ogólnej nędznej kondycji pani Aniela przynajmniej w wyglądzie zachowała coś z właściwości środowiska, z którego wywodziła się jej zmieszczanią i – potem – spauperyzowana rodzina. Może zresztą był to już tylko dziwaczny, bo jeszcze żywy, portret trumienny.

I tak prezentującą się staruszkę kilkuletnie dzieci, uczniowie niższych klas szkoły podstawowej, uznały za swoją. Wciągały ją do zabaw – i robiły to perfidnie, zapewniały bowiem, że wiedzą, gdzie znajduje się sławna parasolka. Pani Aniela, mimo że ten numer powtarzał się wielokrotnie, za każdym razem dzieciom wierzyła, wchodziła w gromadę i wraz z nimi biegła we wskazane miejsce, raz było to mniej lub bardziej oddalone podwórze, innym razem – strych, to znów – piwnica. Brały ją za ręce i rozpoczynały bieg, czasem formował się dziwaczny korowód, a ona praktyki te całkiem dobrze znosiła.

Mimo wszystko serce biło szybko,
 Coś do jej główki wpadło i pobiegła,
 Biegąc, jak gdyby była złotą rybką,
 Która od wędki z dała plusk spostrzegła;
 I coraz prędzej leciała i gibko
 Chwiała się, ogniem twarzyczkę zażęgła,
 Zdyszała się – i różowa wpadła
 W bramę, i wkoło spojrziała, – i zbladła.

Strofa ta opowiada wprawdzie o innej Anieli, pięknej i młodej, możemy ją jednak odnieść do naszej bohaterki, choć z pewnością nic w sobie nie miała ze złotej rybki. A jej bieg, choć niewątpliwie chciała dorównać swym młodocianym towarzyszom, był dreptaniem małymi kroczkami, jedynie dostępnymi dla tej starej kobiety, która miała w sobie jednak tyle siły, energii i zapamiętania, by w ogóle takim biegiem sprostać. Czasem, gdy otoczona była dziećmi, ten czy ów usiłował zapobiec dziwnej zabawie, dostrzegając zapewne nie tylko jej absurdalność, ale także zagrożenia, jakie z sobą przynosi dla życia staruszki, ona jednak przyjmowała niechętnie tego rodzaju interwencje lub wręcz je odrzucała, pragnęła przecież odzyskać swą parasolkę z czerwonej masy rączka. I to właśnie uważała za swoje główne zadanie, wszelkimi sposobami chciała je spełnić, choć serce biło szybko, a ona sama chwiała się i bladła. W tym ułomnym ciele tliła się jeszcze wielka witalność, skoro tak nieostosowne eskapady nie zakończyły się fatalnie – i staruszka uchodziła z życiem, a los jej nie upodobił się do dziejów owego emeryta z Drohobycza, który wrócił między dzieci, by z ławy szkolnej poszybować prosto w zaświaty.

Tym bardziej ta dobra kondycja zdumiewała, że podobno od wczesnej młodości narzekała pani Aniela na dolegliwości serca i zwykła o sobie mówić, że jest sercowa. A kto cierpi na taką przypadłość, musi się oszczędzać, nie wolno mu podej-

mować wysiłków fizycznych i zabierać się do pracy. Nasza bohaterka należała do gorliwych wyznawczyń tych zasad, co narażało ją na przykrości i konflikty z rodziną. Była bowiem rezydentką. Najmłodsza z rodzeństwa, miała trzech braci; zapamiętałem ich imiona – Feliks, Seweryn, Piotr – choć tylko ostatniego z nich widziałem, zmarł bowiem już po wojnie w sędziwym wieku. I choć nie zamieniłem z nim ani słowa, do dzisiaj pamiętam, jak wyglądał; w latach późniejszych, gdy jego od dawna wśród żywych nie było, a ja czytałem komedie Fredry, tak właśnie wyobrażałem sobie postarzałych czy wręcz starych szlachciców, których w nich nie brakuje. Jego ziemiańska rodzina rzucona została jeszcze w poprzednim pokoleniu na miejski bruk. Losy jej członków układały się w myśl wskazań pozytywistycznych publicystów i powieściopisarzy, przemienili się w ludzi interesu, stali się przedsiębiorcami i kupcami. A że zachowali choćby w jakiejś mierze stary obyczaj, świadczy to, że od instytucji rezydentki się nie odzegnali – i zapewnili siostrze, która zawodu nie miała i do pracy się nie garnęła, byt codzienny, choć może niezbyt spokojny i niezbyt komfortowy. Pani Aniela przez dziesięciolecia żyła w mieszkaniu Piotra, znajdującym się na tyłach sklepu kolonialnego.

O jej wczesnych latach wiem niewiele, toną one w odmętach ciemności, nie dotarły do mnie żadne, choćby pośrednie, relacje poza jakimiś strzępkami, z których trudno rekonstruować biografię. Wszystko wskazywało na to, że zostanie starą panną. I do pewnego momentu nią była, zwłaszcza jeśli się zważy na obyczaje panujące w tamtej tak już odległej epoce. Ale tuż przed wybuchem pierwszej wojny, a więc gdy mocno przekroczyła trzydziestkę, za mąż wyszła. Zdaje się, że pod naciskiem braci, bo sama do mariażu się nie paliła. Szczęśliwym małżonkiem został mężczyzna trochę od niej starszy, z zawodu nauczyciel. Pochodził z dalekich kresów, nie wiem, jakim sposobem znalazł się w naszym miasteczku, w którym zresztą nie dane mu było zagrześć miejsca. Wybuchła wojna, zmobilizowano go, spędził kilka lat w rosyjskiej armii. Słuch o nim zaginął na długo, wrócił już za pokoju i gdy po tak długiej przerwie ujrzał swoją małżonkę, miał podobno wykrzyknąć: „Boże święty, jaka ty jesteś mała!”. Nie miał ochoty na kontynuowanie tego związku, nie miała też pani Aniela. Opuścił Miasteczko – i w pewnym momencie zaczął zabiegać o unieważnienie małżeństwa (chyba nie konsumowanego), ona jednak nawet nie chciała o tym słyszeć, gdyż to, co Bóg związał, tylko Bóg może rozwiązać. Była pobożną niewiastą, pragnęła żyć po bożemu, żadne ustępstwa i kompromisy w grę nie wchodziły.

I mimo zamążpójścia rezydentką pozostała – aż do momentu, gdy dwa czy trzy lata po zakończeniu drugiej wojny mieszkanie na tyłach sklepu kolonialnego zostało zlikwidowane, a lokal przejęło państwowe przedsiębiorstwo o nazwie Miejski Handel Detaliczny. To z tym miejscem właśnie wiązała się duża część jej ży-

cia, cichego, skromnego, ale chyba nie pozbawionego napięć i upokorzeń. Z bratem, który cały swój czas poświęcał na prowadzenie sklepu, zadrażnień nie miała, trwała jednak nieustanna wojna między nią a jego żoną, którą nazywała Piotrową. Pani Piotrowa z trudem znosiła w swym domu obecność osoby, która snuła się bezczynnie, wciąż zgłaszała jakieś roszczenia i pretensje, ale do niczego się nie przykładła, nie pomagała ani w sklepie, ani w kuchni, nie oddawała najmniejszych usług przy wychowywaniu dzieci. Ale jakże można było w ogóle tego od niej oczekiwać, skoro jest sercowa i wszelki wysiłek byłby dla niej zabójczy!

Pani Aniela odwiedzała moją Babkę – jak się zdaje – również z tego powodu, że była podejmowana jak oczekiwany gość, mogła więc zapomnieć o tym, że bratowa traktuje ją jak osobę zbyteczną, trutnia czy wręcz pasożyta. I te wizyty przez lata stały się rytuałem. Ich częstotliwość zmalała nieco przed wojną, o co Babka moja miała do niej żal. Pani Aniela słyszała zewsząd, że Żydów wygnać trzeba na Madagaskar, należy ich bojkotować, a tak w każdym razie czynić powinna Polka – katoliczka. To Żydzi przecież nam zagrażają, robią przeciw naszej nacji jakieś intrygi, przechwytyją handel, no i – dla osoby religijnej rzecz wagi najwyższej – zamordowali Pana Jezusa. Dochodziły do niej takie opinie ze wszystkich stron, trudno stwierdzić, w jakim stopniu uznała je za swoje, może zresztą niezbyt się nad nimi zastanawiała, pozostaje wszakże faktem, że gdy odwiedzała w tym czasie dom dziadków, a nie miała jednak zamiaru całkiem wyrzec się tej przyjemności, to czyniła to tak, by dla postronnych oczu jej poczynania były niezauważalne, przemyślała się niepostrzeżenie, co przy jej niewielkim wzroście nie przysparzało szczególnych trudności. I z pewnością nie była tak publicznie widoczna jak wiele lat później, już w innej epoce, kiedy przemierzała ulice w poszukiwaniu parasolki z czerwonej masy rączka.

W owym powojennym czasie nie była też z pewnością rezydentką – i to nie tylko z tej racji, że Polska Ludowa takiej ludzkiej kondycji nie sprzyjała. Zabrakło już po temu warunków rodzinnych, umarła Piotrowa, umarł Piotr, a obydwaj ich synowie, głęboko zaangażowani w AK-owską konspirację, zostali rozstrzelani przez Niemców. Pozostała tylko wdowa po jednym z nich, kobieta piękna i młoda, ale z nią pani Aniela – poza wzajemną niechęcią – nic nie łączyło. Nie miała żadnego życiowego zabezpieczenia, nie miała tego, co zwykle się nazywało środkami do życia, nie istniał nikt na świecie, kto mógłby się nią systematycznie opiekować. Znalezione dla niej niewielki pokój w drewnianym domu, należącym chyba do kogoś z dalszej rodziny, wybudowanym na początku stulecia na jednej z zaniedbanych przecznicy ulicy 3-go Maja. To właśnie do tego mieszkania przyjeżdżały raz w miesiącu trzy bratanice (jeśli się nie mylę, jedna z nich była córką Feliksa, dwie pozostałe – córkami Seweryna), by przywieźć pani Anieli coś do jedzenia i prze-

kazać niewielką sumę, którą miała opędzać swe najbardziej elementarne potrzeby. Były to w owych latach kobiety już niemiłode i niewątpliwie zubożałe; jeśli nie przeszły na emeryturę, to pracowały na skromnych urzędniczych posadkach. Trzy bratanice jako najbliższa rodzina szły w czasie pogrzebu tuż za karawanem.

Zapewne im także żaliła się pani Aniela, że zgubiła parasolkę z czerwonej masy rączka. Była to ostatnia doniosła sprawa w jej życiu, ostatni mit czy też ostatni fantazmat. Być może i w zaświatach poszukuje owej nieszczęsnej parasolki, którą straciła nie wiedzieć kiedy i jakim sposobem.

Michał Głowiński

Aleksander Jurewicz

Zapiski ze stróżówki (11)

LUTY, MARZEC 2001

Jeszcze trzy tygodnie temu Andrzej siedział w moim fotelu przy biurku, na którym już muszę o Nim pisać w czasie bezpowrotnie przeszłym, w czasie zatrzaśniętym wiekiem trumny, zasypanym grobowym piaskiem, przykrytym pośmiertnymi kwiatami. Pogrzeb był wczoraj. Śmierć Andrzeja wciąż jest nielogiczną prawdą i ciężko zmusić się do myśli, że to właśnie o Andrzeja chodziło podczas żałobnej mszy w niepokojącej scenerii kościoła św. Jana, że to na Niego czekał grób wykopany na cmentarzu w Oliwie i że to Jego tłumnie odprowadziliśmy na wieczne odpocznienie. Trudno zmusić się do zapamiętania, że Andrzeja nie będzie już nigdy pomiędzy nami żywego, że Jego życie skończyło się – nagle, nieoczekiwanie, bardzo za wcześnie. Cień Andrzeja zaczepia się o słuchawki telefonów w naszych mieszkaniach, jest zakładką w książkach, których nie możemy od paru dni doczytać, snuje się za wieczornym oknem wraz z padającym od rana śniegiem. Jak to możliwe, że jeszcze niedawno tutaj był, a dzisiaj jest cierpką pustką, której nie potrafi i nie chce zrozumieć otumaniona pamięć?

Nadal lodowatym dreszczem powracają słowa duszpasterza środowisk twórczych, ks. Krzysztofa Niedałtowskiego: „Nie rozumiemy Jego tajemnicy. Każdy z nas ma swoje. Ale przyjmijmy tę Jego tęsknotę, tę Jego niecierpliwłość jako znak

dobry. Znak dla nas. Choć Jemu chyba zamknął się horyzont, nie wytrzymał czekania. Choć nie wytrzymał nienasycenia, my wytrzymajmy. Jest tyle rzeczy do zrobienia. Tyle książek do napisania, tylu studentów do nauczenia, tyle smaków do przedsmakowania, tyle tajemnic do przeczcucia. Wytrzymajmy.”

Niełatwo pisać o Andrzeju... Czas przeszły, w którym trzeba o Nim pisać i myśleć, tak niepodobna Jemu przypisać. Kiedy wtedy wyszedł stąd wierzyłem, że jednak sobie poradzi, że któregoś dnia zagaśnie czarny ogień, co Go od kilku miesięcy wypalał, który odzywał się bolesnym skurczem na twarzy, bezsennością, trującą mgłą przysłaniającą wszelkie pragnienia; tamtego styczniowego popołudnia umieranie w ogóle nie wchodziło w rachubę. Tak, śmierć była odległą, nieuniknioną ostatecznością, niewartą na razie kaleczenia myśli. Wziął *Dotyk ciemności* Williama Styrona, tę ewangelię dla wszystkich, których dni i noc, których życie poczyna zagarniać przedwczesny mrok, zapisał też telefon lekarza. Myślę, że przeczytał Styrona, wiem, że zaczął brać tabletki, ale zadzwonił telefon, „– zmarł Andrzej Chojecki!” – powiedział ktoś zdrtwiałym głosem. Wszystko inne mógłbym Andrzejowi przypisać, tylko nie przedwczesną śmierć.

Starczyło Andrzejowi sił na przejście 52 lat. Dużo to, czy mało? Czy stwierdził, że tyle wystarczy i że już nadeszła Ostatnia Noc, kiedy trzeba odmówić życia swojemu życiu? Już go nie będzie wśród nas nigdy. Tylko w swoim pisaniu i przekładach z literatury skandynawskiej pozostanie, na wspólnych zdjęciach, w pamięci i wspomnieniach, może w czyichś wyrzutach sumienia, komuś może przyśni się czasami, jakby odszedł tylko na chwilę, a nie na zawsze. Tak wypełniło się życie jednego z nas, zamrożony piasek osypuje się na trumnę i słyszemy podziemne echo albo otwieranie się drzwi do zaświatów. Litościwe słońce, zakryte dotąd chmurami ocierającymi się o oliwskie wzgórza, przedziera się przez nagie gałęzie cmentarnych drzew, ale już jest po wszystkim, już stało się...

Tylko stukanie łopat rozchodzi się w przygrobowej ciszy, zaraz Andrzej zostanie już tutaj sam, jeszcze stoimy przy Nim zziębnięci jeszcze jesteśmy z Nim razem połączeni żalobą i smutkiem. Później u Pascala odszukam zdanie, którego strzępy przyczepiły się do mnie za bramą cmentarza: „Wyobraźmy sobie gromadę ludzi w łańcuchach, skazanych na śmierć; co dzień kat morduje jednych w oczach drugich, przy czym ci, którzy zostają, widzą własną dolę w doli swoich bliźnich i spoglądając po sobie wzajem z boleścią, a bez nadziei, czekają swojej godziny.”

Patrzę cicho ze ściany kilkumiesięczny, trzyletni, pięcioletni i ośmioletni i ja na nich patrząc, chociaż nie tak nieustannie jak oni. Zerkam na nich przypadkiem szukając jakiejś spłoszonej myśli albo tylko odwracając się od widoku kamienicy z naprzeciwka, z której codziennie na moich oczach luszczy się popielaty tynk, odsłaniając poblakłą czerwień starych cegieł. Obserwują mnie nieruchomym spojrzeniem, gdy pochylam się nad kolejnym listem, którego nie umiem napisać i wiedzą, że za chwilę porwane kawałki znowu spopielę w filizance, gdy zawiązuję sznurowadła, a ozdrowiony pies miota się radośnie po stróżówce, kiedy nie mam siły wstać, a oni nie domyślają się dlaczego leżę z szeroko otwartymi oczami, przez które widzę tylko bezdenną czerń. Nie odgrywam przed nimi żadnej roli, nie toczę finezyjnej gry, pewnie nudzi ich monotonia moich dni i nocy, zaśnięć i przebudzeń, mają dosyć muzyki, której słucham, drażni ich szelest kartek czytanych książek i nawracające ciągi stukania w maszynę do pisania. Ale czasami może zaniepokoi ich przedłużająca się cisza, kiedy nie słyhać muzyki, na podłogę nie spada ołówek, tylko z popielniczki wysypują się niedopałki papierosów i niecierpliwie czekają chwili, aż cisza opadnie, jakby ciężki kamień odsunięto przed drzwi. Są bezradnymi świadkami, których być może zawstydzam swoim życiem, zniechęceniem, starzeniem się, chyba mieli inne plany wobec mnie, nie takie tęsknoty do spełnienia czy głody do wykarmienia, obstawiali lepszy wariant losu, inaczej miało być za tamtym pierwszym horyzontem: nie to miasto, nie ten stół, nie takie sny. Bo na pewno zapamiętali, jak to naprawdę miało być i wiedzą dlaczego nic z tego nie wyszło. Bo na pewno pamiętają, dlaczego ich życie poszło inną drogą. Teraz patrzą przerażonym spojrzeniem, jak ich życie dopala się niczym lampa naftowa z dawnych, ledwie pamiętanych wieczorów. Widzimy siebie w dopiero co weszłym słońcu, zadeszczonym popołudniem, w niespokojnym cieniu rzucanym przez światło nocnej lampy, powlekającym ich postacie półmrokiem i usiłuję szczytać z ich oczu jakąś odpowiedź, otuchę, zrozumienie albo chociaż miłosierne współczucie — — —

i opuszczam wzrok nie znajdując żadnego usprawiedliwienia, żadnego alibi ani pewności, że zrozumieją i przebaczą, że ich i moje życie było warte przeżycia czy było bankructwem, czy z jakimś debetem lub z wyzerowanym kontem. Jeżeli nie potrafiłem dochować wierności ich marzeniom i wyobraźni, okazałem się wiarolomnym i dezenterem ich dziecięcych pragnień...

Oni błąkają się w zagęszczonych wspomnieniach, myślą twarze i imiona, daty, miejsca i sytuacje. Szukają krzaków jaśminu z niemymi szpakami i czarnego bzu, co są za nimi, nie mogą sobie przypomnieć, gdzie podział się koń na biegunach

i książka z niepolskim alfabetem ściskana w pięcioletnich palcach. Tyłu ich różnych, a są bliźniętami wiedzącymi o sobie wszystko, przeżyli w jednym czasie te same choroby, niepokoje i nadzieje, dotykali tych samych kobiet, upijali się o tej samej porze, głaskali te same psy, budzili się w tych samych pociągach, klękali w tych samych kościołach, jednakowo gdzieś się spóźniali albo nadaremnie na coś lub kogoś czekali, mają tę samą matkę i mieli tego samego ojca, na którego grobie palą te same świece.

Nawet nie muszę podnosić się z fotela, bo wystarczy wyciągnąć rękę i dotknąć któregoś z nich. Ale przecież dobrze wiem, że nigdy nie wezmę na ręce tamtego kilkumiesięcznego, patrzącego z ufnością przed siebie ani nie położę dłoni na włosach ośmiolatka, bo szkło fotograficznych ramek rozdziela nasze życie na dwie części – tam jest dzieciństwo i wszystko, co już się zdarzyło, a tutaj już nigdy nie będzie żadnego początku, wszystkie początki zostały za szkłem, na ścianie, po drugiej stronie. Pozostaje tylko patrzeć, więc tylko patrzę, jak „rzeka która cierpi bo odbicie obłoków i drzew nie są obłokami i drzewami.”^{*} Kiedyś opuszczą tę ścianę i odejdą za mną za inny horyzont, co przybliży się z każdym oddechem. Może to będzie tamten pierwszy horyzont. „Czekają swojej godziny...”

Aleksander Jurewicz

Julian Kornhauser

Dziennik poetycki (2)

CZESŁAW MIŁOSZ: TO (2000)

Wielki, wspaniały tom, liczący ponad sześćdziesiąt wierszy! I jakże odmienny od dwóch poprzednich książek z lat dziewięćdziesiątych, tj. *Dalszych okolic* i *Na drugim brzegu rzeki*. Złożony z czterech części, choć robi wrażenie zbioru dość luźnego, w istocie jest dobrze zakomponowaną całością. Tytułowy wiersz, rozpoczynający opowieść o minionym życiu, wprowadza nas w istotę rzeczy. *To* jest nie-

^{*} Czesław Miłosz – *Esse*.

uchwytnym darem niebios, tajemniczą siłą, która pozwala nazywać rzeczy po imieniu i „sięgać po zabronione.” Jednocześnie należy potraktować ów, otwierający zbiór, tekst jako wyznanie wiary i program poetycki. Miłosz lubi tego typu „podsumowania”, szczególnie w ostatnich latach. Mają one zawsze charakter, żeby tak rzec, obiektywistyczny i unikają nostalgicznego załamywania rąk. „Pisanie było dla mnie ochronną strategią/Zacierania śladów.” Poeta zaciera ślady wzruszenia i tęsknoty za uczestnictwem w intymnym życiu innych, ale także zaprzeczając istnieniu tego „to”, żyjącego, „pod spodem”. Wiersze – „ekstazyjne pochwały istnienia” nie były niczym więcej jak tylko ćwiczeniami wysokiego stylu. I choć ważniejsze było „to”, jego ukrytego życia nie dało się ujawnić. Miłosz, nie umiejąc w pełni nazwać owej siły, porównuje ją do myśli bezdomnego w obcym sobie mieście, do chwili eschatologicznego lęku Żyda, otoczonego przez wrogów, do zdziwienia kogoś, kto żyjąc w świecie wyizolowanym, odkrywa prawdziwy świat nędzy, do stanu, kiedy człowiek zostaje opuszczony przez innych, „albo do słów lekarza o nie dającym się odwrócić wyroku.” *To* oznacza zrozumienie kresu i niemocy, bezradność przed „kamiennym murem.” Nie chodzi zatem o natchnienie, ani o *elan vital*, czy wyzwanie religijne. Miłosz mówi o egzystencjalnym lęku, który nie opuszcza człowieka, towarzysząc mu stale w jego działaniu. Wyobcowanie, strach, zdumienie innością, samotność i poddanie się myśli o śmierci. I zrozumienie konieczności poddania się. Owo „to” jest „we mnie” stale, „we dnie i w nocy.” Ale tylko dzięki temu nienazwanemu lękowi „umiałem opisywać.” Ćwiczenia wysokiego stylu i lęk. Ochronna strategia i pochwała istnienia. Miłosz mówi o nieprzystawalności aktu twórczego do sensu bytu, choć zawsze mu się wydawało, że tę granicę można przekroczyć. Opis, a właściwie dotykanie problemu lęku, który tworzy i stwarza, jest przyznaniem się do dawniejszego zacierania śladów, czyli przekonania o nieuchronności upadku.

Wiersze, umieszczone na początku książki, po raz nie wiadomo już który powracają do litewskich korzeni, do Szetejń, Kiejdan i Wilna. Tymi powrotami naznaczona jest cała powojenna twórczość Miłosza. I różnie to w przeszłości bywało. Poeta mitologizował przestrzeń dzieciństwa i młodości, bywał kronikarsko wierny w opisie szczegółów tak świetnie zapamiętanych, dokonywał trudnego rozrachunku. W nowym zbiorze nie ma być może jakichś w tym względzie oszałamiających zmian, ale warto zauważyć chęć „heraklitejskiej zadumy.” Otóż, Miłosz zaczyna porównywać. Po odwiedzinach swojego gniazda w 1997 roku nasuwa mu się myśl o przemijaniu: „Nic nie trwa, ale trwa wszystko: ogromna stałość.” Wiersz *Do leszczyń* w sposób szczególny, bardzo w końcu emocjonalny opowiada o tej sprzeczności. A właściwie o przeznaczeniu. „Nie poznajesz mnie, ale to ja, ten sam,/Który wycinał na łuki twoje brunatne pręty” – powie do za-

pamiętanej z dzieciństwa leszczyny, teraz ogromnej, rozrośniętej. Życie i biografia – także o tej sprzeczności jest mowa. Dzieciństwo jest życiem prawdziwym, samym szczęściem, zamieszkaniem w baśni. A biografia wyłącznie zmyśleniem, nieprawdą. To, co stało się później, „zasługuje na wzruszenie ramion.” Dzieciństwo zatem nie jest biografią czyli zmyśleniem. Ogromna stałość, o której czytamy i w której poeta próbuje umieścić swoje przeznaczenie, odnosi się zarówno, jak myślę, do samej istoty życia, jak i pamięci. Także w tym zawiera się *To*. Ciekawe jest *post scriptum* do tego wiersza, a zwłaszcza sam jego koniec: „Na krótko byłem sługą i wędrowcem./Odpuszczony, wracam drogą niebyłą.” Surowy osąd życia. Mimo wszystko krótkiego, wymierzonego służeniem i wędrowaniem. Ważniejszy jednak wydaje się powrót „do leszczyny”. Wprawdzie drogą niebyłą, zupełnie już inną, może wyśnioną, ale mimo wszystko kiedyś wydeptaną.

Tą samą drogą Miłosz kroczy w innych wierszach tego cyklu. W *Nie rozumiem*, utworze wspominającym rotmistrza rajtarskiego z Kujan nad Niewiażą, zastanawia się nad cielesnością pamięci. Dopóki trwa wspomnienie, dopóty dawno zmarli żyją. I „jak życie może zmienić się w śmierć?” Tego właśnie poeta nie może zrozumieć. Wpatrując się w fotografię swojego dziadka, Zygmunta Kunata i wertując stare pamiętniki, opisujące litewską prowincję, jeszcze raz podkreśla znaczenie pamięci. Zwłaszcza o swojej małej ojczyźnie, bo „trzeba cenić prowincję i dom, i daty, i ślad minionych ludzi.” O nietrwałości i wieczności mówi *Jezioro*, wiersz wyraźnie mickiewiczowski. Odgadnąć los i przeznaczenie! Ale jak, skoro życie jest dziwne i niezrozumiałe, jak czytamy w wierszu *Po podróży*. To bardzo osobisty, przejmujący utwór, próba *curriculum vitae*. Życie jest podróżą, która jednak nie pozwala odpowiedzieć na pytanie o „sedno i sens własnej osoby.” Człowiek jest niejasny dla siebie, bo uczestniczył w przedstawieniu w teatrze marionetek. Nie działał, ale był działany „przez posługujące się nim siły.” Z odległości człowiek wydaje się istotą absurdalną i irracjonalną. Zaskakujący to, przynajmniej wniosek. Jakby nie należały do Miłosza. Człowiek jako bezwolna marionetka, pozbawiona własnej woli, nie potrafiąca wyzwolić się z deterministycznych okowów życia. Ale pisze to poeta dziewięćdziesięcioletni, żegnający się i to nie z teraźniejszością, lecz przeszłością właśnie. Z ukochanym i szczęśliwym Miastem, z „miastem mego bólu,” z młodością. Także z naiwną filozofią przekraczania barier, buntu i przemiany. Nic z tych rzeczy. Okazało się po latach, że był „igraszką sił/chichoczących, nurkujących w powietrzu.” A więc przedstawienie. Pociąganie za sznurki. Jednak bez cierpienia. Miłosz odrzuca cierpienie. W tym jest konsekwentny. Bo „dziecinne słońce wschodzi.” Bo „wody płyną i płyną.”

Część druga jest pochwałą piękna, urody świata i zmysłu obserwacji. W odróżnieniu od poprzedniego cyklu tu króluje współczesność. Poeta snuje refleksję o pożądaniu. Pożądaniu wszystkiego, całej „mnogości widzialnych rzeczy”. Poezja powstaje z rozkazu „erotycznej wyobraźni”. Ona dyktuje układanie scen. Ekstazy obcowanie ze światem składa się z kontemplacji i „apetytu”. Oczywiście jest rzeczą, że Miłosz próbuje cały czas definiować owo tajemnicze „to.” Ale równocześnie dziwi się, że ciągle zapatrzone jest w młode piękno. Jakże prawdziwe i szczerze to zdumienie! Wiersz *Na moje 88 urodziny*, napisany w Genewie pod koniec ubiegłego już wieku, przynosi łatwą do zapamiętania frazę: „Ocalony, bo z nim wieczne i boskie zdziwienie.” A w innym czytamy o nieustawianiu w napowietrzonym biegu i pojeniu światłem. Nie ma tu żadnych próśb i konfesyjnego wyciszenia. Wprost przeciwnie, Miłoszowi dany został dar upajania się pięknem czyli wieczną młodością. Ważniejszym przy tym się zdaje samo patrzeć, sam podziwiać niż opis, zamieniający się w coś kruche i nieprecyzyjne. Widzieć irys, a nie go opisywać! To ostatnie sformułowanie otwiera bardzo ciekawy, czterowersowy cykl, za każdym razem zaczynający się od słowa zachwyty: O! Poza wierszem o irysie są to trzy krótkie „zdumienia” obrazami Klimta, Rosy i Hoppera. Trudno mi w tej chwili ustalić – cała sprawa wymagałaby dokładnej analizy – czy owe opisy malarskich spełnień są „belkotem” opisu, o którym mowa w wierszu O!. W każdym razie rzeczywistość wylaniająca się z tych obrazów tylko do pewnego stopnia odpowiada prawdzie. Bo nie wiadomo, kim jest postać z *Pokoju hotelowego* Hoppera i jaka przyczyna zrodziła smutek na jej obliczu. Bo spokój kąpiel pod skałami na obrazie Salvatora Rosy tylko trochę przypomina scenę z życia. Bo Judyta z pracy Klimta zbyt jest ozdobiona, „wyobrażona”, aby móc się przeobrazić w surowe życie, dane żołnierzom, sposobiącym się do ataku.

Następujące po tym cyklu wiersze komentują proces „podglądania”. Istotą poezji i życia w ogóle jest „wchłanianie” jak najwięcej barw, zapachów, dźwięków. Pożądanie i nienasycenie. Chciwość widzenia i stwarzanie „czarodziejskiego rejestru” doznanych przeżyć. W wierszu *Gdziekolwiek* Miłosz precyzuje ów proces, stwierdzając, że takie poznawanie świata ma służyć rozumieniu własnego rodowodu, budowaniu tożsamości. Przecież czytamy: „przemienić co doznane/w czarodziejski rejestr i zanieść tam, skąd/przyszedłem.” Bo nie jestem stąd. Bo zostałem posłany, abym sprawdził i doświadczył wszystkiego. Na początku i końcu jest źródło dzieciństwa. Ale pamiętajmy: żadnych wyznań i fałszywych uczuć! Tylko niezmienny porządek rzeczy. „Zanadto cenię styl, żeby ryzykować.” Składanie hołdu Niepojętemu rodziło jednak pewien dylemat: mnożyć skargi czy piąć

peany? Skończyło się „udawaniem radości.” Bo „skarga nie przyda się na nic.” Ów cykl poświęcony został starości. Nie tyle starzeniu się i zamykaniu rachunków, ile – uwaga! – szczęściu starości. Najwyraźniej o tym szczęściu pisze Miłosz w pięknym, bo prostym i szczerym wierszu *Obudzony*. Ile w nim prawdy i skruchy, zadumy i kwintesencji życiowej mądrości! To szczęście, mówi poeta, nie ma żadnych powodów. „Wszystko odbyło się tak, jak być musiało, zrobiłeś, co tobie było wyznaczone i nie musisz już myśleć o rzeczach dawnych.” To szczęście polega na darze spokoju i lasce pogodzenia. Wyzwolenie z trosk zaś na odłożeniu przeszłości na wyższą półkę. Zadziwiająco dużo w tych wierszach jest wyznań o udawaniu i nieumiejętności powiedzenia prawdy. Skąd to? Z przekonania o wyższości „sztukmistrzostwa” nad rozpaczą, strategii niemówienia i „podziwu” nad wiarą. Miłosz nie ukrywa też poczucia „zdrady.” Jest to zdrada wobec, jak ich nazywa, pokonanych i wiernych, czyli krajan związanych z dawnym obyczajem, wiernych przeszłości. Polegała zaś na ucieczce w świat intelektu, krainę dystansu. Miłosz jednak zastrzega się: mnie znaczone była „inna wierność.” Wierność, która nie mogła brać pod uwagę mówienia wszystkiego, „co naprawdę myślę.” Nie warto bowiem wyjawiać błędów, złych stron ludzkiej egzystencji. Autorowi omawianego zbioru łatwo jednak przychodzi teraz rozpamiętywanie „grzechów”, zwłaszcza dawnych nieszczęsnych, namiętnych miłości! Nie czytam tych wynurzeń w sposób literacki. Przeciwnie, widzę w nich coś przejmującego, metafizycznego. To myślenie doskonale dopasowuje się do estetyki Niepojętego. Nie ma tu egzaltacji, tylko ciemna konstatacja braku, oderwania się czasu.

Trzecia część książki, poprzedzona refleksją Zygmunta Mycielskiego o mówieniu prawdy o innych oraz wierszem *Przemilczane strefy* na temat bezsensu wyjawiania rzeczy zbyt okrutnych dla „ludzkiego serca”, została wypełniona utworami o ważnych, dla Miłosza, postaciach współczesności, wśród których są poci, filozofowie, artyści. Cykl ten powtarza nieco zdanie Zbigniewa Herberta, zamieszczone w tomie *Rovigo*. Być może jest to niezamierzone podobieństwo, wszak i dawniej autor *Dalszych okolic* stosował tę konwencję, ale zważywszy na dobrze już opisaną polemikę między obu poetami taka interpretacja nie wydaje się wcale absurdalna. Najpierw jest mowa o „wielkim patronie”, Mickiewiczu. A właściwie o konflikcie między czystą sztuką a politycznymi rojeniami. „Mój wielki patron zrobił dużo złego” – bowiem zamiast pozostać przy swoich balladach i sonetach, zaczął bronić barykad i łatwo poddał się mitologii narodowej z jej wrzaskami i obrzędem plemiennym. Miłosz odnosi to do własnej postawy, którą określa jako chodzenie w przebraniu i maskach. Poeta musi chronić się przed

sztandarami. Czym? Niejednoznacznością i nierozpoznawalnością. Jeśli nawet dla wielu tego rodzaju oświadczenie będzie kamieniem obrazu, trudno nie przyznać racji poccie.

Pierwszym bohaterem Miłoszowego widowiska został Iwaszkiewicz. Zastanawiając się nad treścią jego poezji dochodzi do wniosku, że pragnienie ucieczki w nicość, wszystkie żałobne wątki to nie lekarstwo dla tych, co wierzą w opatrność historii. Dlatego jedyne, co przenieść z tej poezji warto dla innych pokoleń, wiąże się z syndromem Ukrainy: językiem, barwami i zapachami stepu, bizantyjskimi zmierzchami czyli samym nienasyconym, poetyką zdumienia, fascynacją pięknem. Niespodzianką w tej galerii autorytetów jest Jan Paweł II. Miłosz akcentuje papieską naukę „nadziei” opartą na wierze w ład, odrzuceniu niepokoju i chaosu i prawdziwym działaniu świętości. Wiersz o Namiestniku został umieszczony, na pewno celowo, między pochwałą Iwaszkiewicza i Jeanne Hersch. Bo to są trzy prawdy i każda z każdą wchodzi w porozumienie. Czego poeta nauczył się od Jeanne Hersch? Wiary w rozum, prawdomówność i prawdę obiektywną, szacunku dla istnienia, sztuki i hierarchii, wyższości wiary w transcendencję nad wyznaniem religijnymi, pracy dla budowania cywilizacji i nie poddawania się rozpacz, „z powodu naszych błędów i grzechów.” Ten niebywały katalog dobrych uczynków, uzupełniony jeszcze pochwałą czystego piękna (Iwaszkiewicz) i nadziei na ład (Jan Paweł II), staje się nie tyle programem czy światopoglądem Miłosza, ile podsumowaniem wysiłków człowieka, by nie dać się połknąć nicości.

Wiersz o Zdziechowskim jest bardziej złożony. Może dlatego, że nie tylko portretuje uczonego, przypominając jego studium z 1915 roku *Przymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa*. Miłosz stara się zrozumieć filozofię rozpacz Zdziechowskiego, a jednocześnie jego samotność w obliczu końca przymierzy do własnego losu. Dużą rolę odgrywa tu wspomnienie. Wszak poeta poznał osobiście filozofa w Wilnie. Pamięć o tamtym odległym wydarzeniu każe Miłoszowi dyktować strofy o spełnionej przepowiedni, o „nieubłaganym ciągu zagłady i narodzin” i własnej filozofii powściągnięcia siebie przed głoszeniem prawdy o cierpieniu. Zdziechowski głosił: świat jest bezładem, nie dziełem rozumu. Ale Bóg jest cudem. Tego wątku Miłosz nie podejmuje wprost, chroniąc się za stwierdzeniem: „cokolwiek dotychczas trwało, zatonęło,/tylko wieże kościelne sterczały chwilę nad otchłanią.” Zwracam uwagę na tę „chwilę.” Cały więc czas chodzi o przekonanie nas, że trzeba umieć żyć z rozpaczą, obchodzić się z nią umiętnie, udawać, że jej nie zauważamy. Nic też dziwnego, że w wierszu *Przeciwko poezji Filipa Larkina*,

przypominającym nieco utwór satyryczny, stanowczo występuje przeciwko zajmowaniu się śmiercią. Nie jest to temat odpowiedni „ani dla ody, ani dla elegii.” Przykładem, jak obchodzić się ze śmiercią bliskich, jest wiersz *Krawat Aleksandra Wata*. Wiersz – wspomnienie. Warszawa i Berkeley, rozmowy i *Mój wiek*. A w tym wszystkim młodzieniec z prowincji, wytworny i cierpiący. „Biedne Wacisko.” I nic więcej. Nic więcej poza obrazem wytwornego pana w tweedowej marynarce pod dzianym krawatem. Poetyka powściągnięcia siebie. „Kto wierzy w Opatrzność, musi widzieć Oko.” I obok wiersz o Robercie Lowellu, pocie wyszydzanym kiedyś za wieczne stany przerażenia, lęki i depresje. Oblęd w poezji nie był dla Miłosza żadną racją artystyczną. Ale teraz, po latach, o przycajonym blisko oblędzie Miłosz pisze jak o czymś bliskim i możliwym. Wszak różnica polega na konwencji. Lowell nie ukrywał swej ułomności. Miłosz, wiedząc, że „coś dzieje się w środku”, chodził „wyprostowany”, udając dumnie brak przerażenia.

W jakimś sensie do tego tematu nawiązuje wiersz, napisany po śmierci Herberta. Przecistawia on twór artysty samemu artyście. Wiersz istnieje wbrew śmierci. Ten, który służył poezji, zamienia się w rzecz. A ona, „oswobodzona z majaków psychozy”, wędruje po świecie „wiecznie jasna.” Niewątpliwie cały wiersz jest aluzją do osoby Herberta i jego poezji, świadczą o tym rozliczne, rozsiane w tekście, kryptocytaty. I głosem Miłosza do rozgorzałej ostatnio dyskusji wokół autora *Pana Cogito*. Także dwa ostatnie wiersze omawianego cyklu, zadedykowane Różewiczowi, analizują problem zła tkwiącego w człowieku. O ile Herbertowi zarzuca tkwienie w majakach psychozy, o tyle neguje Różewiczowski, wywiedziony z romantyzmu, podział na dobrą naturę i złego człowieka. Chodzi o świadomość zła, a nie wrodzone zło. Różewicz, „poważny śmiertelnik”, nie potrafi się cieszyć „frywolnością form.” Zamiast „tańczyć”, ryje „w czarnej” ziemi. Sytuując się między Herbertem a Różewiczem Miłosz wybiera normalność, o której pisze w *Do poety Roberta Lowella*, a to znaczy rozum, uwielbienie i podziw. A to znaczy jasność i dobro.

Najbardziej zastanawiająca i pełna zamawiań jest część ostatnia książki, w sumie dziesięć wierszy. Dziesięć modlitw, dziesięć wyznań bardzo intymnych, dziesięć obrzędów. Już sama ich forma, stylizacyjny taniec, ma wskazywać na odrębność całego cyklu. Adam i Ewa sposobią się do drogi, na końcu której przeraża otchłań. Mimo przestróg siwobrodego ogrodnika, który zrozumiał, że jego dzieło „z winy poznania” zamieniło się w „nienasytlenie duszy i ranliwe ciało.” Pyta więc teraz swoje dzieci, czy było warto „systemata układać, zamiast mieszkać w baśni?” Ale człowiek nie ustaje w wysiłkach, by zmieniać i pieśń układać. A wszyst-

ko to odbywa się pod bacznym wzrokiem Księcia Tego Świata. Bo On wie od początku. Choć Wszzechwiedzący, nie uleczy. „I tak ma być, żeby ci, którzy cierpią, dalej cierpieli, wysławiając Twoje imię.” Pozostaje cierpieć pod Jego „ubawionym spojrzeniem.” Znosić ból i uciekać w urojenie. Stąd wiele pytań, wiele wątpliwości. Może zamiast głoszenia chwały wystarczy adoracja „zwyczajnego polnego kamienia?” Zostaje czekanie na przebaczenie wśród nieustannych wspomnień o kochanych kobietach, których prawdziwe imiona drżą zatajone. Miłość, tajemnicze uniesienie, umieszcza poeta w tym święcie obrzędu. Powaga rzeczy ostatecznych? A może raczej kruchość dziecinnej zabawy? Zamiast wieczności, o której trudno coś powiedzieć, „zieleni i ruch obłoków.” Najbardziej przejmująca jest *Modlitwa*. Wiersz starego człowieka, który musi uwierzyć w Boską opatrność i w to, że trudził się na Jego chwałę. Wbrew wątpieniu i egoizmowi. A życie było skłamańskie, choć „rzec można, nie darmo żyłeś”, bo sława, zaszczyty, znaczenie. Tylko gra, rytmy i rymy, a gdzie esencja? Poezja staje się spowiedzią i jedyną prawdą, choć ubraną w ironiczną formę. Nie poglądy czy przekonania, tylko samo istnienie. Doznanie ziemi. Gonienie za szczęściem. A kiedy bieg się skończy, dusza i biedne ciało połączą się w jedno. A wtedy „jasności promieniste” jeszcze bardziej zajaśnieją.

JERZY KRONHOLD: WIEK BRĄZU (2000)

Po dziesięciu latach nowa książka autora *Samopalenia*. I piąta z kolei. Dopiero piąta? Jeśli wziąć pod uwagę, że Jurek zaczął swoje pisanie już w połowie lat sześćdziesiątych, ręka w rękę z Wojaczkiem, o którym nb. ma wiele do powspominania, to na pewno jest to niespieszny rytm. Pisze więc rzadko, a raczej wydaje niezbyt często, w dodatku dwie jego książki z lat osiemdziesiątych ukazały się w małych, prawie nieznanach oficynach. *Wiek brązu* przynosi wiersze zaskakujące. To zupełnie inne widzenie świata, odmienny niż w dawnej jego poezji język. Skąd ta zmiana? Oczywiście, czas robi swoje. Trudno wymagać, aby pięćdziesięciopięcioletni poeta podskakiwał w rytm młodzieńczych bębenków. Ale nie tylko o stabilizację tu chodzi. Wydaje mi się, że przewaga, ba! zwycięstwo perspektywy osobistej, wyraźne ulirycznienie wypowiedzi oraz postawa afirmacji to rezultat odnalezienia szczęścia. To rzecz jasna brzmi naiwnie. Ale proszę mnie zrozumieć, nie da się precyzyjniej odpowiedzieć na pytanie o przeobrażenie poety wiecznie prowokującego i kontestującego, za jakiego uchodził i jakim przecież był. Zresztą same wiersze umieszczone w dwu cyklach: *Spóźniony List* oraz *Słońce w listopadzie* wymownie o tym świadczą, a nie do przecenienia jest także siła bardzo osobistej dedykacji.

Tomik rozpoczyna się wierszem *Gdyby nie budowa domu*. Doskonale wprowadza w główny temat zbioru. Dom, otaczająca go beskidzka przyroda, mała dziewczynka, pogranicze cieszyńsko-morawskie, uroki prowincji. Świat cisów, „cichego bogactwa”, trójkolorowego zmierzchu. Olza i kolejne stopnie wtajemniczenia. Wieczory zimowe i ślizgawki. Przydrożny kościół, doskonałość. Kronhold znalazł nie tylko swoje miejsce, ale i dowód na doskonałość. Jest ukryte w pięknie przelotnych deszczy. W pełzającej gąsienicy, w szturmowaniu wiatru. W rzeczach prostych i na ludzką miarę. Takie powroty są bardzo częste i nie powinny dziwić. Ale to, o czym chciałbym powiedzieć, ma związek z pewnymi decyzjami stylistycznymi.

Snując swoją opowieść o szczęśliwym istnieniu i odkrywaniu jego tajemniczej melodii trwania, poeta dokonuje bardzo często śmiałego skoku na stylizację. Nie ukrywa przy tym wpływów i nawiązań. To uderzające, ile autor *Wieku brązu* zawdzięcza Adamowi Zagajewskiemu w typie obrazowania, budowie wiersza, nawet rytmie poszczególnych wersów. Tak, pojawia się Schubert i „wielki poeta Holan”, Wenecja i allegro symfonii, nie mówiąc o ognistych zamieciach i płomieniach, błyskawicach. Wcześniej zupełnie tego nie było. A stylizacje? Przede wszystkim na piosenki, tj. utwory silnie zrytmizowane, symetrycznie rymowane, z wyodrębnionymi refrenami, jak w wierszach: *Lato gorące*, *Rymy świętojańskiej nocy*, *Poczekalnia*. Rzucająca się w oczy regularność to oczywiście autoironiczny wybieg, który polega na zaakcentowaniu dystansu między powagą tematu a emocjonalnym, tu kamuflowanym, stosunkiem podmiotu. Dobrze to widać w utworze *Pomiędzy Nikiszowcem a Giszowcem*. Niby zwykła historyjka, nic nie znaczący fragment życia, ale ile tam cierpienia, rozpacz i miłości. Bo zdarza się to na świętej prowincji. Rzecz jasna poeta musi uciec od standardowej emocji i czyni to za pomocą piosenkowej konwencji. Czasem wprost nawiązuje do konkretnej piosenki jak w wypadku *Lucy in the Sky* i Marleny Dietrich. Ale Jurka coś korci nieustannie i nie poprzestaje na piosenkach. A to przypomniał staropolską szopkę z Jezusikiem, a to prześliczną bajeczkę o księżniczce. Ale piosenka nie tylko chroni przed wybuchem uczucia, często mieści w sobie zajadłą kpinę, jak w wierszu *Dilajla*. W tomiku mieszają się ze sobą ciepłe, liryczne obrazki z terażniejszości, wypełnionej „trzyletnią Zosią” i obserwacją żółtych kwiatów, ze wspomnieniami dawnych lat, często ubranymi w kostium konwencji.

I nie chodzi Kronholdowi o kontrast między przeszłością a chwilą obecną. Oba czasy i oba doświadczenia uzupełniają się. To prawdopodobnie próba ogarnięcia Całości. Z dawnych czasów pozostają nie tylko migotliwe obrazy, ale silne prze-

życia, związane z dzieciństwem i młodością: wspaniałe kształt „nadobnej” lokomotywy, stara panna Lucy – miejscowa emancypantka, wieczór poetycki w „Klubie pod Jaszczurami” w roku, w którym spalił się Jan Palach, stara dworcowa poczekalnia, wspomnienie Rafała Wojaczka współmieszkańca domu akademickiego, matka „tworząca rękodzieła”, babka Michalina, siostry... Te obrazy nagle odżywają i wcale nie stają się nachalne. Przeciwnie, są obecne w sposób naturalny i łączą się z radosną przestrzenią nowego Domu. A w Domu „trzymam cię w ramionach, córeczko; wieczór studził się w ścianach jak sok w filiżance; za oknem „krótki deszcz”; a potem „doskonale światło; stół w ogrodzie; obłoczek nad Czantorią; świeżo wyszorowane deski werandy.”

Powstały więc wiersze o „tajemnicy wcielenia”, jak czytamy w *Asparagusie*. O tajemnicy „czterech żywiołów”, w świecie których odrębne swoje miejsce mają najdrobniejsze żyjątka: liszka, kopciuszek, kuna, szpak i biedronka. Poeta wrócił do punktu wyjścia, bo „świat jest lepszy niż przypuszczałeś.”

BOŻENA KEFF: NIE JEST GOTOWY (2000)

Zaskakująca książka! Pełna olśniewających opisów, sennych narracji, poczucia rozdwojenia. Ale jednocześnie ironii i humoru, ale jednocześnie żywego, gęstego języka. Autorka zamieściła w swoim tomie, obok wierszy ostatnich, także utwory z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Nie widać jednak jakiejś zasadniczej różnicy między nimi. To integralna całość, „uniwersalny dom towarowy.” We śnie dzieją się rzeczy niebywale, mające swój własny czas, kompilujące swoją historię. Przy całej „dzikości” opowiadania Keff zachowuje zimny dystans do tych historii, oddzielając tajemnicę snu od poetyckiej konstrukcji. W jednym z wierszy wcześniejszych czytamy o „domu spania.” Jakże to trafne! Bo „śpię, mieszkam w sobie.” Bo „śpię, żyję swobodnie.” Poetka bada zarówno ciemnią przestrzeni snu, jak i język, którym ją próbuje ogarnąć. To duża zaleta zbioru i poetyki Bożeny Keff. Powstające opowieści wyodrębniają się z całości konkretnymi sytuacjami fabularnymi, jak *Rita*, *Gombrowicz i citroen w Vence, 1966* czy powiedzmy *Solo Berkeley*. Rzecz jasna sama poetka szuka pokrewieństw w tej „rozrastającej się dżungli”, ale cieszą ją zawsze „własne oczywistości.” Zastanawiam się nad filmowym, Bunuelowskim charakterem tych wierszy, w których nie brak i dialogów, i suspensów. Szybka zmiana obrazów, drażniąca muzyka, tęcza kolorów. Życie złożone z przypadków, oderwanych fragmentów. A przecież pozostaje w nas uczucie jakiejś konieczności, „zawsze obecnej i zawsze nieosiągalnej.” Ten

ślad filmowy jest widoczny choćby w *Nosferatu, wampirze*, o czym sama autorka informuje w przypisie. Ale także w wierszu dość kpiarskim pt. *O pocieszeniu, jakie daje poezja*, gdzie czytamy: „I marzę o gigantycznym widowisku/jakiejś filmowej operze z baletem, z muzyką przez armatofony.”

Książka Keff składa się z trzech części. W drugiej pt. *Sen o znaczeniu snów* autorka umieściła dwadzieścia parę krótkich próz-opisów snów. W odróżnieniu od poprzedniego cyklu snów-wierszy, w których rytm narracyjny cechuje się szybką zmianą obrazów, *Sen o znaczeniu snów* jest bardziej stabilny, uporządkowany, najczęściej jednospektaklowy. To „światło innych możliwości”, opowieści z dominującym wątkiem uwięzienia (w pokoju, hotelu, mieszkaniu, wypożyczalni czy pałacu). Tamte wiersze przypominały scenariusz filmowy, te natomiast sztukę teatralną. W *Siostrze Hitlera* czy *Pokojówce Kafki*, „grające” postacie próbują się wydostać ze swoich „więzień” w stronę, „w głąb tego świata, żyjącego własnym bezpiecznym życiem.” Bo wszystko jest dostępne, choć dalekie. Ale my „siedzimy na balustradzie”. Czekając na przywrócenie porządku. Najbardziej zastanawiająca jest część trzecia: *Nie jest gotowy*. I najbardziej dramatyczna. W tych kilkunastu wierszach Bożena Keff ucieka od sennika udając się na wyprawę biograficznohistoryczną. Najpierw odwzorowuje życie Lejba Goldina, tłumacza i literata, piszącego w jidysz: to jest „przepuszczanie jego historii przez siebie.” Potem biografie „urodzonej w 1914 roku w niebogatej, emancypującej się żydowskiej rodzinie” również przymierzając ją do siebie, „czując swoje istnienie w granicach ciała okrytego/beżową wełnianą kurtką.” A zaraz po niej zastanawia się w wielu wierszach nad konstrukcją nieistnienia, cieniem pustki, abstrakcją nieskończoności. I nagle zasypuje czytelnika całkiem innymi zdaniem, jakże trzeźwymi, jakże realistycznie gryzącymi. Spogląda sama w lustro. Już nie przystawia lustra innym. Stoi i gapi się w okno, ustawiając się pomiędzy w „środku i na zewnątrz.” Chce wiedzieć, „gdzie jest i gdzie wiecznie przewiecznie będzie nie istniała.” Jak w ostatnim pięknym wierszu *Dziewczynka kra kra z zapalkami*. Czy odpowiedź ukryła się w małej fotografii kilkuletniej jasnowłosej dziewczynki, trzymającej oburącz tajemnicze zdjęcie, fotografii podpisanej „kra kra” i zamykającej całą książkę?

Julian Kornhauser

Grzegorz Musiał

Dziennik bez dat (6)

Hej ho! Już w powietrzu! Samolot Britannia do Punta Cana oderwał się od płyty stygnącego, październikowego Berlina.

Pod nami przesuwa się pół Europy. Potem będzie Irlandia i zimny przestwór Atlantyku – ale za to, za dziewięć godzin, na jego drugim końcu, czeka nas LATO na Karaibach!

Wkrótce wraca poczucie proporcji. Samolot jest, mówiąc językiem komputerowym „off line”, czyli nie należy do głównych przewoźników. Jego zadanie – jak i całej firmy Britannia – polega na upakowaniu w tej blaszanej rurze jak największej ilości turystycznego żywca z Holandii, Niemiec, Polski (która „wchodzi na rynek”). Żywiec ten następnie zostanie przyodziany w wakacyjne czapeczki i rozwieziony po plażach różnych Mauritiusów, Jamajek, Tajlandii. Wszędzie tam, gdzie warto zrobić sobie video (pod palmami) i przez resztę roku torturować nim spraszanych na tę okazję kuzynów z żonami i kolegów z pracy. Firma Britannia należy do takich właśnie przewoźników hurtowych, stąd siedzi się tu jak w metrze. Z kolanami pod brodą i bez jednego piwa.

Glupio podnieceni, z wakacyjną adrenaliną na gębie i we krwi, przewalamy się po blaszanej rurze, w której dziobowej części błyska nad fotelami niebieski ekran, pokazujący (przy pomocy białej kropki, ciągnącej za sobą czerwony ogon) gdzie aktualnie znajdujemy się w nadatlantyckiej przestrzeni. Wydaje się, jakby kropka stała w miejscu. Jakim okropnym urządzeniem są nogi! Próbuję znaleźć w nich dodatkowy staw, który poskładałby je na mniejsze kawaleczki, wtedy może zmieściłbym się za fotelem przede mną, którego młody pasażer półobraca się do mnie zirytowany, ilekroć dziobię go przez oparcie.

Próbuję czytać biografię świętej Faustyny, ale żywiec (polski) zaczyna śpiewać. Wędrują butelki wódki między sojuszami towarzyskimi, zawiązanymi nicią wakacyjnej przygody jeszcze na lotnisku Schoenefelde i rozdzielonymi brutalną polityką przydziału miejsc przez firmę Britannia. Dawniej Polacy odróżniali się od ludzi Zachodu butami. Teraz już nie muszą, ale jako lud przywiązany do tradycji, nadal się odróżniają. Obok nas – senna polska para. On, pardon, knur, w spodniach od dresu, białych skarpetkach i kłapkach, ona – mocno wtulona w swoje szczęście lisiczka w przepoconej bluzeczce ze złotymi guziczkami, marmurkowych dżinsach

i butach na wysokim obcasie. Zapewne – właściciele szczęk warzywniczych lub lumpeksu w Ostrołęce czy Białej Podlaskiej. Podpadli mi jeszcze na Schoenefelde, gdy czekając na odlot grupę Polaków mijają para berlińskich chłopaków. Wyższy, trochę zniewieściały Mulat, trzymał za rękę niższego blondynka, z ożywieniem o czymś rozmawiając. Knur aż się zasapał z obrzydzenia, ona zaś – wlepiając w zagraniczną parę rozpalone ślepią – zacisnęła na jego ramieniu piąstkę:

– Tyyy... widzisz? Teraz to będę miała się z czego śmiać przez dwa tygodnie...

Obserwując zachowanie się żywca w rurze, zastanawiam się nad uderzającym brakiem odruchowej uprzejmości u najbardziej tu ruchliwych Polaków. Widać to zwłaszcza w kolejce do toalety, którą ze swego siedziska widzę najwyraźniej. Ogolony do łysa facet z puszką piwa w garści, w nieświeżej T-shirt i złotym łańcuchu na szyi, wpycha się w wąskie drzwiczki przed szczupłą dziewczyną, towarzyszką mego sąsiada z przodu. Dziewczyna patrzy zaskoczona, mówi „szuldigung”, ale drzwi zatrząskują się jej przed nosem. Chyba słusznie czyni, że – w przewidywaniu najgorszego – idzie na drugi koniec rury, do innej toalety.

(A swoją drogą – gdzie, jeszcze parę lat temu, śniło się nam coś takiego. Pół samolotu Britannia, lecącego z Europy na Dominikanę, pełne Polaków!)

(Trochę tak polatają, to w trzecim pokoleniu wyszlachetniają.)

Od godziny Jaś Fasola w paru egzemplarzach (widziany w szeregu telewizorów przez całą długość rury), z którego zaśmiewa się niemiecka część samolotu. Pierwszy raz w życiu uczestniczę w czymś takim – wielka, w pełni zorganizowana wycieczka turystyczna. Pierwszy raz uczucie uczestnictwa w tym wielkim, drobno-mieszcząskim exodusie z „dołu” do „góry”, trwającym od czasu „buntu mas” (– Gasset przewidywał ten koniec elit, który przyjdzie wraz z rozwojem turystyki masowej i zdeptaniem na świecie „miejsce świętych”). Pierwszy raz otacza mnie to anglo-niemiecko-niderlandzkie pospolite ruszenie właścicieli warsztatów samochodowych z Reading i sklepików spożywczych spod Hagi, ten najazd uprzejmych dziadów z forszą i ich żon, zaopatrzonych w rozliczne kółka w uszach i nosie, na te wszystkie Gabony, Barbadosy, Sri Lanki, gdzie na brzegach hotelowych basenów będą wznosić plastikowymi kubkami toasty do swych kamer, wrzeszczeć „prosit!” i „heil!” i w klimatyzowanych pokojach rżnąć dzieci biedaków.

Polacy dopiero zaczynają – i w tym sensie w swych przepoconych adidasach są bardziej „czystszy”. Dopiero awansowali, lub właśnie awansują, do tej „lepszej” części ludzkości, od lat rozbijającej się po świecie i napędzającej różne pamiątkarsko-pornograficzne „przemysły” w republikach głodomorów.

Stewardessa przechodząca między fotelami ma takie szerokie biodra, że wciąż mnie trąca. Mszczę się na niej w ten sposób, że to zapisuję.

W telewizorze firma Britannia chwali się, że hangar w Seattle, w którym „this aircraft was built”, jest „największy na świecie” i ma 2,1 kilometra długości. Stewardessy są tak zautomatyzowane, że prośba o jeszcze jeden sok pomidorowy rzucana za nią, gdy wózek z sokami już o parę centymetrów przejechał etap, na którym jeszcze miałem prawo do swych żądań, wywołuje na jej twarzy grymas niechęci i bólu, jakby z zęba nagle wyleciała jej plomba. Pewien, że zlekceważyła mnie wymazując, jak komputer, niewłaściwie wydane polecenie, nagle widzę, że po paru minutach wraca z moim sokiem, specjalnie dla mnie. Widocznie musiała sobie to moje zachowanie przeanalizować, wcisnąć „reset” i wrócić do mnie – już w innym programie.

Trzy godziny lotu, a biały punkcik z czerwonym śladem dopiero na początku Atlantyku, gdzieś koło Cork w Irlandii. Coraz bardziej nienawidzę firmy Britannia. Nie dość, że lot „no smoking” (dziewięć godzin!), że w TV bez przerwy tylko „flight data” przerywane Jasiem Fasolą, że w słuchawkach najlepszą muzyką, jaka daje się wyluskać z dyskotekowego szmelcu są piosenki Abby, że alkohol jest płatny – nędzne czerwone wino w plastikowej butelce kosztuje pięć marek – i że stewardessa nadal potrąca mnie siedzeniem, to na obiad (jedyne posiłek, zresztą) podano dwa mikroskopijne kawałki kurczaka, zdechły ślad szpinaku i trzy pasemka tortellini z przypalonym w mikrofalówce beszamelem.

Polacy częściowo pousypiali i żywiec przeredził się pod toaletą. Za to wyłoniła się z ukrycia rasa krótko ostrzyżonych, roślących, najczęściej z kolczykiem w uchu niemieckich chłopaków, którzy z uprzejmą obojętnością przepuszczają siebie przodem między fotelami.

I gdy patrzę na nich, i na mych sąsiadów z przodu – na tę śliczną dziewczynę z rozpuszczonymi włosami, uśpioną na ramieniu przystojnego, o myślących oczach chłopaka, który obejmując ją w pół lekko pięści samą opuszką kciuka fragment jej odsłoniętego ponad paskiem brzucha, to czuję swój brzuch, swoje plomby, swój mostek, swoje odciski.

Punta Cana! Samolot twardo siada na zadziwiająco małym lotnisku. Główny gmach okryty malowniczą strzechą z palmowych liści. Mokry upał. Szare niebo, a spodziewałem się lazuru. Smukli ciemnoskórzy tragarze w porozpinanych kombinizonach śmiejąc się i przekrzykując rzucają naszymi walizkami w których brzęczą butelki. Pieszko idziemy do hali przylotów. Grubi Murzyni w uniformach znudzonymi machnięciami odliczają turystów. Turyści, jak przeczytałem w przewodniku *Colibri*, to narodowy skarb Dominikany. Mimo to gruba czarna z drugiej strony okienka, ubrana w wojskowy mundur ozdobiony złoceniami i wkleszczona w poręcze małego fotela, nie ukrywa znudzenia biorąc kolejny paszport, stemplując go i rzucając nim z powrotem w przybysza. Po chwili wąż turystów owija się pośrodku hali, wokół okrągłego kontuaru, celem uiszczenia haraczu – dziesięć dolarów (nie mogą być pesos!) za Tourist Card – *ausweis*, który odróżni cię od miejscowych i którego, jak ostrzega *Colibri*, trzeba strzec jak źrenicy oka. Jeszcze schwytają cię z obu stron pod pachę dwie Kreolki – jedna stara, druga młoda, obie ze złotymi kołami w uszach, w szeleszczących zielonych sukniach malowanych w karminowe kwiaty, z białymi bufami i białą falbaną obszywającą dekolt i – wykonawszy zawodowy uśmiech do aparatu fotograficznego, który na wychodzących z hali kieruje młody chłopak, widocznie pracownik lotniska wykonujący w ten sposób jakiś osobliwy tutejszy rytuał powitania – porzucają cię i łapią następnego.

Mały zamęt na niedużym zatłoczonym parkingu autobusowym w poszukiwaniu tego, który nas zawiezie do Juan Dolio („długa piaszczysta plaża, turkusowe morze” – informuje *Colibri*). Jesteśmy na południowym zachodzie wyspy. Dominikana! Dominikana! Na razie żadnych palm kokosowych ani kolibrów, za to pokruszony beton parkingu, jakieś zakurzone krzewy i mali chudzi kierowcy autobusów i autobusików wrzeszczący po niemiecku. Na szczęście bagaże wcale nam nie przepadły, mam swoją walizkę przytroczoną gumową linką do dwukołowego wózka, który umyśliłem sobie kupić w Géant. Teraz klnę kolonizację polskiej drobnej wytwórczości przez zachodnie hipermarkety, bo albo pałak wózka sam mi się składa przykleszczając palce, albo naprężona guma nagle odskakuje, waląc mnie metalowym hakiem w udo lub pośladek. Nareszcie jakiś młody, pięknie opalony i obwieszony złotymi łańcuchami Europejczyk zaprasza nas do klimatyzowanego autokaru. W środku widzę już knura i lisiczkę. Acha, więc jesteśmy w tym samym turnusie. Zresztą pół autobusu gada po polsku. Jak oni szybko wszyscy naraz tu trafili? Widać nie ma we mnie tego geniuszu, który pozwala im błędnie trafiać na pierwsze miejsce każdej kolejki, pierwszymi być w każdym au-

tobusie i jeszcze po drodze zdążyć załatwić wymianę waluty po najlepszym kursie. Ja wszystko wymieniam po najgorszym i pewnie w Warszawie czasu okupacji właśnie mnie braliby do każdej z łapanek. Piękny Europejczyk okazuje się tu tejszym rezydentem jakiegoś niemieckiego biura podróży, które podobno nas gości. Najpierw zapytał, kto mówi jakim językiem, a gdy pól autobusu zawołało, że po polsku, uśmiechnął się z niedowierzaniem i resztę drogi gadał do garstki turystów na przedzie po niemiecku.

Zmierch zapada. Dominikana, Dominikana! Przedsmak ogłuszającego piękna, które tu mieszka. Na razie – w ludziach. Ciemnoskóre obdartusy w rozkładanych adidasach, o mrocznych twarzach z akwarel Delacroix. Wszystko przed domami: rozgadane tłuste damy w bujanych fotelach, obłożone ruchliwą masą Mulaciątek, i spalone na heban seniorki rodu, zaciągające się cygarem pod sterzącymi drutami czarnych parasoli. Ich domki spłowiałe – ruda oliwka, blady róż, płowy błękit – i oni, w otworach drzwiowych wsparci o framugę, z zaplecionymi na piersiach ramionami, półnaczy, gibcy, odprowadzają nas leniwymi spojrzeniami spod wysokich, spoconych czoł, w uśmiechach rozchylając okolone wąsami wargi i ukazując zęby, które chyba nigdy im się nie psują. Najwyżej wylatują – najprawdopodobniej w wyniku bójk. Wszystkie domy zdobione kutymi, pomalowanymi białą farbą kratownicami. Wszelkie otwory ścian, drzwi, okna – w tych kratkach. Nawet na wyższych piętrach. Zastanawiamy się z Markiem, czy to dla ochrony przed złodziejami, czy aby nie wypadły dzieci – albo może żona, w trakcie małżeńskich awantur.

Autobus stopniowo pustoszeje, gdy po paru godzinach jazdy, już nocą, wjeżdżamy w pas nadmorskich hoteli. Każdy z nich wystawnym, oświetlonym frontem otwiera się w kierunku podjazdu dla gości. Tajemniczy tył, z plażami, basenami, kryje się dalej, pod czaszą granatowego nieba usianego gwiazdami, na którym pełna tarcza księżycy sąsiaduje z czerwoną smugą zachodzącego słońca. Nasz hotel nazywa się Talanquera i jest zespołem płaskich jednopiętrowych budowli skupionych wokół łuku wjazdowego, pomalowanych cynobrową farbą i ozdobionych tarasami, okolonymi białą balustradą. Jeszcze tylko w recepcji zakłębnią się rodacy przed kontuarem, gdzie zręczny, młody *staff* hotelowy przyozdabia nam przegub prawej ręki bransoletką z elastycznego zielonego plastiku, z nadrukowanym kodem kreskowym. To widać kolejny *ausweis*, odróżniający nas od miejscowych. Niski czarny, w paradnej czapce z daszkiem i białej koszuli schwycił jak piórko nasze dwie walizy. Zanurzamy się w mokrą czeluść zieleni, przez którą wije się między basenami, wybruszając się na oświetlonych niskimi reflektorami mostkach, alejka wyłożona szarym piaskowcem. „Jak masz na imię?”. Po angielsku nie rozumie. „Como se llama?” (tyle wiem z drugiego tomu *Coli-*

bri, zawierającego hiszpańskie rozmówki). „Julio”. Biegnie przed nami alejką, dalej coś mówiąc po hiszpańsku i na zakrętach wykrzykując „pi pi”, jak klakson. Pytająco ogląda się za nami, czy doceniamy jego dowcip, sprzedawany wszystkim turystom. Doceniamy. Dostaje pięć marek w monecie, którą z przejściem z obu stron ogląda. Pokój właściwie nie jest pokojem, a małym bungalowem, do którego wchodzi się pod liśćmi rosnącego przed drzwiami bananowca. Wytrawnymi ruchami człowieka, który poza tym urozmaiceniem nie ma w tym hotelu nic innego do roboty, Julio, nie przerywając monologu, demonstruje działanie klimatyzacji, telewizora, mruga znacząco i mówi zdaje się jakieś świństwa pokazując kabinę prysznicową i łazienkę. Gdy dostaje, tym razem od Marka, następną monetę, wiem, że już mamy na Dominikanie pierwszego wiernego przyjaciela.

„Julio... donde est... – zbieram w nędzne zdanie gromadkę słów hiszpańskich, które jak targane przeciągiem liście fruwać po mej głowie – la mer...” kończę po francusku. Nasz przyjaciel marszczy spocone niewysokie czoło. „The beach... playa”.... „A... la playa...” wąsy rozciągają się w uśmiechu. Macha ręką. Tam! Zachęca nas, pójdziemy razem. „Si si, la playa” powtarza wiele razy, szczęśliwy nawiązanym porozumieniem. Znowu alejka, przez mostki wędrujemy do luku wejściowego, mijamy knura i lisiczkę, którzy patrzą na nas z jakiegoś powodu nieprzyjaźnie, po chwili znowu ogarnia nas wilgoć, noc i czasza nieba – już bez czerwonej pręgi – rozpina się nad nami. Dominikana, Dominikana! Pogrążam się w ciepłej, słonej wodzie, która obejmuje mnie przyjaźnie. Kraj dzieciństwa – odzyskany! „Wyspa skarbów” z domowej biblioteki, niemilosiernie przez mnie pokolorowana dwupiętrowymi czeskimi kredkami! Ciche szumiące nagrania Lecuona Cuban Boys z patefonu taty! Cała „Proza Ibero-amerykańska” w taniej serii z lat siedemdziesiątych! Tajemnice Karaibów! – ze mną wulkany Carpentiera, ładna salsa Eleny Poniatowskiej, wodospady Marqueza...

Cicho, ciszej duszo inteligencka pod tym milczącym, wstrząsanym dalekimi grzmotami niebem! Woda opuszcza mnie. Nagi, omyty solą wyłaniam się z oceanu.

Grzegorz Musiał

Leszek Szaruga
Lekturnik (I)

„W KRAKOWIE”, wiersz Czesława Miłosza w „Tygodniku Powszechnym” (2001 nr 10). Interesujący fragment:

Nagość kobiety styka się z nagością mężczyzny
I dopełnia siebie swoją drugą połową
Cieleśną albo boską,
Co pewnie stanowi jedno,
Jak nam wyjaśnia Pieśń nad Pieśniami.

Pociąga mnie słówko „pewnie” sygnalizujące coraz częstsze u Miłosza zawieszenie pewności. Sam wiersz znakomity, podobnie pociągający, jak ostatnie utwory ze zbioru *Tę*, w szczególności zachwycające *Uczciwe opisanie samego siebie nad szklanką whisky na lotnisku, dajmy na to w Minneapolis*. Przeczytałem ten wiersz studentom polonistyki w Germersheim, z którymi zastanawialiśmy się nad kształtem współczesnej literatury polskiej. Byli poruszeni, wzruszeni, zdumieni. Czytanie tego wiersza jest jednak we mnie obecne już od dłuższego czasu, był bowiem drukowany w „Zeszytach Literackich” i od razu zwrócił moją uwagę. Opowiedziałem go (!) kiedyś Wisławie Szymborskiej, pełen podziwu i zachwytu, a ona na to: „– Widzisz, opłaca się być starym!”. Jeśli tak, to tak.

Ale powracam do *W Krakowie* i owego „pewnie”, do owego wyrazu „herakli-tejskiej zadumy” (wiersz *Do leszczyny*), do sygnału coraz częstszego w wierszach Miłosza trybu warunkowego, do mgławicowości ludzkiego doświadczenia w krótkim bytowaniu w słowie, w „życiu”:

Nic nie trwa, ale trwa wszystko: ogromna stałość.

To znów z *Do leszczyny*. Ale cały czas o wierszu *W Krakowie*. Cały czas o tym słówku „pewnie” (= „niepewnie”): wywołuje zaimki „to”, „coś” – określone i nieokreślone zarazem:

Czy to ty? Czy to ja? My już za światami.
Żaden zegar nam godzin ni lat nie odlicza.

Jezioro

I znów *W Krakowie*:

Na granicy świata i zaświatów, w Krakowie.
 Tup tup po wytartych flizach kościołów,
 Pokolenie za pokoleniem. Tutaj coś zrozumiałem
 Z obyczajów moich siostr i braci.

Znów więc to „coś”, jak w wierszu *Mój dziadek Zygmunt Kunat* i ten werset (werset: to u Miłosza ważne, to „porcja” energii poetyckiej): „Rozmyślając o moim dziedzicznym obciążeniu mam chwile ulgi, kiedy przypomnę sobie mego dziadka, bo musiałem coś wziąć po nim, czyli nie jestem całkiem bez wartości”.

A potem – zawsze? – to oczekiwanie „aż starość odbierze dramatom znaczenie” (*Tak zwane życie*). Dramaty, mydlane opery, przebieranki, maski:

Kto cierpi, powinien
 Być prawdomówny. Gdzież tam, ile przebrań,
 Ile komedii, litości nad sobą!

Przepis

I zakończenie *W Krakowie*:

Przesłaniają blask tkaniną swoich mszystomglistych strojów
 Noszą maski z jedwabiu, porcelany, mosiądzu i srebra,
 Żeby nie myliły twarze, pospolite.
 Krzyżyki na marmurze będą ozdabiać ich groby.

Piękne te „mszystomgliste stroje” (to na marginesie, wtrącenie: do rozwinięcia w osobnej notatce, akapicie, fragmencie rozprawy...).

Ważne to słówko „pewnie” wpisane w przemijanie, w niepochwytność życia, dramatu, opery mydlanej.

„DO EUROPY TAK, ALE Z NASZYMI UMARŁYMI”, tom esejów Marii Janion (Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2000). Aż żałuję teraz, iż nie kreśliłem podczas lektury. Ale i później otwiera się ta książka na stronie, z której wypisać wypada następujący fragment napisany w roku 1992: „Filozofia egzystencji, wydobyta również z polskiego romantyzmu, lecz inaczej odczytanego, będzie nieodzownym składnikiem tego nowego myślenia, które powinno starać się równoważyć inspiracje kultury wysokiej i kultury masowej, kultury narodowej i poszczególnych kultur alternatywnych, kultury „swojej” i kultur „obcych”. (Cóż za utopijne rojenia! – przyp. aut. z roku 2000)”. Bardzo zabawne!

Ale nie aż tak, jak to się wydaje i nie sądzę, by miała Pani Profesor rację, gdy mówi o „utopijnych rojeniach”. Żadne to utopie i żadne rojenia: taka jest przyśłość, ale do niej droga będzie niezwykle trudna, a będzie trudna dlatego, że do-

piero teraz wypływają na wierzch te wszystkie alternatywne narracje, które nie zostały jeszcze – bo nie mogły: nie tylko ze względów cenzuralnych – wyjawione, które były stłumione. Do przyszłości musimy dojść przez przeszłość. Czy będzie to narracja o Jedwabnem, czy będą to opowieści Michała Głowińskiego z *Czarnych sezonów*, czy wreszcie wyznanie Juliana Strykowskiego z *Milczenia* – a mówię tylko o tych najnowszych – za każdym razem będziemy mieli problem z ich wpisaniem w nasze egzystencjalne doświadczenie. Będziemy mieli kłopot z samymi sobą, bo się dopiero w sobie zaczynamy rozpoznawać.

Temu właśnie też służą od lat narracje Marii Janion wydobywane z chaosu czy spod dominującej „polskiej opowieści”: to jej „odnawianie znaczeń”, śledzenie „transgresji”, odkrywanie „ducha inności”, rozpoznawanie ukrytego pod monologizującymi tyradami Zła – wszystko to jest lekcją tożsamości – często trudną, czasami, jak w najnowszym tomie, aż bolesną. Tej lekcji nie da się „odrobić” w pięćdziesiąt minut – wymaga pogłębionych studiów, często szperania w archiwach czasu, jak w świetnej *Sprawie o Pigoń*, gdzie kwestia równoważenia kultur „swojej” i „obcej” zyskuje dramatyczny wyraz: „Myślę, że w wypadku Pigoń – wtedy, w roku 1932 – idea legionu żydowskiego godziła najboleśniej w dwie cechy wieszczka, które tak wydzwignął: Jego «żołnierstwo Polski wieczyste» oraz Jego «rdzenną plemienność». Pigoń bronił poety przed badaniem żydowskich aspektów jego życia, które mogłoby – w jego mniemaniu – zachwiać świętym wzorem. Dyskurs mickiewiczologii Drugiej Rzeczypospolitej miał brzmieć czystym polskim tonem. Żydom odmówiono prawa do ubiegania się o «swojego» Mickiewicza”.

To – rzecz jasna – jedynie jedna z wielu kwestii podnoszonych przez Janion w tym tomie, który tyleż ma wagi w lekturze polonistycznej, co w lekturze wpisującej omawiane tu zagadnienia w rytm naszej obecnej codzienności. Ale też nie tylko w terażniejszości znajdujemy konteksty dla tych roztrząsań. Wystarczy wszak sięgnąć do gazet ze schyłku Dwudziestolecia, by przeczytać słowa, których echo wybrzmiewa do dzisiaj, jak choćby te z „Ruchu Młodych” (1938), które przytaczam za Janem Józefem Lipskim: „Poezja Tuwima nie jest i nie będzie nigdy klejnotem poezji polskiej. Może być tylko klejnotem poezji żydowskiej – nigdy polskiej, a to dlatego, że przynależność poezji to nie tylko talent, język, ale duch, sposób odczuwania wszelkich zjawisk, a w poezji Tuwima duch jest żydowski. Wiersze jego, podbijające talentem, budzą zawsze w Polaku wstręt psychiczny”.

No cóż... Kilka dni temu wysiadłem z pociągu na dworcu w Szczecinie i ruszyłem ku przystankowi autobusowemu. Obok przystanku dostrzegłem kiosk, a w nim broszurkę wystawioną tak, by jej nikt nie mógł wzrokiem ominąć. Tytuł jej brzmiał: *Poznaj Żyda*. I, oczywiście, niebawem przedłożono mi wyniki ba-

dań, z których wynikało, że jedynie 1% naszych współobywateli zwraca na takie rzeczy uwagę. Problem w tym, jak powiedział jeden z mych przyjaciół, że wśród tego jednego procenta nie znalazł się żaden prokurator, z prokuratorem generalnym włącznie.

Nie przypadkiem mówię tu o tym wszystkim. Książka Marii Janion w taką właśnie przestrzeń się wpisuje. Odslania przed nami to, co przecież wcale zasłonięte nie było, ale czego nie chcemy dostrzegać. Nie chcemy widzieć – a pisał wszak o tym Henryk Grynberg w tomie esejów *Prawda nieartystyczna* (Berlin 1987: może by jednak ten zbiór wznówić?) – nie tylko naszego „ludowego”, jak to się ładnie mówi, antysemityzmu, ale nade wszystko nie chcemy dostrzegać antysemityzmu elit, antysemityzmu pozbawionego „złej woli”, ale – co znakomicie naszkicowane zostało w rozprawce *Starozakonni Polacy Niemcewicza* – drapieżnego i poświadczającego umysłową mizериę.

Nie, nie chcę „recenzować” książki Marii Janion. Taka polonistyczna dłubania nieuchronnie musiałaby doprowadzić do jej redukcji. To jedna z tych książek, które nie tylko proponują sposoby lektury, ale które szkicują pewną wizję Polski wybierającej się do Europy. Ta Polska, zakorzeniona w „nowogórdzkim powiecie” ma Rozumowi Oświeceniowemu przeciwstawić Romantycznego Ducha – tak przynajmniej można wnioskować z lekcji polskiej tożsamości, jakiej udziela w ostatnich latach Jarosław Marek Rymkiewicz. Tymczasem o Duchu owym niewiele wiemy i może rzeczywiście czas na „krytykę fantazmatyczną”, której projekt u progu niepodległości przedstawiła Pani Profesor, a której próbkę odnajdujemy w tomie *Do Europy tak, ale razem z naszymi umarłymi*.

22 MARCA 2001, „RZECZPOSPOLITA” NR 69. Przepisuję felieton Krzysztofa Gottesmana o ministrze kancelarii Prezydenta RP, Andrzeju Majkowskim: „Są takie czyny, za które odpowiedzialność ponosi się do końca życia. Bez wątpienia należy do nich pisanie i wygłaszanie antysemickich tekstów. Nie jest ważne, z jakich motywów tak postępował ponad trzydzieści lat temu Andrzej Majkowski – czystego karierowiczostwa, bo antysemityzm stał się wówczas częścią oficjalnej ideologii PZPR, czy też takie były jego własne przekonania. W każdym razie postąpił haniebnie. (...) Nawet jeśli Kwaśniewski wcześniej nie wiedział o roli swego urzędnika w Marcu '68, to wie o niej już dziś. Jeśli mimo to nie podjął decyzji o zdymisjonowaniu Majkowskiego, sprawia tym samym wrażenie, że akceptuje jego przeszłość. Po raz kolejny nie wiadomo, kiedy prezydent Kwaśniewski postępuje szczerze. Wówczas, gdy przyjmuje emigrantów marcowych, czy wówczas, gdy w gronie swych najbliższych współpracowników trzyma autora antysemickich przemówień?”

Tak sobie myślę, że to pytanie trochę pozbawione jest sensu. Aleksander Kwaśniewski, Prezydent III Rzeczypospolitej, nie będzie się już ubiegał o następną kadencję. I myślę też, że sprawa Majkowskiego, podobnie jak wiele innych „spraw” w polskim życiu publicznym, jest funkcją poziomu intelektualnego całej naszej „klasy politycznej”, której przedstawiciele, jak słusznie w jednym z wywiadów zauważyła Maria Janion, czytaniem literatury raczej się nie plamią – to było dobre kiedyś, dziś ogląda się seriale telewizyjne, zaś na rozwój kultury i nauki obcina się środki budżetowe tak bardzo, jak to tylko możliwe. „Klasa polityczna” w III RP stworzyła swoiste „społeczeństwo bezklasowe”, bez wartości, bez właściwości, żadne. Bo tu nie chodzi o to, czy pan Majkowski ma „ponosić odpowiedzialność”, lecz o to, by ludzie, mający podobną przeszłość, nie uprawiali polityki, a jeśli już mimo to ją uprawiają, umieli się z niej wycofać po ujawnieniu owej przeszłości. To kwestia raczej estetyczna i etyczna niż polityczna.

Marzy się czas, gdy odwoływano się do przekazywanych z pokolenia na pokolenia wzorców, gdy każdy „inteligentny człowiek” miał za sobą lekturę *Żywotów sławnych mężów Plutarcha*.

„WSPÓLNA KĄPIEL” Stefana Chwina i Krystyny Lars (Biblioteka „Tytułu”, Gdańsk, brw – powinno być: rok 2000 albo 2001; drażni mnie podobne niechlujstwo wydawców, utrudnia pracę bibliografów i bibliotekarzy) to książka o koncepcie godnym pozazdroszczenia: oto król Stanisław August Poniatowski wstępuje na gilotynę, prośba ojca Maksymiliana Kolbe zostaje odrzucona, generał Guderian i generał Bortnowski w październiku 1939 odbierają defiladę wojsk sprzymierzonych w małym miasteczku w południowych Czechach („sprawa Gdańska dała się załatwić polubownie”), zaś generał Władysław Anders wkracza do Warszawy po spotkaniu wojsk sojuszniczych na Bugu („Pozostała do omówienia sprawa Gdańska”), tak zatem historia toczy się inaczej niż się toczyła, przybiera jej pieprzu, ubywa polskiego bohaterstwa, dzieje się świat alternatywny, pokazywany w krótkich scenkach, migawkach, mgnieniach. Ale też jest to już historia dokonana, gdyż stworzona, napisana, a wiemy wszak, że „wszystko jest tekstem”, choć wciąż nie jesteśmy pewni tego czy tekst jest wszystkim. Odwołuje się zresztą ta opowieść do zdarzeń, które wielu się śniły, wielu marzyły, jak choćby zabicie księcia Konstantego w tę Noc Listopadową (przypominam sobie natychmiast książeczkę Jarosława Marka Rymkiewicza *Wielki Książę*, w której także pojawia się taka alternatywa). Wprowadza w bieg dziejów „drobne poprawki”, oprowadza po „republice marzeń”, prezentuje „sceny fantastyczne z historii literatury polskiej”.

Jeden z rozdziałów zwrócił moją szczególną uwagę – *Adam Zagajewski czyta wiersze w jednym z miast na północy Europy*. Miastem tym jest, rzecz jasna, Gdańsk. Utwory tego rozdziału to, oczywiście, pastisze z Zagajewskiego – z najbardziej chyba jadowitym, jakim jest kończący cykl *Tekst nie napisany przez Poetę podczas lotu do Houston na kolejną lekcję poezji*, a złożonym, jak czytam w przypisie, z „zapisów głosów i opinii zasłyszanych 26 i 27 maja 1992 roku podczas pobytu Adama Zagajewskiego w Gdańsku”. To już nie „sceny fantastyczne”, lecz wyraźnie „literatura realistyczna”. Pełna pasji polemika, złośliwe naśladowanie. Jak tutaj choćby, w utworze zatytułowanym *Dłonie*: „Prowadzi głos uważnie wąską ścieżką między przeciwieństwami jakby niósł wśród czerni naczynie pełne światła”. Sięgam po tom Zagajewskiego *Drugi oddech* i przepisuję: „Mówią nie dość ściśle i z karykaturalną przesadą można określić pole wytyczone przez dwie pokusy, utonięcia w teraźniejszości i tradycjonalizmu, jako dylemat: realizm czy kultura. Nickulturalny realizm czy nierealistyczna kultura. Wąską ścieżką między tymi skrajnościami zawsze jeszcze można przeprowadzić własną zasadę, nie rezygnując z obiektywizmu, nie poddając się egzaltacji”.

Trochę też złośliwości – lecz już łagodnej – niesie w sobie nawiązujący do książki Miłosza tytuł cyklu *Wypisy z ksiąg nieużytecznych*. Bohaterowi wkładają autorzy w usta słowa jakże „znajome”: „Chwałę głoś raczej niżli sprawiedliwość!” – a wygłaszane są one „z balkonu”. Cóż to za balkon? Właśnie.

I oto kolejna pokusa, nazywana uczenie postmodernizmem. Tej pokusie ulegają autorzy *Wspólnej kąpiel* nie tylko dla czezej zabawy jednak, ale dla obudzenia refleksji o nas, o sobie (choć tego chyba tu najmniej, co stanowi słabość podjętej przez Chwina i Lars gry: jak już, to już; trochę autoironii jeszcze nikomu nie zaszkodziło!). W niektórych tekstach razi – ale tylko w niektórych – nadmiar słów, przegadanie. Cała książeczka jednak broni się znakomicie.

Cieszy taka poważna niepowaga pomieszana z niepoważną powagą. Ożywcza taka kąpiel. Czy wspólna? To się okaże.

„WIELKI KSIĄŻĘ Z DODANIEM ROZWAŻAŃ O ISTOCIE I PRZYMIO-
TACH DUCHA POLSKIEGO” Jarosława Marka Rymkiewicza (PIW, Warszawa 1983), książka, po którą sięgam ponownie za sprawą lektury książeczki Chwina i Lars. Odnowienie lektury czasem bywa ożywcze i pożyteczne, gdyż myśli niegdyś odczytywane w porządku doraźnym nagle zaczynają – po latach – znaczyć nieco odmiennie niż wówczas. Choćby takie rozważania: „Opatrzność – jeśli się w ogólne nami interesuje, co nie jest takie pewne – obchodzi raczej nasz los metafizycznie pojęty niż nasz los historyczny: ten, jeśli coś wie o nim, zostawia nam samym. A historia, pokąd jej naszą nie uczynimy – czyli pokąd jej nasze-

mu duchowi nie podporządkujemy – też niczego za nas nie załatwi: jeśli ją pojmujemy jako jakąś siłę zwierzchnią, złoobcą, jako jakiś mechanizm, który kręci się, jak sam chce, obcożle, to cóż ją mogą obchodzić nasze duchowe tarapaty? Nie ma więc na co liczyć. Niech nasz dobry duch uzna swoją samodzielność. Niech, jeśli chce przebaczać, sam z siebie przebacza, tylko dlatego, że tak mu się chce. Niech to dobro, które jest istotą naszej kultury, samo siebie uzna za wartość najwyższą. A wtedy duch nasz będzie jeszcze potężniejszy”.

I jeszcze jeden wyimek, wcześniejszy: „Otóż można przypuszczać, można się domyślać, że duch polski nie przeżyłby tych wielkich prób, gdyby był inny. Że skapitulowałby, że dalby się podbić, że ukorzyłby się przed jakimś innym duchem. Stąd takie, dalsze, przypuszczenie, taki jeszcze domysł: może ten nasz duch nie dał się podbić, przeżył, właśnie dlatego, że był, jaki był, że łaknął nieporządku, że przerażał go wszelki porządek: więc także i ten, w którym chciano go uwięzić, przy pomocy którego chciano go – chciał go jakiś inny, obcy duch – ubezwłasnowolnić. To bardzo być może. Jeśli to przypuszczenie jest prawdziwe – nie jestem tego pewien – to pod adresem tych wszystkich rozważnych ludzi, tych wszystkich moralistów, co nawołują nas, byśmy składnie się rządzyli, trzeba skierować takie ostrzeżenie: uważajcie, moraliszczyki nasi, z tym nawoływaniem do porządku i z tymi oskarżeniami Polaków o anarchistyczne skłonności, bo może źle duchowi polskiemu w ten sposób służycie, może jego żywotności te wasze nawoływania wcale nie sprzyjają, może tę tajemniczą żywotność wręcz osłabiają”.

I jak to dziś czytać? Na pewno inaczej niż wtedy, w roku 1983, w którym wydana została ta książka i w którym dzieją się losy bohaterów innego utworu Rymkiewicza, powieści *Rozmowy polskie latem roku 1983*. Bo ta książka została oddana do składania – jak czytamy w „stopce” wydawniczej (tak, kiedyś o takich sprawach informowano, często zresztą też i dezinformowano – tu trudno prawdy dociec) – w czerwcu roku 1982. Kiedy była pisana? Zapewne w okresie „anarchii” czyli „pierwszej «Solidarności»” – o to można by autora zapytać, lecz nie ma powodu, by sobie tym specjalnie tu głowę zaprzętać. Książka stoi na półce, każdy może po nią sięgnąć, każdy może ją teraz przeczytać, może ją przeczytać po raz pierwszy i zacząć się zastanawiać nad jej obecną wymową, nad jej dzisiejszym znaczeniem, potraktować ją jako wskazanie na dziś bądź tylko jako dokument tamtego czasu.

Czy duch polski się zmienia? Czy zmienił się od tamtego okresu? Jak bardzo się zmienił, jeżeli się zmienił? Czy jest on jeden – ten „duch polski” (duch Polski?), czy jest tych duchów raczej wiele? Romantyczny on jest, ten duch polski, czy raczej przedromantyczny? Bo przecież powiada Rymkiewicz w innej książce, późniejszej, *Mickiewicz czyli wszystko* (1994, rozmowa z Adamem Poprawą) jeszcze coś

takiego: „Problemem – jeśli chodzi o młodego Mickiewicza – jest dla mnie inny poeta: Franciszek Karpiński. W moim przekonaniu Karpiński, autor siedmiu czy ośmiu arcydzieł poetyckich, jest największym poetą polskim przed Mickiewiczem. Garść wierszy i każdy jest małym cudem. Może pan tu zapytać: a Kochanowski? Ale to zupełnie inna sprawa: poeta trochę innego narodu i trochę innego języka”.

Czy jesteśmy dziedzicami Kochanowskiego raczej, czy Mickiewicza? Czym dziedzicem był Karpiński? Co się takiego stało, że – w swym przedromantycznym wszak doświadczeniu – odchodzi Karpiński od linii Kochanowskiego? Gdybym się nad tym miał dłużej zastanawiać, sięgnąłbym chyba do *Opowieści biograficznych* Berenta, tam szukałbym rozwiązania, jeżeli w ogóle jakieś rozwiązanie jest do pomyslenia. A jeśli bym sięgnął do Berenta, musiałbym sięgnąć do Plutarcha *Żywotów sławnych mężów*. A sięgnąłbym do Plutarcha idąc tropem refleksji Andrzeja Kijowskiego z jego *Listopadowego wieczoru* (1972), książki, która powstała w związku z buntem studenckim z roku 1968 zainspirowanym w części przynajmniej przez protest przeciw zdjęciu z afisza *Dziadów* Mickiewicza. Pisał wtedy Kijowski: „Ceniono Plutarcha w wieku Oświecenia; wykształcili się na nim przywódcy wielkiej rewolucji; lekturę *Żywotów* wprowadzono obowiązkowo do szkół wojskowych – rozczytywał się w tej książce Bonaparte, przy czym szczególnie umiłował życiorys Aleksandra Wielkiego. W Polsce Stanisław Konarski zalecił Plutarcha szkołom pijarskim; Józef Wybicki pisze we wspomnieniach, że prefekt jego zalecił mu czytanie *Żywotów sławnych mężów* zamiast żywotów świętych, które stanowiły dotąd jedyną lekturę umoralniającą i jedyne źródła „wzorów osobowych”. (...) Napoleonidzi, belwederczycy, ludzie roku 1846 i 1848, i roku 1863, wszystkie pokolenia romantyczne, romantycy wszystkich odcieni i wszystkich namiętności – politycznych i literackich – wykształcili się na Plutarchu, który dla nich był tym, czym dla pokoleń późniejszych była lektura np. Nietzschego i Babla”.

(Berent, pamiętam, jest tłumaczem Nietzschego *Tako rzecze Zaratustra*).

O Plutarchu tak zaś pisze Zygmunt Kubiak w swej nieocenionej *Literaturze Greków i Rzymian* (1999): „Najdroższa była eseciście platońska interpretacja religii, odrzącał zaś niektóre nauki stoików, a jeszcze bardziej niecierpliwiła go epikurejska skłonność do pustelnicstwa, odcięcia od powinności społecznych. (...) Niewiele jest pisarzy, którzy tak przemożnie wpłynęli na potomnych jak Plutarch, tak byli obecni w ich rękach i myślach. Jest on patronem wielkiego działu piśmiennictwa europejskiego, który ogarnia się mianem eseistyki. Michel de Montaigne nigdy nie odkłada tego autora, podziwia go i często przytacza, a tytułem swoich naśladowających mistrza rozważań, *Essais, Próby*, nadał owemu rodzajowi literackiemu imię. *Essays* Francisca Bacona, czytelnika *Moralionów* i brytyjskiego kanclerza, też są z ducha Plutarcha. Bez *Żywotów* zaś nie powstałyby rzymskie tragedie Szekspira: *Koriolan, Juliusz Cezar, Antoniusz i Kleopatra*”.

Szczególnie ważna jest uwaga dotycząca „powinności społecznych” – literatury, myślicielstwa, być może też poczji. Przepisując te cytaty – a sięgać można przecież i do innych naszych autorów – chcę myślą moją powrócić do rozważań Rymkiewicza na temat „ducha polskiego”, nadać im szerszy historyczny kontekst, ale zarazem zastanowić się raz jeszcze nad tym czy ów „duch polski” zmianom podlega, czy nie, zaś jeżeli zmianom podlega, to na czym owa zmiana dziś by polegać miała, dziś więc, gdy z jednej strony Rymkiewicz centrum polskości lokuje w „nowogródzkim powieście” przeciwstawiając szlachecką „wieprzowatość życia”, jak określał rzeczywistość *Pana Tadeusza* Słowacki, europejskiemu Rozumowi z Oświecenięcia wyrastającemu, z drugiej zaś gdy ów „romantyczny paradygmat” – w którym ukryte jest wszak nacjonalistyczne ostrze – poddawany jest próbie przewartościowania.

Ale cóż, ani Plutarcha *Żywoty sławnych mężów*, ani Berenta *Opowieści biograficzne* do lektur obowiązkowych w polskich szkołach nie należą. Sam czytałem Plutarcha jeszcze w młodzieńczych swych latach, później – za sprawą przypomnienia Kijowskiego – raz jeszcze poń sięgnąłem, dziś wszakże nie oczekuję od nikogo z mych rówieśników, mniej jeszcze od młodszych rozmówców, znajomości pism tego antycznego mistrza, w szczególności zaś tej książki opowiadającej życie twórców historii. I nie spodziewam się też tego, by ktokolwiek kojarzył Bullocka paralelne biografie Hitlera i Stalina z innym dziełem Plutarcha, jakim są jego *Żywoty równoległe*.

Leszek Szaruga

Zbigniew Żakiewicz

Ujrzane, w czasie zatrzymane (10)

GDY ZABIERAŁEM SIĘ DO PISANIA czyniłem to z wewnętrznego musu, aby zrozumieć własne życie. I kiedy zanurzałem się w to niejasne i zagmatwane (początkowo były to próby nieudane: język martwy, dosłowność i płaskość widzenia), nagle dokonywał się przeskok. Łączyło się to z pewnym zdaniem lub wizją, choćby owej perliczki – „która wzleciawszy na kopiaste li-py, zaniósła się ostrzegawczym krzykiem dostrzegłszy odległe Indie” (taka wi-

zja otworzyła mi krainę *Rodu Abaczów*). Wówczas odnajdywałem wewnętrzny „zaśpiew”, swoisty niepowtarzalny rytm, porządkował on świat i z chaosu, z niekonieczności wprowadzał w kosmos i konieczność.

Specjaliści od literatury nazywaliby to odnalezieniem własnego języka. „Pisarz ma swój styl”. „Jego styl jest rozpoznawalny i niepodważalny” itd. Ja zaś dzięki temu tajemniczemu procesowi wchodziłem w ciemności własnego losu. I tą odnalezioną melodią, tą wewnętrzną rytmiką, mówiąc obrazowo: dotykałem Rzeczy. I rzeczywiście, wyczuwałem koniuszkiem języka gruzłowatość, szorstkość, śliskość lub miękkość słowa.

Cofałem się w czasie o lat dziesięć, dwadzieścia, bo z tej perspektywy rzeczywistość stawała się kartą zamkniętą, gotową do spointowania. Gdy znów przekraczałem dramatyczną barierę czasową: wyjazdu z Wileńszczyzny – cofałem się o lat trzydzieści, a czasami i więcej. Były to powroty, którym towarzyszyła różna melodyka.

Zaśpiew umiłowania tego, co wciąż trwało niewzruszone w swym pięknie, tragiczne i duchowo bezbrzeżne, a więc pierwszy powrót – *Ród Abaczów* (1966 r.). Później ironiczna, groteskowa, trochę niby z *Pietruszki* Strawińskiego gra-zabawa z pamięcią, która za sprawą języka powracała w najdalsze zakątki dzieciństwa, w świat na swój sposób „zdziecinniały” – to *Wilcze łąki* (1977 r.). I ostatnia próba powrotu *Wilno, w głębokościach morza* (1992 r.) – potrzeba dojrzałego, epickiego, chociaż wciąż po dziecinnemu pełnego zdziwienia i fascynacji światem, zrozumienia losu moich bliskich i zrozumienia siebie samego na etapie chłopackiego dojrzewania.

Opisując lata powojenne, wyliczając w porządku powstania: *Biały karzeł* (1969 r.), *To sen tylko, Danielu* (1972 r.), *Dolina Hortensji* (1977 r.) itd. – każda z tych peregrynacji w niezbyt odległą przeszłość coś załatwiała z rachunków nie do załatwienia.

Ale czy wyjaśniała? – Bowiem sztuka z samej swej natury będąc „sztuczna”, służka konwencji, choćby tak szlachetnej, opartej o przedwieczne, homeryckie chwyt obrazowania, metaforyzowania – rzeczywistość jedynie m o d e l u j e. – Tworzy modele mające się tak do rzeczy, jak żywy ptak do słowa „ptak”.

A jednak ta twórcza udręka, która obarcza pisarza Mannowską „ohydą poznania” powodowała, że zwykły zjadacz chleba zanurzał się w głębie do których przedtem nie miał dostępu. Wkraczał na drogę, która za sprawą wybraństwa jest dana świętym, jacy widzą wprost, poprzez kontemplację i duchową wizję. A przecież, jakże mu daleko do świętości... Inaczej mówiąc, akt twórczy uczy go pokory, zachwytu i umiłowania tego nieskończenie pięknego, bogatego i w swej istności tajemniczego świata.

Po raz wtóry po opuszczeniu rajy dzieciństwa – artysta powracał do swego Edenu. Również wówczas, gdy znalazł się naprzeciw boskiego milczenia gór, albo gdy trwał sam na sam wobec kaszubskich lasów, na brzegu Zatoki, jezior lub nocnego rozgwieżdżonego nieba.

Ale też nauczony żyć w bliskim kontakcie ze światem, w dotykalności świata, zasmakował w Hemingwayowskim „pierwszym kopnięciu”, które daje alkohol. Zapamiętał pewną naukę o tym drugim dniu lekkiej euforii gaszonej piwem, dlatego warto pić. A były to boczne drogi, ścieżki, na które nie raz się wstępowało...

Snuję te rozważania w czasie, gdy od ponad dwóch lat ponownie znalazłem się w ciemnościach niekonieczności i chaosu. *Gorycz i sól morza*, książka pisana tak zawstydzająco długo, miała być próbą wyjaśnienia sensu życia człowieka, który dobijał pięćdziesiątki, ale w trakcie pisania wiek bohatera się wydłużał. Cała historia zaczynała się zaraz po przybyciu na Wybrzeże, w końcu gomulkowski dekady. I oto, nie wiedzieć kiedy, przekroczyłem wiek mojego ojca, który umarł mając „zaledwie 63 lata”. Z osłupieniem patrzę, że odeszło tylu moich wielkich, uznanych i nie uznanych, rówieśników. Dziś, gdy z rzadka zajężdżam do Warszawy, właściwie nie mam do kogo zadzwonić. Niedawno z żoną wyliczyliśmy imiona wszystkich znajomych, którzy nawiedzali nasz dom. Odeszli, nieraz o wiele młodszy.

Jak więc zdefiniować ten czas nazywany eufemistycznie „złotą jesienią”, czas w którym się nigdy nie było, a który zawsze dotyczył innych: rodziców, dziadków?

A skoro dla procesu twórczego potrzebny jest dystans – co najmniej dziesięciu lat, bo przecież nie umiem opisać tego, co jest „wprost na nosie” – zza jakiej kurtyny, z jakich głębin mam się wychylić, aby opisać tę oto nadciągającą starość?

WRAZ Z LUTOWĄ, DZIŚ AKURAT MROŻNĄ ZIMĄ powróciły do mnie zapachy i smaki Wielkiego Postu przeżytego w rozgrabionym mająteczku dziadka w Poniziu Tatarskim, odległym o 7 kilometrów od radziwiłłowskich niegdyś Smorgoń.

Przyjechaliśmy z głodnego Mołodeczna na dziadkowe włości zaraz po ucieczce bolszewików w czerwcu 1941 roku. Zima 1942 roku była surowa, a dla dziecka wspinała: zaśnieżone przestrzenie, rzeczka szemrząca wśród szklatego lodu, przedmłyński staw pokryty grubą warstwą lodów. Na leszczynach zwisają pierwsze warkoczyki kwitnięcia, nadrzeczne łozy wybuchają biało-kremowymi baziami. Dwór ogołocony z mebli: jakiś kulawy stół, pozbierane krzesła, sprężynowe łóżka, a w kącie pokoju usypane w kopiec zboże, bo spichlerz niepewny i zboża mało. Odzyskano parę krów i koni. Po pokojach fruwa stadko wróbli i sikorek, w czasie mrozu zwabione ziarnem na ganeczek teraz zabawiają nas, pasąc się wysypanym ziarnem.

Zbliża się Wielki Post i dwie młode panie: moja matka i szwagierka Benia, postanawiają powrócić do dawnych czasów. – Na tłusty czwartek mają być faworki. Mają żółtawą pszeniczną mąkę z dziadkowego młyna (teraz pod niemieckim nadzorem), trochę smalcu. Kłopot z cukrem, ale jakoś się znalazł. Faworki, czyli z polska chrust – usmażono, w stosik na talerzu ułożono i... schowano wysoko na kaflowym piecu. A to dlatego, żebym przed czasem nie dobrał się do tego rarytasu nieznanego od paru lat.

I w taki oto sposób zostałem wystawiony na ciężką próbę, która oczywiście, skończyła się przegraną. Stawiałem pod piecem krzesło, wchodziłem na oparcie i tak faworek po faworku, zjadłem chyba połowę chrustu. Był to jeden z moich cięższych, dziecinnych grzechów. „Widzicie go i Anioł Stróż jego nie upilnował, widać za bardzo z diabłem się on skolegował” – tak skomentowała mój postępek mamina szwagierka Benia.

Popielec i Wielki Post: niezapomniane smaki i aromaty. Smalec i słonina, również masło schowane pod klucz. Jeśli zebrało się śmietaną, to ubijało masło, które przetopione i posolone czekało na Wielkanoc. Jedyne tłuszczyki – to olej lniany, wytłoczony z lnu, który nie wiem, jak znalazł się w majątku. Podobnie olej konopny – gęsty, ciemniejszy i bardziej aromatyczny.

Rankiem na oleju smażyło się patelnię cebuli i była to jedyna omasta do chleba. Wieczne zacierki z grubo umielonej mąki, z igielkami plew, też się maściło olejem. I najbardziej nie lubiany przeze mnie, ale nie przez dorosłych – owsiany kisiel. Mąka owsiana zaparzona wrzątkiem. Po ostudzeniu powstawała szarawa, kołysząca się kwaskowata galareta, polewana olejem lnianym.

Ta czterdziestodniowa postna wstrzeźliwość, pachnąca olejem i dzieciństwem, pomimo mych grzechów w dziwny sposób sprowadzała mnie do pamięci o utraconym raju...

Powrót do tradycji ojców, którzy pościli żarliwie i z surowością pierwszych chrześcijan, w jakimś stopniu obudziła duchowo moją rodzicielkę, przygniecioną i wstrząśniętą prawie dwuletnim bolszewickim rządzeniem w Małodecznic: aresztowaniami, nocną wywózką na Wschód, a później odkrytymi grobami pomordowanych z rękami związanymi drutem kolczastym, tuż obok więzienia i gmachu NKWD. I w tę właśnie zimę 1942 roku zapakowany do sań, zajechałem z matką do kościoła w Bieniicy. Była to piękna XVII-wieczna barokowa świątynia, niegdyś przynależna do ojców bernardynów, co opisał niezapomniany Ignacy Chodźko w swych *Pamiętnikach kwestarza (1843-1845)*, a więc powstałych przed ponad stu laty.

Tu rodzice brali w 1930 roku ślub, tu byłem ochrzczony. Oprócz *Aniele Stróżu mój...*, umiałem *Ojczy nasz* i *Zdrowaś Mario*. Dziesięć przykazań poznałem już

w Poniziu Tatarskim. I z tymi wiadomościami przykłęknąłem przed bienickim proboszczem, aby wyznać mu swe grzechy. Nie pamiętam, czy akurat mówiłem o faworkach, ale pamiętam swe wzruszenie, niemal płacz. Później moja matka wskazała na ołtarz, objaśniając, że po prawej stronie czyta się *Ewangelię*, a po środku ksiądz odprawia Mszę świętą. Była to bowiem moja pierwsza komunia, którą przyjąłem sam, samiuteńki. A miałem wówczas dziesięć lat.

Zbliżała się Wielkanoc. Oczekiwana z radością w sercu. Cośmy wówczas mieli na wielkanocnym stole, oplecionym girlandą z widlaków zebranych na pobliskiej porębie, nie pamiętam. Pozostała pamięć oczekiwania i wyprawa po świeżą ruń i po korę olchy, aby ukraścić wielkanocne jajka. Jednak najpiękniejsze barwy, w brązowych odcieniach rembrandtowskiej palety, otrzymywaliśmy ze skrupulatnie zbieranych cebulowych łusek.

Następny Wielki Post i Wielkanoc spędziliśmy znów w Mołodecznie, gdyż „czerwoni partyzanci” zaczęli mordować dawnych właścicieli ziemskich i ich rodziny.

KIEDY ZAŚ W LIPCU 1944 ROKU, po spaleniu w czasie przejścia frontu naszego mołodeczkańskiego domu, wraz z całym dobytkiem, prawie nadzy i rzeczywiście bosi zawędrowaliśmy do rodzowego folwarku dziadka Oganowskiego pod Krewem. Było to 40 hektarów łasków, pastwisk i ugorów, gdzie wypasano majątkowe poniske cieliczki i owce. Zajęliśmy połowę chaty, która służyła przedtem za składzik-komórkę. Nie było tam życiodajnego białoruskiego pieca chlebowego, gliniane klepisko, belki przetykane mchem. W nocy w kątach izby zakwitał szron, zamarzała woda zgromadzona w beczce. Nasza stara krowa nie dawała mleka. Żyliśmy ziemniakami, gliniastym chlebem pieczonym pół na pół z ziemniakami, pęczakiem tłuczonym z jęczmienia w drewnianej stępie.

Jesienią 1944 roku żona człowieka, którego dziadek osadził na swym folwarku, podarowała nam kurę. Była to schorowana, z ciągle zafajdanym kuprem pstrokatą Pulka, jak ją nazwaliśmy (na wsi z białoruska wabiło się kury: pul, pul, pul). O dziwo, Pulka zamieszkawszy z nami w izbie, szybko powróciła do zdrowia. Zbliżał się luty, u naszej kury zbielały uszka, nabrał kolorów grzebień, piórka zalsniły niczym jedwab i Pulka poczęła pięknie, po kurzemu wyśpiewywać: kooo, kooo... Któręś dnia siedziała w kącie i zniosła pierwsze jajko. Było to jajko lutowe; zapowiedź wiosny. I tak co drugi, trzeci dzień Pulka obdarowywała nas jajkiem.

Gdy mama wychodziła na dwór, Pulka szła za nią, drepząc z tyłu niczym wierny pies. Kury Emilianowiczowej, które również spędziły zimę w izbie, pod chlebowym piecem, wyraźnie zniechęciły naszą pupilkę, dziobiąc ją, ale nie kogut, co się wydało wiosną. Gdy tylko zeszyły marcowe śniegi nasza kura „zakwoktała”, co oznaczało,

że zamierza zostać matką. Działo się to ku wielkiemu utrapieniu gospodyni u której żadna z kur nie poczuła macierzyńskiej potrzeby. „Oddała nam najgorszą kurę i teraz ma za swoje” – tak podsumowaliśmy kłopoty Emilianowiczowej.

Mama podłożyła pod kurę 14 jaj, na wszelki wypadek, gdyż z zasady kury wysiadywały część, reszta okazywała się „zbukami”. Jednak nasza Pulka była dobrą matką: ogarnęła skrzydłami wszystkie jaja i ze wszystkich wyszły kurczęta. Ojcowską zasługą koguta, że nie było jaja pustego.

Wybuchła wiosna i Pulka wyprowadziła 14 kurcząt na podwórze. Wokół lasy i zagajniki Wyżyny Oszmiańskiej i mnóstwo drapieżnych ptaków. Pulka przekrzywiwszy łebek śledziła niebo. Uprzedzała atak jastrzębia, wydając ostry krzyk i kurczęta czmychały do gęstych łopuchów i pokrzyw. I tak oto latem mieliśmy 14 dorodnych kurczaków.

Po śmierci ojca na mnie przypadła rola gospodarza. Z rozszczepionych osikowych patyków zbudowałem pod oknem kurnik, dokąd na noc chroniło się nasze drobiowe bogactwo. Co jakiś czas musiałem brać do garści siekierkę i odrąbywać głowę kurczaka. Było to jedyne źródło białka.

Może więc Pulkowe kurczęta uratowały moje życie? Bo dwa lata wcześniej zachorowałem na gruźlicę. Zaleczył ją znajomy lekarz, pan Wołkowicz dożylnymi zastrzykami z wapnia. W płucach pozostało zwapnienie „wielkości śliwki”. Mój ojciec zmarł w maju tegoż roku na gruźlicę rozpadową. Okazało się, że również tego feralnego 1945 roku, jesienią, na gruźlicę zmarł jego młodszy brat Henryk.

Zbliżał się czas wyjazdu do Polski. Z rozłupanych osikowych szczap skonstruowałem klatkę do której wsadziliśmy cztery młode kury. Z tymi kurami w lutym 1945 roku wylądowaliśmy w Łodzi. Przez pewien czas klatka stała na schodach w drewnianej przybudówce, gdzie zamieszkaliśmy. Gdy okazało się, że pod Łodzią osiedlili się nasi sąsiedzi – Dowgiałłowic z Kopanego Błota, tam zawiozłem Pulkowe potomstwo. Przez pewien czas Dowgiałłowic z Kopanego Błota dostarczali nam jajka, które, dla wciąż zabiedzonych niedojadających „repatriantów”, były wielkim skarbem.

To wspomnienie naszej Pulki, doprawdy wartej pomnika, dołączam do noworocznego *Gdybania* („KA” nr 1 2001 r.). Ona też mogłaby zostać wpisana do *Wszelkiego wypadku* Wisławy Szymborskiej: „Ocalałeś bo byłeś pierwszy/Ocalałeś, bo byłeś ostatni./Bo sam. Bo ludzic./Bo w lewo. Bo w prawo./Bo padał deszcz. Bo padał cień./Bo panowała słoneczna pogoda./(...)/Wskutek, ponieważ, a jednak, pomimo./Co było to było, gdyby ręka, noga,/o krok, o włos/od zbiegu okoliczności./Więc jesteś?/Prosto z uchylonej jeszcze chwili?/Sieć była jednooka, a ty przez to oko?/Nie umiem się nadziwić, namilczeć się temu./Posłuchaj,/jak mi prędko bije twoje serce.”

ALINA Z DOMU RONCZEWSKA, a przez całe dojrzałe życie, aż do dziś, a więc dożgonnie – Jurkowa Afanasjewowa, podrzuciła nam – „Familii Żakiewiczów” – tuż po Nowym Roku książkę, która miała przywrócić w czasie „Lorda Paradox”, „Affanasjewa z Sopotu” pt. *Jerzy Afanasjew, Portret wielokrotny*, Gdańsk 2000 rok.

Odnalazłem w niej nie tylko Jerzego Afanasjewa, ile zapis pięknego związku dwojga nietuzinkowych artystów: Aliny, plastyczki i pisarki, i Jerzego, poety (przede wszystkim poety!), tudzież człowieka teatrzyków studenckich, później reżysera, autora surrealistycznych grotesek itd. itd.

Opublikowano tu listy Jurka do Aliny, która raz pojawia się jako „Kochana Mgiełka”, to znów, jako „Kochana Alinka, Gałązka Światła”, dosyć jednak prozaicznych, pełnych trosk finansowych i rozterek z okresu studiów w łódzkiej szkole filmowej oraz cykl z podróży po Skandynawii.

Alina odpowiada mu po swojemu. Najpiękniejsze są listy pisane w formie lakonicznych wierszy: „Wieczorem: Cały dzień byliśmy osobno/Ty pracowałeś a ja spałam/Ciężko Ci mężu – ja wiem/Dziś w nocy gdy zaśniesz/Cicho wstanę/Będę czesać włosy/Czarnym grzebieniem/To będzie moja muzyka dla Ciebie/Ja też czuwam”. „Mój mąż: Mój mąż ma czarną brodę/Mój mąż ma czarne skarpetki/Dla niego uplotę wianek niebieski/On maluje fioletową krowę/Opadają mu spodnie – on jest poetą. Mamy psa/Mąż nie lubi kminu/...Co by tu jeszcze?” Albo inny niby-wiersz pełen humoru i liryzmu: „Mam odcisk na serdecznym palcu/Prawej nogi/Bardzo się wstydzę/Mój mąż jest miły/Patrzy na chmury/Kiedy się kąpie.”

Odnajdujemy w książce tę duchową jedność, która wiązała niezapomniane twórcze małżeństwo. Dzięki niej stworzyli swój „Cyrk Rodziny Affanasjew”, czy współtworzyli teatrzyk „Bim-Bom”.

Odkrywamy też, jak ważną częścią tego małżeńskiego duetu była sama Alina, łącząc w sobie kobiecą przeczność, realizm życiowy ze wspaniałym poczuciem humoru i absurdalności świata, który owocował w cyrku arlekinów rysowanych w listach do „Lorda Paradox”.

Do książki włączono listy co większych artystycznych znakomitości tego czasu, skierowanych do Afanasjewa, nie zawsze istotnych, jakby chodziło autorce wyboru (pani Jolancie Szulkowskiej) o potwierdzenie rangi, którą zajmował na rynku literackim Jurek Afanasjew. Mnie najbardziej ubawił list Jerzego Waldorffa z 7 czerwca 1968 roku. Jurek żalił się znakomitemu krytykowi, że wówczas gdański dyrygent Katlewicz nie otrzymał nadawanego przez miesięcznik „Literey” honorowego orderu „Staćczyka”: „Drogi Panie! Jakże zazdroszczę Panu cudownej, świeżej wrażliwości ducha, która pozwala Panu jeszcze się dziwić. Że Katlewicz nie do-

stał orderu «Stańczyka»? Ależ, kochany Panie! I tak dobrze, że reszta dostała po «Stańczyku», a nie – na przykład – po żywej myszy od «Samopomocy Chłopskiej».”

Jeśli Pan się skupi i sobie uprzytomni, że żyjemy w szpitalu dla wariatów na 32 miliony pacjentów, przestanie się Pan wówczas dziwić, a może nawet zacznie śmiać.”

Książka ma też inny wymiar. Jak pisze we wstępie Ewa Nawrocka, listy ukazują, że Jurek: „Żył przeszłością, swoją piękną młodością, stąd pomysły powrotów do Bim-Bomu, Cyrku, Kabaretu, które perswadowali mu przytomni przyjaciele. Znakomite w tym porządku listy Jacka Fedorowicza z października 1983 roku i Sławomira Mrożka z kwietnia 1985 roku uprzytamniają, jak dalece Afanasjew nie miał wyczucia upływu czasu historycznego, zmiany kontekstu, jak żył poza czasem i historią, jak nie rozumiał, że Bim-Bom i jego własny Cyrk wyrosły w określonej chwili historycznej i tylko w jej kontekście znaczyły i miały wartość. Przeniesione w inne czasy, skonfrontowane z inną mentalnością i wrażliwością estetyczną mogły się tylko demaskować i kompromitować. To uwięzienie w czasie przeszłym było istotą egzystencjalnego dramatu Afanasjewa.”

I właśnie tak: w „uwięzieniu w czasie” widziałem Jerzego, gdy zamieszkałem w Gdańsku, na dobre w 1969 roku. Pisałem o tym (*Ujrzane, w czasie zatrzymane*): „Odchodził od nas powoli, pogrążając się w smutku swego cierpienia i samotności człowieka, który przeżył siebie samego”. Dziś, po latach, mam poczucie jakiegoś niespełnionego obowiązku lojalności czy wręcz przyjaźni wobec Jurka, wszak mego rówieśnika, wywodzącego się z tych samych ostępów wileńskich. Nic też nie wiedziałem o tragedii, jaka spotkała dwunastoletniego chłopca. Jego ukochana matka, Irena, została zamordowana na łóżku szpitalnym w dniu 5 sierpnia podczas Powstania Warszawskiego przez oddziały generała Reinefartha. I chyba dlatego książkę otwierają *Niewysłane listy* Afanasjewa do niemieckiego generała.

Jurek pisząc te listy wyraźnie chciał zaleczyć wciąż bolesną ranę człowieka, który w bardzo młodym wieku przeszedł przez doświadczenia graniczne. Później we wspomnieniach *Każdy ma inny świat* pisał: „Pojechaliśmy do Warszawy ekshumować zwłoki matki, pogrzebane przez siostry przy szpitalu. Ciocia Hela w wielkim smutku podniosła spaloną czaszkę matki i włożyła ją do malutkiej trumienki”.

Zbigniew Żakiewicz

RECENZJE

Krzysztof Myszkowski

Moje okolice

Rodzinna Europa (1958), napisana po *Traktacie poetyckim* (1957), stanowi załączek *Ziemi Ulro* (1977). Miłosz-bohater-narrator przedstawia swoją osobistą historię z domieszką fikcji, coś w rodzaju zbeletryzowanej autobiografii. On, przybysz z Septentrionu, usiłuje wytłumaczyć zachodnim Europejczykom, co to znaczy być Europejczykiem ze wschodu. „Ten, który zaciera ślady, wyrzeka się swojej przeszłości, jest martwy”, choćby nie wiadomo jak udawał, że jest żywy, mówi Miłosz.

Zaczyna od miejsca urodzenia, „domu”, tj. rodzinnej prowincji: Litwa, powiat Kiejdany, rzeka Niewiaża – „mały skrawek kuli ziemskiej, któremu wszystko zawdzięczam”. Potem mówi o przodkach: „są dla mnie siłą” i „ratunkiem”. Od Hrehory Miłoszewicza Miłosza (posługiwał się językiem polskim), przez Kunatów i Syruciów (strona matki), do Oskara Miłosza. Potem opowiada o mieście swojej młodości – Wilnie, nazywanym Jeruzalem Północy, „mieście obłoków podobnych do barokowej architektury i barokowej architektury podobnej do stężonych obłoków”, tyglu różności, których nijak nie pojmą ludzie uformowani z uniformistycznej nudy. Dźwięk dzwonów; rzeka i dwie rzeczki; ruiny zamku; wąskie ulice wybrukowane kocimi łebkami; okrągła wieża katedry.

Chaos i nowa forma: przede wszystkim forma, zewnętrzna i wewnętrzna. Konstrukcja. Węzły krystalizacji. Sztuka powiązań. Krąg światła w ciemności. Twardy grunt pod stopami. Kto mówi co i jak. Życie i poezja. Myśli i słowa. Maskarada? Wiara. „Wizja świata musiała być pionowa”. Miłosz opowiada o swoim wychowaniu katolickim, mówi, że zadziało silnie, zostawiło w nim najtrwalsze ślady. Ale nic, co wiąże się z Miłoszem, nie jest proste. Gry namiętności, nędze cielesne, aspiracje ducha; skłonności heretyckie; pociąg do formuł ateistycznych (marksizm). Indyferentyzm ojca, pobożność matki. Wsparcia szukał u świętego Augustyna (*Wyznania*) i Williama Jamesa (*Doświadczenia religijne*). „Byłem naturą do głębi religijną”, mówi. „Wewnętrznej pewności nie udawało mi się stłumić: że istnieje błyszczący punkt na przecięciu wszystkich linii i że wtedy, kiedy go neguję, tracę zdolność koncentracji, a rzeczy, dążenia rozpadają się w proszek. Pewność dotyczyła także mojego związku z tym punktem. Czulem mocno, że nic nie zależy ode mnie, że jeżeli coś zrealizuje w życiu, będzie mi to dane, a nie zdobyte. Czas otwierał się przede mną jak mgła,

przez którą, jeżeli zasłużę, przebiję się i wtedy zrozumieć". Miłosz, wędrowiec przez strefy ciszy i grzmotu, chłodu i gorąca, jest ciągle – i w sobie, i na zewnątrz – pomiędzy dwoma biegunami: „Mój umysł postępował od przeczenia do przeczenia, a nawet, próbując przewyciężyć sprzeczności, właściwie się w nich lubował”. W tej gmatwaninie Miłosz czuł się jak ryba w wodzie. „Kto powierzy się tylko ruchowi, zniszczy siebie. Kto zlekceważy ruch, zniszczy siebie też, tylko inaczej. Takie jest, mówiłem sobie, samo sedno mego przeznaczenia, przez całe życie – nie móc zadowolić się ani jednym, ani drugim i chwilami tylko chwycać jedność tych przeciwieństw”. Litwa i Polska; Polska i Rosja; Europa wschodnia i Europa zachodnia; Europa i Ameryka; katolicyzm i marksizm; wojna i pokój; zmysłowość i duchowość; jasność i ciemność; dobro i zło.

Miłosz przywołuje rozprawę Baudelaire'a o Constantinie Guysie: „Ta pochwała krynoliny, pudru i różu jest mądra, bo człowieka można osiągnąć tylko z ukosa, poprzez wszystko co jest jego przedłużeniem i ciągłą maskaradą, czyli w jego momencie historycznym”. Ten fragment koresponduje z fragmentem o Ludmile Pitoëff: „W *Ce soir on improvise* Pirandella Ludmiła Pitoëff w ciągu kwadransu zmieniała się z młodej dziewczyny w starą kobietę. Siedziała na krześle, w świetle reflektorów, a jej towarzyszyki czy bóstwa czasu stopniowo nakładały na jej twarz coraz więcej zmarszczek, ścierały z ust róż, przyprószały włosy siwizną. Nigdy dotychczas litość i groza tragedii nie przeniknęła we mnie tak potężnie. Ostatecznie to był mój stały temat kontemplacji: niszczące starzenie się i poszczególnej istoty, i państw, ustrojów. Może wszelka poezja jest tym po prostu”. Cel, do którego dąży się z pasją i użyteczne zaślony. Jak w świetle tych fragmentów czyta się ostatnie, napisane po *To* wiersze Miłosza, na przykład otwierający ten numer „Kwartalnika” wiersz pt. „*Ja*”. „Maskuj się i klucz – będzie tobie wybaczone, jeżeli przechowujesz w sobie miłość Dobra”, mówi Miłosz. To żaden cynizm, czy hipokryzja, ale lekcja strategii i świadectwo artyzmu. Pokój, w którym przy rue Chateaubriand mieszkał Oskar Miłosz („nic prócz łóżka, stołu i paru książek” – „pustelnia z gołymi ścianami”) zestawia z pełną przepychu i złego smaku rezydencją poety snoba – attaché kulturalnego polskiej ambasady, dodając uwagi dotyczące techniki postępowania mieszkańca „pustelni”: „Nie uznawał żadnej gry, posłuszny swojemu powołaniu”. Miłosz jest po stronie „pustelni”, ale uważa inaczej: „Nie należy odsłaniać się zanadto, wszystko dojrzewa powoli i albo postępujemy o krok przed czytelnikiem, albo, oddalając się na dwa kroki, przestajemy być dla niego osiągalni. Czyli istnieje wiedza zastrzeżona i wiedza możliwa do odsłonięcia wobec innych, a pismo jest tylko procentem od tej pierwszej”. Jak powiedziałem, dopełnieniem tych słów jest cała droga twórcza Miłosza, a szczególnie wiersze, które złożyliśmy się na *To* i te napisane już po *To*. Kto dzisiaj daje ważniejsze świadectwo?

„Dyscyplina poetycka jest niemożliwa bez pobożności i podziwu, bez wiary w nieskończoną ilość warstw istnienia ukrytych w jabłku, człowieku czy drzewie; wzywa, aby poprzez stawianie się dążyć do b y t u. Taki był mój zamek wewnętrzny, zamek modlitwy”. Ale jest i drugi biegun, i druga strona medalu. Dużą rolę odgrywa w tej opowieści także to, co nie zostało powiedziane, co zostało świadomie i celowo przemilczane, albo w ogóle pominięte. Wielką wagę przykładu Miłosz do szczegółów i mówi poprzez nie. Tu znowu znajdujemy się pomiędzy dwoma biegunami, bo soczystość, zmysłowość, barwy i gęstość opisów kontrapunktuje wysublimowana duchowość, którą są podszyte i bez której nigdy by nie zaistniały tak, jak zaistniały. Miłosza mało interesuje sztuka pojmowana jako magazyn wrażeń. Ma świadomość, że jest „instrumentem obcej siły”, która obraca się wewnątrz niego, będąc zarazem nim i nie nim. Miłosz jest na niej skupiony. Ale nie mniej skupiony jest na impulsach dobiegających ze świata zewnętrznego, na materii i jej głębi, która ukazuje mu się z wyjątkową siłą jako „królestwo samo w sobie, z nieskończoną ilością form, odcieni, chropowatości, połysków”.

Jakże aktualna jest dziś *Rodzinna Europa*, zawarte w niej myśli i świadectwo. Jest ważna i aktualna z różnych powodów: politycznych, historycznych, socjologicznych, a także z punktu widzenia literatury, przede wszystkim z punktu widzenia literatury.

Jaka jest, jeśli jest, konkluzja? Mogą nią być ostatnie akordy tej pasjonującej książki, po lekturze której wracamy jak z dalekiej podróży: „Wybierając, musieliśmy poświęcić jedne wartości w imię innych, co jest istotą tragizmu. Tylko jednak za cenę tak wyostrajającego doświadczenia w nowym blasku ukazują się stare prawdy. Kiedy ambicja doradza nam wznieść się ponad proste zasady moralne, strzeżone przez ubogich duchem, zamiast obrąć je wśród zmienności za igłę kompasu, niszczy je to, co jedynie może okupić nasze szaleństwa i błędy, miłość”. Uciekać od tego wszystkiego, w czym nie ma miłości, co nie jest miłością, kimkolwiek czy czymkolwiek by to było, bo z taką pustką, choćby i najlepiej zamaskowaną, czeka nas tylko płacz i zgrzytanie zębów i straszliwa katastrofa. Z *Rodzinnej Europy* droga prowadzi do *Ziemi Ulro*. Ta droga jest do przebycia.

Krzysztof Myszkowski

Czesław Miłosz, *Rodzinna Europa, Dzieła zebrane*, tom IX, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001.

Krzysztof Myszkowski

Hak nieba

Rok myśliwego to kalejdoskop, mozaika; diariusz jednego roku: od sierpnia 1987 do sierpnia 1988 – obraz życia Miłosza 77-letniego (w dacie dwie „kosy”, o których z humorem wspomina w filmie pt. *Czarodziejska góra*); dziennik, a właściwie pamiętnik, dziwny spłot przeszłości i terażniejszości; mieszanina prozy i akcentów (okruchów) poezji; „Tkanina czasu. Ruchoma siatka współzależności zjawisk, które nie mają ze sobą nic wspólnego poza tym, że są równoczesne”. Tytuł wzięty od Włodzimierza Korsaka. Tom otwiera wiersz Robinsona Jeffersa pt. *Kochaj dzikiego labędzia* – dobre motto dla całej twórczości Miłosza.

Miłosz to wierny kronikarz rzeczywistości według zasady „widzę i opisuję”, jak mówi o sobie: „Moją zwierzyną był cały świat widzialny i życie poświęciłem próbom uchwycenia go słowami czy też trafienia go słowami”. Drugą część tego zadania obrazuje wspomniany wyżej wiersz Jeffersa:

Wstręt mam do moich wierszy, do każdego słowa.
Och blade, kruche kredki, zawsze nadaremnie
Falistą linię trawy chciały narysować
I ptaka, jak się stroszy w pierwszym białym świetle.
Och popękane moje zakopcone lustra.
Niechbym nie splendor rzeczy, odblysk jeden chwycił.

Miłosz tak jak Mickiewicz żyje w niebie i na ziemi, działa w świecie widzialnym i niewidzialnym, „w oboim żywiole” trwa jego praca.

W *Roku myśliwego* opisuje swoje życie w Ameryce, w Berkeley, w Kaliforni, podróże po Stanach i do Europy; wraca do przeszłości – na Litwę, do Wilna, do Polski międzywojennej, do wojny i okupacji, do lat powojennych i do emigracji; mówi o swojej poezji, o poezji innych poetów i w ogóle o literaturze, o religii i „Metafizycznym Poczuciu Dziwności Istnienia”, o historii i o polityce, o polskich wielkich problemach; polemizuje, cytuje fragmenty czytanych książek, przytacza zapisy z notatnika sprzed dwóch lat; mówi o czasie i o cierpieniu, o duchu i ciele; zapisuje sny, wspomina zmarłych przyjaciół. Przez ponad trzysta stron przewija się piękna plejada – około siedemset postaci, spośród których najczęściej pojawiają się: Andrzejewski, Gałczyński, Gombrowicz, Iwaszkiewicz, Jeleński, Koniński, Mackiewicz, Janina Miłosz, Oskar Miłosz, Prószyński, a także papież Jan Paweł II. W tym tłumie cieni Miłosz postrzega siebie jako postać enigmatyczną, postać z jakiegoś literackiego utworu: „Jest to intuicja poważna, sięgająca głęboko. Bo nasze wyobrażenia o sobie, czy zapisane czy nie, są kompozycją. Świadomość jest podobna prawu formy”.

Miłosz z nieprawdopodobną swobodą i zdumiewającą precyzją snuje trudne, zawile myśli. Widać, jak pracuje w języku; czuje się napięcie między milczeniem a językiem, moc sprężonej energii zawartej w poszczególnych liniach i na kolejnych stronach. Jest chory, zmęczony i osłabiony, ma trudności z oddychaniem, ale pracuje, pisze codziennie: „Przegroda dzieląca życie od śmierci tak cienka. Niewiarygodna kruchość naszego organizmu, tak że nasuwa się wizja: rodzaj mgły zagęszcza się w kształt ludzki, trwa chwilę i zaraz rozwiewa się”. Rozważa tajemnicę podwójności ducha i ciała, która będąc czymś tak najbardziej rzeczywistym, znajduje się w centrum religii i sztuki. Dziwny i mocny związek, jak: Eros i Thanatos, narodziny i śmierć, koniec i początek. Miłosza fascynuje podwójność duch-ciało – mówi, że to metafizyczna strona poezji dwudziestego wieku – „To drążenie, te jej gorzkie żale są w niej najciekawsze, przez to wybiega naprzód poza teologię i filozofię, które straciły dar dotyku do rzeczy ostatecznych. Do tego kręgu w poezji należy refleksja nad czasem, nad tajemnicą czasu”. U Miłosza to ciągle jest obecne: zmysłowość, widzialny i dotykalny świat, i prawowanie się z Bogiem, żywe poczucie obecności diabła, wiara w Opatrzność. W *Roku myśliwego* znajdujemy niesamowite wyznania, jak na przykład zapis z 2 XI 1987: „Naprawdę nie mogę pojmować życia inaczej niż jako przygotowanie. I tutaj jest powód mojego obecnego kryzysu. Bo jestem jak niemy, który belkocze, a zarazem wie, że już nie przemówi. Dotychczas wierzyłem, że przemówię i śladem tej wiary są napisane przeze mnie wiersze. Znam oczywiście długie okresy niemoty, które następnie okazywały się powolnym wewnętrznym dojrzewaniem. Teraz jednak refleksja o tym, co się we mnie odbywa, nie prowadzi do pomyślnych wniosków”. A przecież potem powstały: *Dalsze okolice*, *Na brzegu rzeki*, *To!* Poezja jako ocalenie, jako odsłonięcie dobra duszy (Poezja i Dobro). Miłosz mówi, że praca diabła polega na odsłonięciu zła duszy człowieka, doprowadzeniu go do tego, żeby zgodził się na swój demonizm, od którego nie ma ratunku, bo wtedy hak Nieba „nie ma o co w nas się zaczepić, żeby nas porwać w górę”. Trzeba tak żyć i tak pracować, żeby hak Nieba miał o co w nas się zaczepić, bo tylko wtedy i życie i praca mają sens. I tylko taka poezja i w ogóle literatura ma sens. W innym razie jest przepadłe. Literatura, jak mówi Miłosz, „ogromny jarmark próżności”. I ocalenie. Można rozumieć Miłosza tak jak Kisielewski, ale to jest tylko jedna strona medalu. „Wszystkie moje ruchy umysłu są religijne i w tym sensie moja poezja jest religijna. A również (może to samo) jest za Bytem przeciw Nicości” – mówi Miłosz. Jego wewnętrzna zawilść ma wiele jasnych i wiele ciemnych miejsc. Dlatego Miłosz odbierany jednostronnie jest właściwie nie do pojęcia. To co mówi o swoim chrześcijaństwie, że jest stale na tak i nie. Jan Paweł II powiedział do niego w prywatnej rozmowie: „Robi pan zawsze krok naprzód i krok w tył”. W innym miejscu Miłosz wyznaje: „Gdyby nie moja pobożność dziecka wychowanego w katolicyzmie i zdolność do modlitwy w wieku dojrzłym, nie dałbym rady, zginąłbym dziesięć razy”.

Z drugiej strony Miłosz żyje również bardzo aktywnie: podróżuje („Liczba mil, jaką przemierzylem samolotami, w Ameryce i za jeden, drugi ocean, jest zawrotna”), wchłania w siebie świat, żyje intensywnie chwilą, mówi o swoim wigorze w picu alkoholu, wigorze seksualnym i wigorze twórczym, które idą razem. Jest mocno zaplątany w świat i w za-świat, a jego supły trzymają mocno. „*Kunas ir dvasia* – ciało i duch. To brzmi dobrze. Na ten dźwięk jestem wrażliwy, z powodu mego nazwiska po matce, Kunat”. To jest cały Miłosz: dziwny i tajemniczy, wielki i wspaniały.

Krzysztof Myszkowski

Czesław Miłosz, *Rok myśliwego, Dzieła zebrane*, tom X, Wydawnictwo Znak, Kraków 2001.

Grzegorz Kalinowski

Tajemnica bólu

Uśmiech kora to zbiór esejów o Tajemnicy, o tym, „co jest «po stronie» akropol-
skich *korai*, tego świata tu blisko, ale jednak na górze”. Tajemnica – oto centrum, ten niepojęty punkt, w kierunku którego krętą drogą pośród szczytów niedostępnych dla niewtajemniczonych, tych rzeczywistych i budzących trwogę wędrowca, innym znów razem prosto do celu jak strzała wystrzelona z łuku Apollina, zmierzają „nieśpiesznie” dyskursy, pełne zadumy, pełne zapatrzenia i zasluchania w mroczne, wielowarstwowe i niepoznawalne ludzkie wnętrze.

Ostatni tom esejów Zygmunta Kubiaka zawiera utwory znane z wcześniejszych publikacji, m.in. *Brewiarza Europejczyka*, ale także zupełnie nowe, napisane w ostatnich dwóch latach. Powstała całość niezwykła – eseje, które można odczytywać jako swoistą próbę podsumowania dwóch tysiącleci duchowego rozwoju cywilizacji Zachodu, a także jako księgę na nowe tysiąclecie, przewodnik, dość szczególnie, bo zstępujący w dziedzinę duchową, gdzie przedmiotem podstawowego oglądu pozostaje istota ludzka, jej przestrzeń wewnętrzna.

Najbardziej trafnym mottem owego zbioru może być fragment *Pierwszej elegii* duinejskiej Rilkego:

(...) Albowiem piękno jest tylko
przerażenia początkiem, który jeszcze znosimy
z takim podziwem, gdyż beznamiętnie pogardza
naszym unicestwieniem.

Jak każda spośród dziesięciu elegii i ta pierwsza przynosi smutek. Przesłaniem jej, podobnie i pozostałych, jest wiara, iż czas można zatrzymać, a rozpacz wpisana w istnienie ukoić. Piękno i przerażenie egzystencjalne stają się w istocie, tworząc niejasny splot, impulsem kreatorskim, tego, co przy tajemnej boskiej pomocy powołuje do istnienia krainę, do której niszczący potwór, Czas, dostępu nie ma. To właśnie „prze-strzeń dzieł wiecznych” według terminologii autora *Półmroku ludzkiego świata*. Piękno zrodzone z przerażenia bytem, egzystencjalnej trwogi i bólu, przerażenia istnieniem – ono właśnie trwa. Na przekór.

Uśmiech kore to niepokojąca książka o człowieku, zbiór medytacji filologa, tłumacza i pisarza, poszukującego odpowiedzi na pytania dotyczące natury ludzkiej i ostatecznych racji sensu istnienia, wreszcie książka usiłująca wniknąć w metafizyczną sferę bycia, jak również próba rozpoznania antropologicznych wymiarów człowieczeństwa. Piękno, którego widowym znakiem jest uśmiech dziewczyny wyraża tajemnicę, uśmiech pozostaje równie nierozpoznawalny jak skryta natura ludzka. I wreszcie ów uśmiech pochodzący z boskiej sfery, wobec której mowa milknie lub kwiląc zaledwie, podejmuje heroiczną próbę odsłonięcia boskich tajemnic. Objawia niepojętą i nieodczytaną zagadkę istnienia człowieka w świecie. Zwracając się do urzeczzonego jego czarem i powabem, pyta bezgłośnie, pyta milcząco – kim jesteś człowieku? Pytanie stawia przede wszystkim Europejczykowi – spadkobiercy, którego fundamenty bycia określiła tradycja hellenistyczna, rzymska i chrześcijańska, prefigurowana w dwóch poprzednich. Kim jesteś człowieku, jaka jest racja Twojego istnienia, jaki wreszcie jego sens? Jest równocześnie tajemnicza kore istotą wyrażającą wiedzę zrodzoną, z bólu „(...) nadal trwa – pisze Zygmunt Kubiak – nad nami wszystko, co przedstawił Hefajstos, jak też trwają Boskie Tajemnice Duchowe (...) I trwa, tu bliżej, uśmiech kore, wszystkich *korai* z Akropolu. Światło nad bólem. Ale i w tym uśmiechu jest ból”. Tajemnica bólu pozostaje zakryta. Uśmiech kore i to wszystko, co w sobie zawiera unoszą się nad światem i jego zgiełkiem, światem, w którym tyle okrucieństwa i bólu, ale też i miłości, i dobra. Milcząca forma ponad zgiełkiem świata. To oczywiście estetyka Zygmunta Kubiaka, którą zrodziły głębokie i wnikliwe medytacje nad kulturą europejską.

Poprzez eseje zawarte w czterech cyklach: *Peregrynacje*, *Zmaganie się z językiem polskim*, *Spotkania pisarskie* i *Medytacje* prowadzi niczym przewodnik ów zagadkowy uśmiech, wędrujący jak muzyczny motyw w polifonicznej kompozycji, objawiając czystą metafizyczność istnienia. Od tego uśmiechu nie można się uwolnić. Ma moc zniewalającą.

Mędrzy hellenistycznego Egiptu głosili: „Czego się nie da wypowiedzieć, to właśnie jest boskie”. Ludwig Wittgenstein w 7. tezie *Traktatu* pisał: „O czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć”. Boskość milczy, to co boskie trwa w ciszy, język ludz-

ki zaś kwili. Z drugiej strony: „Mowa ludzka jest największą sztuką, jaką może wystawić rodzaj ludzki. Stanowi ona swoiście człowieczy akt rozgrywany na scenie ewolucji, na którym wyłaniamy się zza kosmicznej kurtyny i spełniamy nasze przeznaczenie. Wolno jednak podejrzewać, że czujni bogowie spostrzegli, iż cały porządek, w jakim ów zdumiewający zbiór trików prowadzi kolejno do wielkiej kulminacji – wykradziony został z Wszczęświata” – pisał Benjamin Lee Whorf. Być może jest właśnie tak, jak twierdzi amerykański językoznawca i trudno się zarazem nie dziwić, iż całą swą antropologię buduje Zygmunt Kubiak pochylając się nad językiem, literackimi arcydziełami. Tylko literatura może objawić tajemnicę, może się do niej zbliżyć. Jedyne słowo zdolne jest do gestu objawicielskiego. W naszej cywilizacji to oczywiste, zważywszy na jej logocentryczny charakter. Myślenie jest zawsze w jakimś języku. Każda refleksja, jeśli chce nią być, musi przyoblec się w określoną formę słowną. A jakie między nimi istnieją relacje to już zupełnie inna historia. „Język kłamię głosowi, a głos myślom kłamię” – pisał największy poeta polski. Język stanowi najdoskonalszy system, za pomocą którego możemy porozumiewać się, ale przede wszystkim poddawać wnikliwemu oglądowi świat, rzeczywistość w której jesteśmy dogłębnie zanurzeni. Język buduje świadomość. Istota ludzka zamieszkuje w języku. Martin Heidegger pisał: „(...) mowa jest domem bycia”. Świat istnieje w języku i dzięki językowi.

O tajemnicy człowieka mówi więc przede wszystkim literatura, arcydzieła. Poezja grecka, twierdzi Zygmunt Kubiak, jak największe rzeczy na świecie, jest tajemnicą. Literatura to epifaniczna przestrzeń – Homer, Horacy, Wergiliusz, Dante, Szekspir, Kafkis, w literaturze polskiej – Janicjusz, Kochanowski, Mickiewicz. Tajemnica obecna jest w cywilizacji Zachodu dzięki współlistniejącym antynomiom, nie dającym się pozornie pogodzić sprzecznościom. Dzień i Noc. Światło i Mrok. Zygmunt Kubiak penetruje obie te sfery. Racjonalny ogląd i opis, a także zstępowanie w sfery niejasne i tajemnicze, dokąd wiedzie i mądrość, i intuicja.

Jakie są podstawowe przesłania *Uśmicchu kore*, zarys antropologii Zygmunta Kubiaka? Podstawowe i najważniejsze zadanie bycia człowiekiem to – władać sobą. Grecy uważali, sytuacje, w których rozum człowieka się zaćmiewa za wielkie nieszczęście, sprowadzające go do poziomu zwierzęcia. „Prawdziwa dojrzałość intelektualna polega na rozumieniu, że różne formuły intelektualne mają różne cechy, zalety i wady; jedne formuły mogą być lepsze, nawet znacznie lepsze, znacznie trafniejsze od innych, ale odległość, jaka je wszystkie oddziela od absolutu, od ostatecznej rzeczywistości jest zawsze nieskończona, a więc w pewnym sensie jest zawsze taka sama”. Istnieje hierarchia, miara, która dla istoty ułomnej, jaką jest człowiek, na zawsze pozostanie nieosiągalna. Dlatego, jak pisze Zygmunt Kubiak, dojrzałe ludzie nigdy nie pogardzają ludźmi prostymi. Istota ludzka, świadoma swej ograniczoności, nie może więc mieć złudzeń. Żadnych. Te rozpoznania wynikają z wpisanej w grecką i biblijną

wizję świata, przesłanki, że dla antynomi życia nie ma na ziemi rozwiązania. Świat zaś nie jest okrutny – „jest taki, jaki jest”. Człowiek w swej najgłębszej istocie pozostaje samotny. Nie wolno mu ulegać fikcjom i jakiegokolwiek złudzie. Należy odrzucić pociechę i krzyk rozpacz. Widzieć wszystko, różne przeciwieństwa, splątanie wokół, widzieć smutek i żal miłości. „Widzieć prawdę, widzieć ją możliwie jak najjaśniej i być dostatecznie silnym, aby się co do niej nie łudzić – oto jest chyba sam fundament wszelkiej wartościowej postawy ludzkiej”. Początkiem mądrości jest, twierdzi autor, odważa odrzucenia wszelkich złudzeń. Pesymizm wydaje się zaś postawą ludzką wartościowszą niż optymizm. Mówi Hamlet:

Umrzeć, zasnąć,
 Nic więcej. Mniemać, że tym snem kończymy
 Ból serca, tysiąc przyrodzonych wstrząsów,
 Jakie dziedziczy ciało – dopełnienia
 takiego warto pragnąć.

Uśmiech kore trwa gdzieś pośród Nocy, wylaniając się na mgnienie w światłości Dnia i wciąż, pozostając tajemnicą, ponawia pytanie o człowieka, o cywilizację Zachodu wspartą na hieratycznych i dostojnych fundamentach. A tajemnica bólu? Pozostaje nieodgadniona, zakryta. Można się do niej zbliżyć, co uczynił autor esejów z uwagą pochylając się nad arcydziełami kultury europejskiej, ich autorem i bohaterem – człowiekiem, jego wielkością i nicością.

Grzegorz Kalinowski

Zygmunt Kubiak, *Uśmiech kore*, Biblioteka Więzi, Warszawa 2000.

Paweł Majerski

Tematy niemitologiczne

Mity przebrane (1990; 1994), *Nowomowa po polsku* (1990), *Marcowe gadanie* (1991), *Poetyka i okolice* (1992), *Rytuał i demagogia* (1992), *Peereliada* (1993), *Pis-mak 1863 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach* (1995), *Mowa w stanie obłączenia* (1996), *Ekspresja i empatia* (1997), *Czarne sezony* (1998), *Przywidzenia i figury* (1998), *Końcówka* (1999), ostatnio zaś – *Dzień Ulisesa i inne szkice na tematy niemitologiczne...* Oto, wymienione jednym tchem, nowe książki Michała Głowińskiego z ostatniej dekady. Wykaz, jak widać, bardzo obszerny, a przecież wypadłoby jeszcze odnotować studium o *Ferdynurce* i wznowienia – w zacnej krakowskiej serii „Klasyki współczesnej polskiej myśli humanistycznej” – *Powieści młodopolskiej*, *Narracji literac-*

kich i nieliterackich, Dzieła wobec odbiorcy, Zaświata przedstawionego, tudzież zbiór *Intertekstualność, groteska, parabola*. Prace te, rzecz jasna, różnią się formami ujęcia i opisu materiału, „docelowymi” założeniami badacza, gdyż – odpowiednio – odnajdziemy pośród nich erudycyjne szkice literaturoznawcze i kulturoznawcze, tomy spisanych „na gorąco” notatek, komentarzy, nadto literackie miniatury. Zbliża je wszakże obszar autorskich zainteresowań, a przy tym układają się w cykle, konsekwentnie rozwijane i uzupełniane. Potrzeba czasu, by uchwycić wszystkie „punkty strategiczne” mapy – sprawnie łączonych – wątków, tematów, problemów...

Lekturę *Dnia Ulisesa...* wielu czytelników rozpocznie zapewne od noty edytorskiej. Ponieważ książka skomponowana jest ze szkiców rozproszonych, warto zerknąć na tytuły pism i tomów zbiorowych, w których się ukazywały, odnaleźć daty i przypomnieć sobie publikacyjne okoliczności. Szkice Głowińskiego pochodzą z lat 90., jedynie *Notatki o kwadraturze koła* drukowano na łamach „Kultury Niezależnej”, w roku 1987. W podobnych przypadkach oczekujemy, iż publikowane uprzednio całości staną się fragmentami wielosegmentowej całości. Tak jest i tutaj: w obrębie wydanej właśnie książki, ale i w ramach obszernego już cyklu, którego *Dzień Ulisesa* jest integralnym ogniwem.

W odnotowanym rejestrze prac szczególnie miejsce przypisałbym *Przywidzeniom i figurom*. Książka ta – przypomnę – w tematycznych blokach zestawia zapiski oniryczne, impresje literacko-muzyczne i uwagi językoznawcze, szkice „charakterologiczne”. Dlaczego miałyby ogniskować rozległe plany filologicznego dyskursu? Otóż dostrzec w niej można, kreślony pewnie prowadzonym piórem literata-naukowca, ślady powolnego przedzierania się przez palimpsesty nowoczesnej kultury. W *Przywidzeniach...* pojawia się zresztą – istotny dla czytelników książek Głowińskiego – fragment, przywołujący postać Jonasza: „Nieustannie rzucani w brzuch wieloryba, wciąż umieszczani w jakiejś historii, nie potrafimy ogarnąć własnej sytuacji. Jonasz swój niezwykle przypadek mógł opowiedzieć, a więc nad nim zapanować, wówczas dopiero, gdy miał go już za sobą. Choć wielorybiego brzucha nie można oglądać z zewnątrz, z zewnątrz oglądać go trzeba”. Właśnie: owo „opowiedzieć” zamknięte jest w klamrze „nie można” – „trzeba” i dopiero odczucie powinności umożliwi rozwinięcie narracji. Najogólniej rzecz ująwszy: autor powraca do tekstu kultury unieruchomionego w totalitarnym gorsecie „jedynie słusznego” przesłania, analizując mechanizm intelektualnego ubezwłasnowolnienia.

Dywagacji Głowińskiego nie da się sprowadzić do zawężających ram refleksji literaturoznawczej. W zasadniczej części jest to książka o literaturze, jednak – skalając wątki historyczne, socjologiczne, polityczne i literackie – ma charakter kulturoznawczy. Badając powojenną literaturę, autor *Dnia Ulisesa* przedstawia także noty językoznawcze, a w rozważaniach o języku totalitarnym objawia się jego skrupulatność i detektywistyczna dociekliwość. Szczegółowo omawiane są tutaj konkretne wydarzenia, które ostatecz-

nie postrzegamy w szerokim planie historycznych przyczyn i konsekwencji. Przyciągają więc uwagę szkice „pokoleniowe”, choćby *My z lat trzydziestych* oraz *Polonistyczne drogi do niezależności*. Inny tekst prezentuje pięciu historyków literatury (Kwiatkowski, Ziomek, Treugutt, Lipski, Zimand), którzy brną przez zawirowania wielkiej historii i metodologiczne uwarunkowania. W wielu miejscach cyklu była już mowa o pokonywaniu ścieżek socrealizmu, ideologicznych wyborach, lekturowych zakazach. Teraz autor sięga na przykład po tom *Naukowy Zjazd Polonistów*, dokumentujący spotkanie z 1958 roku, w galerii groteskowych osobliwości przedstawia Gomułkę w roli krytyka teatralnego, komentującego *Dziady*, przypomina broszurę doc. Idy Martowej, poświęconą „nieudanej próbie zamachu stanu” w 1968 roku... Do młodych czytelników kierowane są uwagi sporządzone na marginesach *Antyfony do kielbasy zwyczajnej* Adama Zimianina. Głowiński wskazuje odniesienia do PRL-owskiej rzeczywistości, które uformowały gorzki (i groteskowy) wiersz autora *Naszego stonego rachunku*.

W *Dniu Ulisesa* pojawiają się recenzje: książki Marty Fik poświęconej „marcowej kulturze”, pracy Krzysztofa Meyera o Szostakowiczu, warszawsko-paryskiej opowieści Andrzeja Dobosza. „Recenzje” to może niezbyt adekwatne określenie, albowiem wypowiedź o konkretnej książce przekształca Głowiński w opowieść – o paradoksach czasu, ale i o osobie. Ponieważ autor zapisków odbywa „podróż w czasie”, nie dziwi więc tekst *O krytyce prokuratorskiej*, akcentujący analogie postaw dzisiejszych krytyków-lustratorów (m. in. Trznadel i Urbankowski) i „prokuratorów” socrealizmu (Sokorski, Putrament, Kierczyńska, Lasota). Kontynuację tych rozważań dostrzeżemy w ostatnim szkicu *Szyborska i krytycy*, przeglądzie – niekiedy żalonych, jak książeczka państwa Krajskich – publikacji, które ukazały się po przyznaniu nagrody Nobla.

„Tematy niemitologiczne” deszyfrują strategię mitologizacji rzeczywistości, co ważne – Głowiński nie jest zainteresowany wypreparowanymi eksponatami i potwierdza, iż rzeczy świata tego rozbłyskują znaczeniami, do których docieramy, odkrywając związki faktów, konteksty zdarzeń, sensy wyborów i zobowiązań poprzedników. Autor uświadamia sobie niebezpieczeństwo „zawężeń” perspektywy opisu, sam tworzy – obfitującą w detale – panoramę. We wznowieniu *Powieści młodopolskiej* Ryszard Nycz ogłosił godne uwagi studium o dokonaniach Głowińskiego, wskazując „systemową jednorodność” jego refleksji badawczej. „Wypracowana (...) poetyka (...) – pisze Nycz – która musiała najpierw bronić racji swego istnienia okopując się z konieczności na »formalistycznych« pozycjach, potem konsolidować i porządkować swe zdobycze w semiotycznym języku literackiej komunikacji, teraz – gdy zdecydowała się usamodzielnąć, oderwać od macierzystej dziedziny i swobodnie wybierać przedmioty analizy z całego dyskursywnego pola kultury – może i na wewnętrzne, autonomiczne porządki literatury wreszcie spojrzeć z rzeczywiście zewnętrznej, historycznej per-

spektywy”. To trafne ujęcie nowoczesnego literaturoznawstwa Michała Głowińskiego. W *Peereliadowym* cyklu precyzja historyka i teoretyka literatury splata się z intymnym ujęciem doświadczanej historii – subtelnym, lecz pozbawionym tonów ckliwości, precyzyjnym w rejestrowaniu faktów i stanów emocjonalnych, a przy tym nie rezygnującym z sugestywnych nawiasów ironii.

Właśnie ukazały się pierwsze leksykony PRL-u, niebawem w wydawniczych zapowiedziach odnajdziemy zapewne „encyklopedie”, a zestawy zaproponowanych haseł wzbudzą wątpliwości – z powodów „ideowych”, metodologicznych, tudzież merytorycznych. Książki Michała Głowińskiego już teraz wyznaczają ważne punkty odniesień w badaniach powojennej kultury.

Paweł Majerski

Michał Głowiński, *Dzień Ulissesa i inne szkice na tematy niemitologiczne*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000.

Sławomir Buryła

Księga, która pamięta

W swym najnowszym utworze *Memorbuch*, którego fragmenty publikowały wcześniej m.in. „Kresy”, „Rzeczpospolita”, „Kwartalnik Artystyczny”, Henryk Grynberg snuje opowieść biograficzną o życiu Adama Bromberga (1912-1993), wydawcy, dyrektora PWN, inicjatora *Wielkiej Encyklopedii Powszechnej*. Książka powstała w oparciu o wspomnienia nagrane przez Bromberga na taśmach magnetofonowych i wideo. Relacja ta została uzupełniona przez wypowiedzi znajomych (Anna Frilich-Zajac, Jan Kott, Jadwiga Wolańska) i najbliższych członków rodziny. Zgodnie z metodą pracy znaną z *Pamiętnika znalezionej w stodole*, *Dzieci Syjonu* czy *Kabaretu po tamtej stronie* autor *Ekipy „Antygona”* sięga też po teksty fachowe: Paula Johnsona *A History of the Jews*, Michała Chęcińskiego *Poland: Communism, Nationalism, Anti-Semitism*, *Encyklopedia of the Holocaust* pod redakcją Israela Gutmana. Tego typu zabieg w połączeniu ze wspomnieniami głównego bohatera, które stanowią bądź co bądź główny surowiec opowieści oraz cytatami „Życia Warszawy”, „Żołnierza Wolności”, „Głosu Robotniczego” i innych dzienników PZPR, wyróżniających się szczególnie nastawioną nagonką antysemitką podczas wydarzeń z 1968 roku, mają uwiarygodnić narrację, a jednocześnie umieścić ją w kontekście szerszej problematyki.

Opowiadając losy autentycznych postaci, prezentując ich dzieje, które zwykle dają się zamknąć w mijającym stuleciu, pozostając często wierny językowi i stylowi wypowiedzi na-

granych na taśmach, Grynberg zostawia również miejsce dla własnej inwencji pisarskiej. Jednym z przejawów ingerencji autorskiej są „krótkie historie miast” zachodnich i polskich w rozdziale *Podróż poślubna*, w których w sposób szczególny uwzględniono rozliczne pogromy i powtarzające się cyklicznie przejawy okrucieństwa wobec Żydów. Grynbergowski jest też język, tak jak we wcześniejszych powieściach i opowiadaniach, przesycony humorem. Rola śmiechu w tej twórczości jest ciągle w niewystarczającym stopniu podkreślana przez krytyków. Komizm ma u autora *Zwycięstwa* różne odcienie. Może on przybierać delikatny – ze znamienym połączeniem sfery idei z seksualną – charakter znany z niektórych fragmentów *Życia ideologicznego*.

A jednak ograniczając się jedynie do tych rodzajów humoru, które wywołują w nas rozbawienie, zubożylibyśmy pisarstwo Grynberga. Począwszy od debiutanckiej *Ekipy „Antygona”* twórczości tej towarzyszy nutka ironii, sarkazmu, czarnego humoru, makabreski. „W dwa dni później weszli na Wołyń Sowici i Kłara z Dolkiem i dziećmi pojechała do Lwowa, a Cynkman – do Katynia”. W tej prozie jednak postawa dystansu narratora (autora) do świata przedstawionego, którą konotują wymienione zabiegi artystyczne ma znamienne ukierunkowanie. Ironia, drwina będąca próbą opisaną okrucieństwa dwudziestowiecznej historii, wymierzona jest w te aspekty europejskiej cywilizacji, które odpowiedzialne są za totalitaryzm, Holocaust, obozy koncentracyjne i ośrodki zagłady. Kryje się w niej nieufność i podejrzliwość autora wobec mechanizmów obronnych kultury europejskiej, jej zdolności do przeciwstawiania się złu. „Świat się zmienia tylko pozornie, wirtualnie. [...] Przy komputerze siedzi ten sam człowiek, co na początku cywilizacji. I uczy się za każdym razem od początku. Ona pędzi coraz szybciej. [...] Jej postęp jest wyraźnie geometryczny, a przyspieszenie coraz bardziej przypomina spadanie. Człowiek zaś pozostał kim był w ciągu tych kilku tysięcy lat. Zarówno jego wyczyny, jak i bezpośrednie wypowiedzi dowodzą, jak mało się zmienił. Co raz się stało, łatwo staje się po raz drugi, a jeszcze łatwiej za trzecim razem” – ostrzegał autor *Święta kamieni* odpowiadając na ankietę „Po co pisać?” W swej podejrzliwości wobec zrębów cywilizacji Zachodu pisarz zbliża się do Tadeusza Borowskiego. Podobna konstatacja jednak nie umniejsza, jak sądzę, różnic między dwoma autorami wyłożonymi między innymi w zbiorze esejów *Prawda nieartystyczna*. O ich wadze pośrednio zaświadcza również polemika z Markiem Zaleskim.

Memorbuch jest kolejną książką Grynberga o problemach, którym pozostaje wierne to pisarstwo od debiutanckiej *Ekipy „Antygona”*: Holocaust, antysemityzm, wstydliwych kartach niezrozumienia i niechęci Polaków wobec Żydów. Twórca *Święta kamieni* ponownie opowiada historię własną i swoich najbliższych, tym razem rozpiсанą na dzieje rodziny Adama Bromberga. Losy wydawcy i dyrektora PWN są niemal dokładnym powtórzeniem drogi życiowej Grynberga: wojna, pobyt w Polsce, w czasie którego stale narażonym się było na szykany, antysemicka nagonka, emigracja.

Powracają, znane z poprzednich utworów niektóre motywy i charakterystyczne dla tego twórcy sposoby prezentowania osób i zdarzeń. Zwróćmy chociażby uwagę na postać matki z *Lubelskiego domu*.

Równorzędnym bohaterem książki Henryka Grynberga, obok osobistych przeżyć i wspomnień Adama Bromberga, jest historia, ta niechciana, „nieoficjalna”, często spychana na dalszy plan jako zbyteczne grzebanie w życiorysach. Zapewne nie brzmią najmilej dla naszego ucha fakty, które pośrednio naruszają mit o tolerancyjnej Rzeczypospolitej. Wielu z polskich miast udało się wyprosić u poszczególnych władców przywilej *de non tolerandis Judaeis*, zakazujący Żydom osiedlania się w obrębie ich murów. Tak było w przypadku Warszawy, która wykupiła u króla podobne prawo w 1527 roku i utrzymała je do czasów rozbiorów.

W *Memorbuch* daje o sobie znać demaskatorska pasja twórcy *Szkiców rodzinnych*. Przypomina się zatem niechlubną kartę w dziejach AK, które znają – co potwierdzają również wypowiedzi Marka Edelamna w *Strażniku* i członków ŻOB w *Ciągle po kole* Anki Grubińskiej – przypadki mordowania Żydów podczas trwających walk w powstańczej Warszawie. Przywołać tu również można niezbyt przychylną postawę dowództwa polskiego państwa podziemnego do wydarzeń w getcie z kwietnia 1943 roku. Najnowsza książka Henryka Grynberga podnosi też inne drażliwe kwestie: problem szumowin społecznych, byłych szmalcowników, szantażystów i volksdeutschów, którzy, podpisując po wojnie zgodę na współpracę, często zasilali na najniższych szczeblach szeregi tworzącego się nowego aparatu władzy. Pisarz nie oszczędza również dwóch innych środowisk: nauczycieli oraz pracowników naukowych. Negatywną ocenę tego pierwszego wystawił Grynberg w *Życiu codziennym i artystycznym*, jedynym utworze prozatorskim, którego bohater nie ma żydowskich korzeni. Nadgorliwość i bezmyślność granicząca z głupotą, z jaką część nauczycieli wykonywała wszelkie zalecenia komunistycznych władz budzić dziś musi odrazę, ale i zmuszać do analizy tych postaw. Oto portret „nauczycielek-milicjantek” z *Memorbuch*: „W szkole kazano [...] jeszcze raz wypełnić kwestionariusze z personaliami rodziców. Nauczycielki, u których dotąd zawsze miała piątki, zapowiedziały, że więcej piątek nie dostanie. Historyczka wypytywała ją całą godzinę. – No widzę, że wiesz, ale Żydzi polskiej historii nie rozumieją i więcej niż trójki ci nie postawię. [...] Strzecha, wchodząc do klasy, pociągała nosem: – Coś mi tu Żydem śmierdzi”. To środowisko nigdy nie przyznało się do błędów.

O ile jednak postawa i wydarzenia z marca 1968 roku nie miały najczęściej negatywnego wpływu na karierę naukową czy polityczną ludzi, którzy swym nazwiskiem firmowali pomysły Mieczysława Moczara i Władysława Gomułki, to ich konsekwencje dla osób pochodzenia semickiego trwają do dziś. Na mocy kilku rozkazów wydanych przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego w latach 1970-1980 Adam Bromberg oraz ponad 1300 oficerów i chorążych, którzy po 1968 roku opuścili kraj zostało zdegra-

dowanych do stopnia szeregowca. W artykule zamieszczonym na łamach „Wprost” (1996, nr 34) zatytułowanym *Kwestia godności*, Henryk Grynberg pisał o ciągle nie uregulowanym problemie możliwości powrotu osób pochodzenia semickiego do Polski, z której zostali wyrzuceni na podstawie fałszywych oskarżeń. Pisarz, znany z bezkompromisowych poglądów i wypowiedzi, w swym tekście dokonywał zestawienia represji hitlerowskich w Niemczech w latach trzydziestych z tym, co działo się w Polsce pod koniec lat sześćdziesiątych. W pierwszym przypadku jednak istniały pewne pozory legislacyjne (ustawy norymberskie wprowadzone 15 września 1935 roku). Analogie te pojawiają się również w *Memorbuchu*: „Narodowym komunistom wystarczało nazwisko – tym się różnili od narodowych socjalistów”. „Kwestią godności” rządu i narodu polskiego jest nie tylko anulowanie niesprawiedliwych ustaw zakazujących powrotu, ale oddanie majątku zagrabionego przez władze PRL.

W grabieży i łupieskim wykorzystaniu ekonomicznych zdolności, widzi Grynberg jeden z podstawowych rysów stosunku Europy do Żydów w ostatnich kilku stuleciach. Pisarz zawarł to w metaforze owiec, które, gdy tylko urosła im wełna, strzyżono posiadając o najrozmaitsze zbrodnie, zabijając i skazując na wygnanie. Po pewnym czasie ponownie zapraszano Izraelitów na tereny, z których wcześniej ich wyrzuciono, by, kiedy tylko obrosły w wełnę (dorobiły się jakiegoś dobytku), ostrzyc i wyrzucić z miasta. Proces ten powtórzył się również w Polsce towarzysza Wiesława i partyzantów Mieczysława Moczara. To też m.in. sprawia, że autor *Szkieł rodzinnych* może z taką stanowczością twierdzić, iż od pogromów w ramach pierwszej wyprawy krzyżowej po straszliwe rzezie, jakie stały się udziałem mijającego wieku zmieniła się (ulepszyła) jedynie technika ich przeprowadzania, ale nie mentalność ludzi.

Postawa i poglądy Henryka Grynberga bywają niekiedy opatrywane mianem radykalnych. Jest on jednak – poprzez biografię i tragiczne losy najbliższych – jako świadek predestynowany do mówienia o sprawach drażliwych, przykrych. Książki Grynberga nigdy nie szły w zgodzie z aktualnie obowiązującym kursem historii. Poniekąd wartość tych utworów trzeba mierzyć ich zdolnością do otwierania czytelnikowi oczu na zakłane dzieje naszego kraju, uwrażliwiania na krzywdę. W tym wołaniu autora o prawdę dostrzec można pewną kategoryczność i bezwzględność cechującą dążenie do wyjawienia wszystkich, nawet tych mało budujących i najczęściej drażliwych fragmentów z dziejów społeczności żydowskiej w Europie. Notabene utwory powstałe w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych pozwalają zauważyć pewne przesunięcie perspektywy w tej twórczości: od tekstów, których tło stanowią najnowsze losy naszego kraju i powiązane z nim dzieje ludności wyznania mojżeszowego do tych, w których coraz więcej uwagi poświęca się analizom stosunku Zachodu w ostatnim tysiącleciu do Żydów oraz diagnozom kultury europejskiej. Jest w nich wiele zjadliwości i krytycyzmu. W *Memorbuch* przekonuje nas o tym swoisty przewodnik po historii miast niemieckich, francu-

skich, belgijskich, austriackich. Pamiętajmy jedynie, iż zapowiedzi takiej postawy odnajdziemy już w ostatnim opublikowanym przed wyjazdem z Polski opowiadaniu *Buszujący w Niemczech*, którego tytuł cenzura PRL-u zmieniła na *Buszujący po drogach*.

Wspomniane już bezwzględne dążenie do prawdy to jedna z pochodnych roli, jaką przyjęło na siebie piarstwo Grynberga – „strażnika grobów”. Autor przemawia w imieniu tych, którzy tego nie mogą zrobić pogrzebani w rowach mających stanowić rodzaj zbiorowej mogiły, spaleni w piecach Auschwitz, Treblinki, Bełżca. W *Prawdzie nieartystycznej* pisarz istotę swego powołania twórczego określił w następujący sposób: „Zostałem pisarzem zmarłych, bo żywi mieli dosyć własnych pisarzy. Zostałem strażnikiem wielkiego cmentarza. Grobów, których nie ma poza naszą pamięcią. Czuwam, aby ich nie bezczeszczono, i nie mogę narzekać na brak roboty”. On sam bowiem należy po części do świata pomordowanych, jest jednym z nich, co często podkreśla znamienne frazą, iż „jego miejsce pojechało do Treblinki”. Literackim znakiem tej sytuacji jest niemal wszechobecna w twórczości autora *Życia ideologicznego* kategoria ducha, kogoś zawieszono między rzeczywistością żywych a tych, którzy odeszli. Posłannictwem zaś „strażnika cmentarzy” jest świadczenie i obrona prawdy pomordowanych. To zadanie trudne, zwłaszcza, że narodowi komuniści, jak ich trafnie określa Grynberg, sferę martyrologii i cierpienia zawłaszczyli dla jednej nacji – Polaków, konsekwentnie rugując z niej Żydów. Jeden z pierwszych konfliktów wokół tej problematyki wybuchł w związku z *Wielką Encyklopedią Powszechną*, nad którą, jako dyrektor PWN, pieczę sprawował Adam Bromberg. Zamieszczenie w niej informacji o ofiarach Auschwitz-Birkenau, wśród których zdecydowaną większość stanowiły osoby wyznania mojżeszowego, musiało wzbudzić niepokoje nie tylko w gronie ówczesnej ekipy rządzącej, ale i społeczeństwa karmionego okupacyjną, powstańczą, obozową martyrologią.

W jednym z fragmentów *Memorbuch* Grynberg tak oto opisuje fragment dziejów Żydów w niemieckim Monachium: „W XIII wieku istniała tu gmina z synagogą, łaźnią rytualną i szpitalem. W październiku 1285 oskarżono Żydów o mord rytualny. Schronili się w synagodze i spalono ich razem z nią – 180 mężczyzn, kobiet i dzieci. Ich imiona są w memorbuchu wydanym w 1296 przez gminę norymberską, w którym zapisywano nekrologi ważniejszych osób i gminy i świata żydowskiego oraz męczenników, zgodnie z odwieczną żydowską wiarą, że *jest oko, które widzi, i ucho, które słyszy, i księga, w której wszystko jest zapisane*”. W idei „memorbuch” zawiera się jedna z podstawowych zasad tego piarstwa: pamiętać, by wymierzać sprawiedliwość historii.

Stawomir Buryła

Wacław Lewandowski

Samotność w Iowa

Na okładce książki Grzegorza Musiała przytoczono zdanie Ryszarda Kapuścińskiego: „Dziennik z Iowa to jedna z najważniejszych w naszej literaturze książek o Ameryce”. Nie podzielam tego zdania. Ścisłej: nie przekonuje mnie kontekst, jaki przywołano, by książkę Musiała wyróżnić. Bo ileż to „książek o Ameryce” wyprodukowała nasza literatura współczesna? Niewiele tego, a pośród tytułów, które można by wymienić, niewiele godnych uwagi. Zatem Lechoń, Białoszewski, Konwicki, może coś jeszcze... Mało. Z drugiej zaś strony masa wypocin na temat Stanów Zjednoczonych, książeczyny pisane z sumiennością, z jaką odrabia się pracę domową, przez tych, którzy posyłani byli z PRL z pismackim zadaniem objawienia „całej prawdy” o Ameryce. Pomińmy nazwiska tych, którzy konsumpcję hojną ręką rozdawanych dla wschodnich dziennikarskich VIP-ów amerykańskich stypendiów łączyli umiętnie z wywiązywaniem się z partyjnego zobowiązania. Nie stworzyli dzieł godnych pamięci i będą zapomniani.

Z samej natomiast Ameryki, gdzie żywioł polski w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu bardzo się odmłodził i wzmocnił nowymi siłami, nie napływają do nas literackie nowinki na tematy amerykańskie. Cóż, emigracja lat osiemdziesiątych, choć posługująca się chętnie politycznymi hasłami, jest *de facto* wychodźstwem ekonomicznym, które literatury nie tworzy.

Nie wdając się w szczegóły, nie szukając wyjątków od zarysowanych powyżej reguł, powiem wprost – układanie rankingu polskich dzieł literackich o Ameryce przypomina nieco pisanie listy rankingowej polskich zawodników sumo. Jest wprawdzie w Polsce paru entuzjastów tej dyscypliny, ale przecie konkurencja na tym polu tak mizerna, że trudno byłoby uznać tytuł mistrza Polski za szczególnie prestiżowy. Dlatego też o *Dzienniku z Iowa* napisałbym raczej, że to książka ważna, co wydaje mi się uhonorowaniem większym niż przyznanie tytułu „jednej z najważniejszych” w konkurencji „polska literatura o Ameryce”.

Książka Grzegorza Musiała jest już prawie rok na czytelnicznym rynku i – jak wolno sądzić – oddziałuje na czytelnika w sposób zgodny z zamierzeniem autorskim. Z głosów o niej wynika bowiem, że w tej samej mierze wzbudza podziw, w jakiej irytuje i drażni. Jest zamierzoną prowokacją i, w zgodzie z tym zamiarem, działa prowokująco. Kinga Dunin napisała onegdaj, że lektura *Dziennika...* „jest na równi porywająca co irytująca, z pewnością zaś nie jest nudna”, dodając że „złośliwcy nazywają tę książkę dziennikiem zajoba”, w czym też można, sądząc, dostrzec sukces autora-prowokatora.

Musiał, pisarz doświadczony, świadom zasobów tradycji literackiej i własnego warsztatu, doskonale wpisał się w jedną z konwencji pisarstwa diarystycznego. Forma dzien-

nika intymnego jest w sposób oczywisty i konieczny przewrotna. Diarysta, niby, pisze dziennik dla siebie, przeważnie w jakimś z grubsza deklarowanym, autoterapeutycznym celu. Jednocześnie jednak, choć podmiot dziennika o tym nie mówi, zapiski powstają z myślą o odbiorcy, ba, nawet o rzeszach czytelników. To co „intymne” jest zatem z założenia publiczne i „przeznaczone na sprzedaż”. Rzecz jasna, ta dwoistość czy „dwiustotowość” gatunku daje pisarzom wielorakie możliwości kształtowania postawy odbiorców i „strategii odbioru” dzieła. Spośród polskich pisarzy współczesnych najprzenikliwiej pojął to Witold Gombrowicz, zrozumiałwszy zarazem, że jedną z możliwości tkwiących w dzienniku jest organizacja literackiej prowokacji, inaczej mówiąc, postawienie odbiorcy wobec wyzwania, jakie oferuje mu diarysta.

Gombrowicz – autor *Dziennika* jest od pierwszych stron zapisków Musiała ich literackim patronem z wyboru. Słynny Gombrowiczowski początek, otwarcie diarystycznych notatek, brzmiał:

„*Poniedziałek*

Ja.

Wtorek

Ja.

Środa

Ja.

Czwartek

Ja.”

U Musiała:

„Ja tu? Tu – ja?

Tuja.

[...] Ale, ale. O czym to – ja.

Tu – ja.

Smukła, samotna na trawniczku nad rzeką, wiecznie zielona w środku dzikozłotej amerykańskiej jesieni.”

„Złośliwcy”, mówiący o „dzienniku zajoba” są zatem czytelnikami prostodusznymi, by nie powiedzieć – prostackimi, którzy nie dostrzegli ewidentnego tekstowego znaku – odniesienia do literackiej tradycji i konwencji. Dodajmy, konwencji, w którą wpisane jest także istnienie odbiorców-prostaczków. Dziennik-wyzwanie po trosze karmi się bowiem świadomością istnienia takich czytelników, gdzieś tam między wersami diarysta bawi się przewidywaniem ich reakcji, ich świętego oburzenia, stukania palcem w czoło i znaczących półśmieszków.

Dziennik z Iowa jest „gombrowiczowski” w każdym calu, a to ze względu na pisarską dyscyplinę i konsekwentną wierność obranemu wzorcowi. Pozory otwartości,

spontaniczności nie powinny nas zmylić. Mamy do czynienia z konstrukcją literacką przemyślaną, skomponowaną z myślą o czytelniku i stawianym mu wyzwaniu. Taki też, konwencjonalny, jest układ początku tekstu Musiała.

„Iowa. Co ja tu robię? Odpowiedź: piszesz. Na przykład ten swój dziennik, który nikogo, ale to nikogo od Pacyfiku po Atlantyk nie obchodzi.”

Zatem dziennik chwilowo podjęty, pisany w krótkim czasie, w ścisłych ramach czasowych. I w szczególnym momencie życia diarysty, którego sytuacja jest dopełniana coraz dokładniej raz po raz podrzucanymi informacjami. Schyłek PRL, pisarz nie mogący dłużej znieść „limitowanej” rzeczywistości, zgrzebności krajowego życia, prowincjonalizmu, intelektualnej zapaści środowisk mu bliskich. W tej sytuacji amerykańskie stypendium, możliwość wyjazdu, udział w programie dla „Międzynarodowych Pisarzy” Iowa. Rok 1989. Wyjazd i zbawczy, upragniony dystans, oddalenie od Polski. Potem wiadomości stamtąd. Zburzenie muru, przełom polityczny w kraju. Polska w telewizyjnych wiadomościach. Polski premier w USA. A jednocześnie Ameryka, Kanada, znów Ameryka. Rzeczywistość inna, poznawana i odrzucana, czasem odrzucająca. Zatem zawieszenie w jakimś „pomiędzy”, zawieszenie, które ma wiele wymiarów. Diarysta przed wyjazdem opublikował powieść *W ptaszarni*, śledzi z oddalenia krajowe na nią reakcje. Właściwie – brak reakcji, przynajmniej ze strony tych środowisk, z którymi czuł się duchowo związany. Stąd poczucie samotności, odrzucenia, także – zwrotnego momentu w pisarskim życiorysie. I tu bowiem jest jakieś „pomiędzy”, które trzeba przeczekać i przebyć, dziennik ma zatem także chronić autora przed zniechęceniem, zarzuceniem twórczości.

Wyzwanie, jakie rzuca czytelnikowi Musiał, organizowane jest na kilku tematycznych płaszczyznach. Pierwsza (w przypadkowej kolejności wymieniania) jest płaszczyzną obyczajową. Diarysta prezentuje w zapiskach postawę swoistego homoseksualnego donżuanizmu, mnoży napomknienia o mniej lub bardziej przypadkowych erotycznych związkach, czasem patrzy na nowy ład jak na teren erotycznych polowań, ekscytujących swą egzotycznością, czasem ledwo napomyka, sugeruje obcowanie seksualne z jakimś bohaterem notatek. Innym razem wspomina o związkach trwalszych, długotrwałych, których ciągłość nie przeszkadza nawiązywaniu znajomości przypadkowych i doraźnych. Konsekwentnie patrzy na świat oczyma zdobywcy, konesera i miłośnika męskiego ciała i homoseksualnych podniet. Własnym homoseksualizmem tłumaczy rozliczne możliwości, jakimi dysponuje w obcym kraju – na przykład fakt, że w każdym z odwiedzanych miast ma się u kogo zatrzymać. Tym samym tłumaczy jednak też swoją samotność, chociażby to, że środowiska literackie, z którymi był w Polsce związany, oficjalnie nie chcą dostrzec jego i jego twórczości. Żeby nie przyznać się do „odmieńca”.

Wolno przypuszczać, że gdyby erotyczne zainteresowania diarysty dotyczyły płci przeciwnej, erotyka zajęłaby mniej miejsca w *Dzienniku*... Ekspansywność tej tematyki wią-

że się bowiem nie tyle ze spontanicznością notowania przeżyć, ile z przemyślnym programem prowokowania odbiorcy. Czytelnika polskiego, nienawykłego do „mniejszościowej” erotyki, do programowo i jawnie homoseksualnej literatury, Musiał stawia w nieznanym mu roli czytelnika amerykańskiego, przyzwyczajonego do oczywistości, że wszelkie „mniejszości” mają prawo głosu i z prawa tego korzystają. W tym przeniesieniu sytuacji odbiorczej amerykańskiej na użytek czytelnika polskiego, dokonany bez żadnych komentarzy, „jak gdyby nic”, tkwi prowokacja, w tle której jest czytelny postulat. Musiał nie apeluje o stworzenie polskiej „literatury gejowskiej”, sam ją tworzy. Postulat dotyczy raczej eliminacji obludy z rodzimego życia kulturalnego i intelektualnego.

Z powyższym wiąże się drugi wątek tematyczny, również prowokujący – mizoginizm Musiała. Kobiety pojawiające się w *Dzienniku...* można właściwie podzielić na dwie grupy. Mniej liczną, zacną zbiorowość kobiet-matek, tzn. takich, które czule i opiekuńczo „matkują” mężczyznom, są im pomocne, oraz drugą, o wiele liczniejszą, grupę kobiet wzbudzających niechęć diarysty. Leniwe, aintelektualne, głupie właściwie, histeryczne, nic nie rozumiejące, bezradne życiowo, nie umiejące sprostać własnym problemom, źle wychowujące dzieci, itd., itd. „Kanadyjska” siostra diarysty jest w znacznej mierze upostaciowaniem cech kobiet zaliczonych do tej drugiej grupy. Pomijając związki tego wątku z postawą homoseksualną podmiotu zapisków, powiedzieć można, że Musiał prowokacyjnie rozprawia się, w każdym razie usiłuje się rozprawić, z polską – także literacką – tradycją, by tak nazwać, programowej dworności w przedstawianiu relacji towarzyskich damsko-męskich.

Kolejną płaszczyznę tematyczną określa polityka. Diarysta z oddali staje się komentatorem polskich przemian, dodajmy – komentatorem prowokująco krytycznym. Nie akceptuje pomysłu przechodzenia w nowe realia ustrojowe z zachowaniem honorów (i stanowisk) dla ludzi dawnego reżimu, gani służalcze i zachwycone wpatrywanie się politycznych elit polskich w USA, dostrzega brak spójnej wizji, programu sanacji życia publicznego. (To ostatnie dotyczy także tzw. życia kulturalnego.)

Z powyższym wiąże się roztrząsania religijne diarysty, dla którego podróż do dalekiego kraju i na inny kontynent jest także etapem nieustannie podejmowanej drogi w poszukiwaniu „przebóstwienia” życia, albo inaczej – Bożej bliskości czy głosu Boga. Materializm amerykańskiej cywilizacji powinien stanowić dla Polaków przykład odstraszący, skłaniający do szukania innej, nowej drogi, na której nie zagubi się żywa wiara. Wypada uprzedzić: Musiał nie jest zwolennikiem polskiej aintelektualnej, tradycyjnej religijności. Gorąco krytykuje anachronizmy polskiego katolicyzmu, potępia postępowanie episkopatu i prymasa, np. w kwestii stosunków polsko-żydowskich. Jest natomiast rzecznikiem powrotu do religijności głębokiej, która tym się cechuje, że religijna refleksja jest obecna stale w umyśle, towarzyszy postrzeganiu najdrobniejszych detali rzeczywistości, określa wszelkie usiłowania ludzkie i – co ważne – stale pobudza sumienia.

Swoistą prowokacją Musiała jest też zawarta w *Dzienniku...* wizja USA i amerykańskiej cywilizacji. Jest ona prowokacyjna, bo wbrew pozorom nie jest jednoznaczna, ani „domknięta”. Diarysta widzi wszelkie negatywy tutejszego życia. Materializm, wszechpotęgę telewizji, ludzką „stadność”, ale i ludzką samotność. Dostrzega systemową zapadłość edukacyjną, odcięcie od humanistycznych podstaw kultury starego kontynentu. Widzi rzesze studentów literatury, którzy nie znają najszerzej w świecie rozślawionych amerykańskich pisarzy. Dostrzega, że literatura w tym kraju jest kiepskim towarem, że wydanie wartościowej książki graniczy niemal z cudem. I jednocześnie widzi w Ameryce rzesze wspaniałych poetów, literackie sukcesy, także rynkowe, spotyka wrażliwych, inteligentnych i odczytanych ludzi... Wszystko razem jest mieszaniną nie do ogarnięcia, nie do ujednoczenia. Musiał zdaje sobie sprawę, że jednoznaczna wizja Ameryki musiałaby być fałszywa, toteż negatywowi i krytyce, powiedzmy, systemowej przeciwstawia zachwyt dla szczegółu, detalu, kontemplację boskiego uroku konkretnych ludzi czy poetyckie wręcz zachwycenia pejzażem.

Po krytycznie przeżywanym powrocie do Polski zdaje się jednak katuszą, ponownym wzięciem ciężaru na barki, dodajmy – ciężaru ponad siły. Napięcie końcowych zapisków *Dziennika...* rozładowuje tylko ironia i autoironia diarysty. Jest los, który znów, po raz kolejny przyjąć trzeba. Jest ciężar bezsennych nocy i ciężar odpowiedzialności za własną zbiorowość, z której tak często jest się wykluczonym, usuwanym na bok, ale której trzeba sprostać. Bo Musiał jest pisarzem, który wierzy w przeznaczenie, w Boski zamysł, mocą którego człowiek jest powołany do odpowiedzialności. Wierzy także w powołanie literatury do rozpatrywania spraw ważnych i najważniejszych.

Wacław Lwadowski

Grzegorz Musiał, *Dziennik z Iowa*, Open, Biblioteka „Kwartalnika Artystycznego”, Warszawa 2000.

NOTY

Dobiegła końca rozpoczęta w 1990 roku edycja *Dzieł wszystkich* Arystotelesa. Ukazało się siedem obszernych tomów: w tomie pierwszym mieszczą się traktaty wchodzące w skład Organonu obejmującego *Kategorie*, *Hermeneutykę*, *Analityki pierwsze* i *Analityki wtóre*, *Topiki*, *O dowodach sofistycznych*; w tomie drugim znajdują się pisma fizyczne, między innymi *Fizyka*, traktat *O niebie* i *Metafizyka*; na tom trzeci i czwarty składają się pisma o treści psychologicznej i przyrodniczej, między innymi traktaty *O duszy*, *O barwach*, *O głosach*, *O życiu i śmierci*; tom piąty obejmuje między innymi *Etykę nikomachejską* i *Etykę wielką*, a tom szósty, który ukazał się jako ostatni, zawiera między innymi *Politykę* oraz sławne rozprawy retoryczne: *Retorykę* i *Poetykę*; ostatni tom siódmy wypełniają monograficzno-historyczne i problemowe omówienia tego, co zasługuje na miano dzieła życia Arystotelesa, obszerne indeksy pojęć i nazw oraz *Słownik terminów Arystotelesowych*. Każdy z tych tomów zaopatrzony jest we wstępy, komentarze i studia, które wprowadzają do poszczególnych dzieł i traktatów, informują o stanie badań nad spuścizną i życiem Stagiryty. Do ksiąg Arystotelesa wraca się i będzie się wracało, gdyż – jak napisał Tadeusz Kotarbiński – „pisma wielkich inicjatorów zachowują siłę nauczycielską”, pozwalają na docieranie do odpowiedzi na takie pytania jak: Co? Jakże duże? Jakże? Względem czego takie a takie? Kiedy? Gdzie? Co czyni? Co się z tym a tym dzieje? Do czego jest usposobione? Jak się ma? A bez znajomości *Poetyki* – Jak pisać?

K. M.

Arystoteles, *Dzieła wszystkie*, t.1-7, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1990-2001.

Czytając o Aniele Ślązaku, natrafiłem na to nazwisko: Jan van Ruusbroec; potem dowiedziałem się, że wywarł on także wpływ na św. Ignacego Loyolę, Tomasza a Kempis i św. Jana od Krzyża. Jan Przedziwny (*Mirabilis*), *Doctor divinus*, jak go nazywano, żył, działał i tworzył u schyłku średniowiecza; był zakonikiem i mistykiem, wybitnym i ambitnym pisarzem. Natchnieniem Ruusbroeca było *Pismo Święte*; był mistrzem w operowaniu ogromną masą alegorii. Jego teologia mistyczna przedstawia zwarty system: znajdujemy w nim próbki tzw. teologii negatywnej (apofatycznej), która wychodzi z założenia, że nasza nauka o Bogu jest raczej dezinformacją, gdyż nic, co nam dostępne, nie może nam dać właściwego pojęcia o Bogu – przeczenia lepiej

oddają Jego wielość; wyraźne są tu analogie do pism Mistra Eckharta, Suzo i Taulera. Kluczem do rozumienia Ruusbroeca jest słownik zawierający pary przeciwstawnych sobie pojęć, za którymi kryje się to, co najwznioślejsze i najwspanialsze, co łączy świętą grozę z upojną rozkoszą. Jest to mistyka obrazu i światła, pasyjna i eschatologiczna, dialektyczna i rytmiczna. Jej rdzeń stanowi teologia obrazu i jedności. Ruusbroec rozważa takie zagadnienia jak na przykład: stosunek człowieka do Boga jako stosunek kopii do wzorca, udział człowieka w życiu Trójcy Świętej (tu: wieczny powrót do źródła, udział w „biegu miłości”, co koresponduje z Augustynowym „Fecisti nos ad Te”), istota Boga (to bezkres, bezmiar, przepaść, pustynia, zagubienie, ciemność, nic – język teologii apofatycznej). Zajmuje go mistyka światła. Życie duchowe to według niego boskie życie w nas. Z zachwytem mówi o darze mądrości, którą nazywa smakiem. Jednak za jądro jego nauki uznaje się przejęte od Hadewijcha wołanie: miłujcie Miłość, którą przedstawia za przykładem świętego Piotra w czterech wymiarach geometrycznych.

I tom *Dzieli* zawiera: *Królestwo miłujących* – księgę opartą na jednym zdaniu z *Pisma Świętego*: „Pan sprowadził sprawiedliwego prostymi drogami i ukazał mu królestwo Boże” oraz arcydzieło *Zaślubiny duchowe*, doskonały wyraz nauki Ruusbroeca oparty na kolejnym zdaniu z *Pisma Świętego*: „Oblubieniec nadchodzi, wyjdźcie Mu na spotkanie”. Przekład z języka staroflamandzkiego. W zapowiedzi – trzy kolejne tomy, a wśród nich rozpoczęty w Brukseli, a dokończony na pustelni *Namiet duchowy*.

K. M.

Bl. Jan van Ruusbroec, *Dziela*, t. 1, Wydawnictwo Karmelitów Bosych, Kraków 2000.

Mała, bardzo pożyteczna książeczka: cztery niewielkie traktaty utrzymane w stylu i duchu *De imitatione Christi* – ascetycznego arcydzieła, w którym rozczytywali się święty Ignacy Loyola, Corneille i Beethoven, jednej z najpoczytniejszych ksiązek duchownych. Tomasz Hemerken z Kempen (Thomas a Kempis), kanonik regularny świętego Augustyna, „mąż wzorowego życia” okazał się znakomitym pisarzem: z nadzieją będziemy czekać na przekłady jego następnych dzieł, których jest w sumie trzydzieści dziewięć, napisanych po łacinie, zebranych w siedmiu tomach jako *Opera omnia*.

Ileż mocy ma ta mała książeczka, jak światliście istnieje w potopie bezmyślnego gadulstwa udającego mądrość i głębię. Tomasz mówi: „Słowa wypowiedz nieliczne a pożyteczne. (...) Słuszniej jest milczeć niż bezmyślnie gadać. Lepiej siedź w celi: jeśli nie potrafisz upilnować twego języka”. Cztery małe medytacje: *Pochwała pokory*, *O życiu cichym i o wyrzeczeniu się samego siebie*, *O podniesieniu ducha* i *Krótką przestroga ku ćwiczeniom duchowym* – istnieją w kręgu *Pisma świętego*, mają ku niemu kierować i prowadzić: „przez zewnętrzne głoski i znaki słów przygotowuje się nam droga do tego, co ma być

szukane i znalezione”. Przez to co zewnętrzne – do rzeczy wewnętrznych; przez słowa – do Słowa, do Boga, niepojętej jasności, „światłości wiecznej nie stworzonej, niezmięrzonej, niewysłowionej, niepojętej i niezmiennej ponad wszelkimi istotami”. Podobnie jak w *O naśladowaniu* – w zdaniach jasnych, krótkich i zrytmizowanych, z pauzowaniem wewnętrznym, tak jak w brewiarzu, dla uspokojenia oddechu i myśli oraz w krótkich, osobno tytułowanych rozdziałach (akapitach), żeby wracać do tekstu często, w dowolnym miejscu się od niego odrywać i znowu wracać, ponawiać rytm, wnikać w sens. Od sztucznych światel, iluzji szatana iść w stronę światłości niebieskiej. W codziennym trudzie, który jest łaską. Od rzeczy niższych ku wyższym. Stopniowo. „Cierpliwością i pokorą przewyciężysz wszystkie przeciwności”. „Rzadko wychodź na zewnątrz”.

K. M.

Tomasz a Kempis, *Cztery medytacje*, przełożył i wstępem opatrzył Andrzej Sulikowski, Wydawnictwo Znak, Kraków 2001.

Opis obyczajów za panowania Augusta III księdza Jędrzeja Kitowicza (ok. 1727-1804) zaczęto wydawać dopiero od 1840 roku, ale i tak w mocno okrojonej wersji. Zagubiony autograf *Opisu* odnalazł się w roku 1950 i na jego podstawie Roman Pollak przygotował wydanie w serii Biblioteki Narodowej, ale nie dość dokładne (liczne błędy) i trzeba było wrócić do oryginału i odczytać *Opis* raz jeszcze, czego wynikiem jest niniejsza edycja.

Opis obyczajów Kitowicza stanowi zwieńczenie ewolucji sarmatyzmu, przebiegającej od Paska i Radziwiłła – Panie Kochanku przez Samuela Twardowskiego i Wacława Potockiego do *Pana Podstolego* Krasickiego. Jest to piękna i intensywna linia. Kitowicz jako narrator jest spadkobiercą Reja i właśnie Paska, mistrza staropolskiego, „kontuszowego” stylu narracyjnego. Podłożem tego rodzaju pisarstwa jest „żywe słowo”, bogactwo własnych przeżyć i spostrzeżeń, mocny związek z rzeczywistością, zakorzenienie w faktach i konkretach. *Opis obyczajów* roi się od mnóstwa szczegółów przytaczanych ze zdumiewającą dokładnością, charakteryzuje się ścisłością opisów, ich rzetelnością, jak i rzetelnością sądów i ocen, oczyszczonych z emocji, przypadkowości i subiektywizmu i w ten sposób ugruntowanych. To ciekawe, bo jako autora *Pamiętników, czyli Historii polskiej* obrzucono Kitowicza inwektywami, nazywając go „kłamcą bez miary”, „plotkarzem” i „szlachcicem podobnym do osła w lwiej skórze”. *Opis obyczajów* jest dziełem niezwykłym, czy nie przewyższającym *Historię narodu polskiego* Naruszewicza. Kitowicz, proboszcz rzeczycki, historyk-samouk tworzy dzieło historyczne o wyjątkowej doniosłości, dokładne zwierciadło obyczajowości staropolskiej pokazujące dno upadku, kiedy Rzplita „stoi nierzą-

dem". *Opis* to cenny skarbiec materiałów historycznych i wątków powieściowych, skonstruowany w planie jasnym i wyrazistym, obejmujący obyczajowość kościelną (zwyczaje związane z różnymi odmianami wiary, rokiem kościelnym, obrzędami i uroczystościami), „obyczajowość światową” (wychowanie dzieci i młodzieży), a także różne zawody (do wyboru: stan duchowny, palestra, żołnierze, dworzanie, ziemianie, szlachta, panowie wielcy, mieszczenie, chłopci). Całość tworzy osobliwą monografię historyczną polskiej rzeczywistości czasów saskich, żywą i barwną gawędę szlachecką, z której czerpali – Mickiewicz (ślady są w *Pannie Tadeuszu*), Rzewuski, Kraśzewski, a prawdopodobnie i Słowacki i Sienkiewicz.

K. M.

Jędrzej Kitowicz, *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1999.

W bertelsmannowskiej serii „Kanon literatury polskiej”: *Komedie i inne utwory* Aleksandra Fredry w wyborze i z posłowiem Jarosława Marka Rymkiewicza. Nieprześcigniony Fredro! Wśród komedii – komedie charakterów: *Pan Geldhab*, *Damy i huzary*, *Od ludki i poeta*, *Pan Jowialski* i komedie intrygi: *Mąż i żona*, *Pierwsza lepsza*, *Śluby panieńskie*, *Zemsta* i *Dożywocie*, a „inne utwory” to – *Trzy po trzy* i *Zapiski starucha*. Nie ma: *Ciotuni*, *Dylichansu*, *Cudzoziemszczyzny*, *Gwałtu, co się dzieje*, *Wielkiego człowieka do małych interesów*. Jest mój ulubiony, pan na Pustakówce – Pan Jowialski, bohater komedii o komedii, „sfinks naszej literatury”, najżywiej i najczęściej omawiany – obok *Zemsty*, *Ślubów panieńskich* i *Dożywocia* – utwór hrabiego Fredry. Jak zwykle wielkie wrażenie robi *Trzy po trzy* – sławny pamiętnik pisany w okresie zawilego milczenia, które nastąpiło po ostrych atakach na pisarza, pisany w latach 1844-1846, ukończony w 1854 roku, a dotyczący lat 1809-1814, gdy był oficerem ordynansowym w sztabie przybocznym Napoleona. Jest to arcydzieło tego gatunku, gawęda szlachecka na wzór *Życia i myśli Tristrama Shandy* Laurence Sterne’a świetnie ukazująca charaktery i sytuacje, naświetlająca je subtelnym i ciętym humorem, ironią, wzruszeniem i melancholią; zestawia się ją z *Złotym wiekiem* Josepha Conrada. „Węzeł splątany z tysiąca nitk cierpienia i boleści”. Pamiętką dla dzieci i wnuków (nie przeznaczoną do druku) były *Zapiski starucha* – celne i mądre aforyzmy i przysłowia zbierane i zapisywane od ok. 1869 roku, zdumiewające zwięzłością i rozległością myśli, które najczęściej ukazują się razem z *Trzy po trzy*. Świetlista koda i gorzka gra końcowa. Dobrze jest wracać do Fredry.

K. M.

Aleksander Fredro, *Komedie i inne utwory*, „Świat Książki”, Warszawa 2000.

W czasach zapaści współczesnej prozy polskiej trzeba wracać do przeszłości, szukać wzorów i natchnień. Ważnym i ciekawym pasmem jest w prozie polskiej powieść historyczna, szczególnie jej ewolucja w XX wieku, ukoronowana osiągnięciami Malewskiej i Parnickiego. Jednym z najważniejszych ich poprzedników jest Wacław Berent, autor głośnych powieści „współczesnych” – *Fachowca*, *Próchna* i *Oziminy*, a potem – *Żywych kamieni* i ogłoszonej po piętnastu latach milczenia trylogii pt. *Opowieści biograficzne*, obejmującej czasy między Sejmem Czteroletnim, trzecim rozbiorem Polski a wybuchem powstania listopadowego. Celem tych *Opowieści* było „odtworzenie dążeń i ducha pokoleń trzech – nade wszystko ich własnym słowem żywym”. *Opowieści* Berenta nasycone są cytatami i parafrazami fragmentów listów, pamiętników, dzienników, autobiografii i opracowań odnoszących się do wydarzeń z historii Polski przełomu XVIII i XIX wieku. Berent, którego Jerzy Kwiatkowski nazywa „Norwidem powieści historycznej XIX wieku”, przelamuje wzorzec powieści historycznej, który na wyżyny w literaturze polskiej wniósł Henryk Sienkiewicz. Wrażenie robi skomplikowana, fragmentaryczna struktura narracyjna (cztery typy narracji, które tworzą jeden stop), dbałość o indywidualizację mowy postaci, wyrafinowane konstrukcje stylistyczne. Na cykl „biograficznych opowieści” składają się: *Nurt*, *Diogenes w kontuszu* i *Zmierzczeni wodzów*. *Nurt* wypełniają: tom pierwszy pt. *Ludzie staromodni* – trzy opowieści o: poecie Franciszku Karpińskim, gramatyku Onufrym Kopczyńskim i prozaiku Julianie Ursynie Niemcewiczu oraz tom drugi pt. *Pogrobowcy* – dzieje legionów i biografia generała Jana Henryka Dąbrowskiego (do roku 1809), a więc losy pokolenia „odnowicieli”, czy jak ich inaczej nazywano – „ratowników”, obrazujące finał polskiego Oświecenia, „momentu skoku nad przepaścią”, czyli początek Polski nowożytnej. W *Diogenesie w kontuszu* Berent porusza problematykę bezimienności działań kulturowych na przykładzie jednostkowym – Franciszek Salezy Jeziński oraz zbiorowym – ukazując losy działaczy okresu Sejmu Czteroletniego i pierwszych lat po trzecim rozbiore Polski. W *Zmierczu wodzów* podejmuje opowieść o czasach Królestwa Polskiego Kongresowego, opisując w trzech rozdziałach losy trzech postaci: w. ks. Konstantego, ostatnie lata życia generała Jana Henryka Dąbrowskiego i sytuację Juliana Ursyna Niemcewicza – ostatniego wielkiego autorytetu moralnego przed wybuchem powstania listopadowego. Berent w mistrzowski sposób opisuje tragizm wybitnych jednostek, rysuje wzory do postępowania, kreśli analogie dla współczesnych.

Tom uzupełniają dodatki krytyczne: komentarze, biogramy, noty edytorskie, a także odmiany tekstu oraz wstęp autora opracowania Włodzimierza Boleckiego.

K. M.

Pamięć i styl to tytuł ogłoszonego po raz pierwszy po polsku wyboru esejów i artykułów Marcela Prousta, jednego z największych prozaików XX wieku (niektóre eseje opublikowane zostały w 1998 roku w „Literaturze na świecie”). Tom zawiera między innymi fragmenty słynnego *Contre Sainte-Beuve*, który stanowił załączek *W poszukiwaniu straconego czasu* i manifest artystyczny Prousta. Ponadto znajdujemy eseje poświęcone Ruskinowi, Flaubertowi i Baudelaire’owi. Te wszystkie teksty stanowią świetne wprowadzenie w skomplikowany świat *Poszukiwania*. Radość lektury psują nieporadności stylistyczne tłumaczy, które niekiedy uniemożliwiają lub utrudniają rozumienie czytanych tekstów. Dobrze, że ta książka w ogóle jest, ale byłoby lepiej, gdyby była solidniej przełożona, czego może się jeszcze doczekamy.

K. M.

Marcel Proust, *Pamięć i styl*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000.

Filozofia dla Emanuela Lévinasa, autora *Całości nieskończoności*, *Trudnej wolności*, *Esejów o judaizmie* nie jest poszukiwaniem Transcendencji, ale próbą znalezienia języka, sposobu, za pomocą którego można Ją wyrazić. „Przez dwadzieścia pięć wieków, w trakcie których spisywano kroniki naszej cywilizacji, Niewzruszona Skąta Boga, *fundamentum inconcussum Cogito* i Gwiazdzone Niebo nad Światem regulowały w tym porządku upływ czasu i umocowywały obecność w terażniejszości. I oto nauki o śmierci Boga, przygodności tego, co ludzkie, i o bankructwie humanizmu – głoszone od końca ubiegłego stulecia – nabierają apokaliptycznego znaczenia. Czy ten nowy niepokój, niepokój dryfującego języka nie zapowiada – bez uciekania się do peryfraz, w tej sytuacji niemożliwych czy też pozbawionych wszelkiej siły perswazyjnej – końca świata?” – czytamy w *Słowie wstępnym* do *Imion własnych* Emanuela Lévinasa, zbiorze szkiców poświęconych wybitnym filozofom, poetom, prozaikom. Żyjemy w świecie deprecjacji języka, degradacji słowa, które ulega erozji sensu, rozpadowi, degeneracji. Jak więc w tym świecie odnaleźć formuły słowne zdolne opisać rzeczywistość, a tym bardziej odnieść ów twór w stanie rozkładu do sfery Transcendencji? „Umysł opanowuje niechęć wobec *rozsądku* jako stanowiska, wobec Husserlowskiej «tezy o mniemaniach»; opór wobec ścisłości form logicznych, uznawanych za represyjne; opętanie niewyraźnym, niewypowiedzianym, niewysłowionym – a tego właśnie poszukuje się w niezdatnych sformułowaniach, przejęzyczeniach, skatologiach. Genealogia w miejsce egzegezy, zwłoki słów obrzmiałe etymologiami, a opróżnione z *logosu*, unoszone na fali tekstów: oto współczesność boleśnie zrywająca z dys-

kursem, widziana oczyma swych najbardziej rzetelnych przedstawicieli. Ale też współczesność, która rozmienna się już na drobne w trywialnościach i w modnym żargonie”. Czy słowa te wymagają jakiegokolwiek komentarza? Lévinas dokonuje dramatycznego rozpoznania – historyczno-patetyczny krzyk, powszechna i wszechobecna dysharmonia, pogrążona w trywialności, banale, pustosłowiu i belkocie pseudo-mowa, pseudo-dyskurs, język na niby, świat na niby.

Najbardziej rzetelni przedstawiciele współczesności to według Lévinasa: Agnon, Buber, Celan, Delhomme, Derrida, Jabès, Kirkegaard, Lacroix, Laporte, Picard, Proust, Herman Leo van Breda, Wahl i Blanchot. Różne są prawdy, które wyczytuje autor *Imion własnych* w dziełach tych myślicieli i pisarzy. „Czy nazwiska osób, których m o w a oznacza twarz – imię własne w gęstwie tych wszystkich nazw pospolitych i komunalów – zdołają się oprzeć erozji sensu i pomogą przemówić?” – zastanawia się Lévinas.

Ważna to książka w dzisiejszych czasach, bogata, wielowymiarowa, w której piętrzą się i nawarstwiają różnorakie sensory. Jest podróżą w głąb intrygujących światów, być może jeszcze przekraczających nasz obecny horyzont intelektualny. To nietatwa lektura. Język, pełen metafor, próbując komentować złożone zjawiska, niejednokrotnie odnoszące się do sfery mroku, tajemnicy historii, szczególnie tej dwudziestowiecznej, relacji Ja-Ty, Życia i Śmierci, wkracza w obszary niejasne, musi być jednak zrozumiany i dlatego wymaga skupienia i uwagi.

Dla Lévinasa podstawowym pytaniem – pisała Barbara Skarga – jest „czy możemy być, nie zabijając, przeciwnie, ponosząc ofiarę dla innych”.

G. K.

Emanuel Lévinas, *Imiona własne*, przełożył Janusz Margański, Wydawnictwo KR, Warszawa 2000.

Jerzy Stempowski – diarysta, krytyk literacki, epistolograf, tłumacz, a przede wszystkim wybitny eseista, w literaturze polskiej klasyk tego gatunku. W Polsce nie wszystkie jego eseje zostały opublikowane. Tom pod tytułem *Od Berdyczowa do Lafitów* (Lafity to Dom „Kultury” w Maisons-Laffitte) nadrabia zaległości: jest rozszerzoną wersją wydanego w 1971 roku w Instytucie literackim w Paryżu tomu pod tytułem *Od Berdyczowa do Rzymu*, którego edycja w Polsce nie została powtórzona. „Podróż” to ważne słowo-kłucz w piśmarstwie Pawła Hostowica (od 1942 roku pod takim pseudonimem publikował). Stempowski wiele podróżował. Bohaterem esejów uczynił osobę stworzoną na swoje podobieństwo: samotnego wędrowca, niespiesznego przechodnia, pielgrzyma (debiutował w 1924 roku szkicem pt. *Pielgrzym* podpisanym Brat Serafin). Podróż to ważny i mocny nurt kultury europejskiej. Stempowski nawiązuje do: *homo viator* świętego Augustyna, *promeneur solitaire* Jana Jakuba Rousseau oraz *flâneur* Baudela-

ire'a i Benjamina. Podróż i zapis; sposób życia; doświadczenie duchowe i świadectwo. Powstają dzienniki podróży opisujące Europę po kataklizmie II wojny światowej: Austrię, Niemcy, Holandię, Szwajcarię, rejestrujące rozpad tego świata, a jednocześnie szukające ocalenia. Najpiękniejszy fragment *Dziennika podróży do Austrii i Niemiec* poświęcony jest rzekom i strumieniom, które w marzeniach i snach widzą i słyszą emigranci z Europy Wschodniej (Stempowski urodzony w Krakowie, następne lata swego życia spędził nad Dniestrem). „Być sobą, być sobą – *this above all*, mówi Poloniusz – można, zdaje się, tylko w jakiejś więzi; konkretnej czy idealnej, ze swoją rzeką, z krajobrazem swojej ściślejszej ojczyzny, rodzonej czy przybranej.” To także kwestia języka i tożsamości. Czy są dzisiaj ważniejsze sprawy do rozstrzygnięcia?

K. M.

Jerzy Stempowski, *Od Berdyczowa do Lafitów*, wybór i opracowanie Andrzej Stanisław Kowalczyk, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2001.

Stara szuflada to siódmy tom serii Wydawnictwa Literackiego – *Z pism Kazimierza Wyki*. Ten kokieteryjny i staroświecki tytuł sygnuje, wydany po trzydziestu trzech latach od pierwszej edycji, znacznie rozszerzony zbiór młodzieńczych szkiców autora *Rzeczy wyobraźni*: od krytycznego debiutu z 1932 roku dotyczącego *Nocy i dni* Dąbrowskiej do niedawno odnalezionego, ważnego eseju z 1941 roku – *Pesymizm a odbudowa człowieka*, który opublikowaliśmy w „Kwartalniku Artystycznym” w dwóch ostatnich numerach z ubiegłego roku. Po co czytać stare artykuły i szkice krytyczne? Ten zbiór to ważny powrót do literatury dwudziestolecia międzywojennego, jej ostatnich ośmiu lat, do tamtych form i temperatur. A ponadto obcujemy z ciekawą osobowością *in statu nascendi*, z młodym, starannie wykształconym krytykiem, który ma swój styl i dobrze posługuje się językiem literackim, co dzisiaj wśród młodych krytyków literackich jest rzadkością. Patronami tego tomu są Cyprian Kamil Norwid i Stanisław Brzozowski; Wyka mówi, że od nich uczył się, „czym jest literatura i czym może być krytyka”. Pokaż mi swoich mistrzów, a powiem ci, kim jesteś: wiadomo, że bez solidnych fundamentów duchowych i intelektualnych i bez mistrzów nie ma ani poważnej krytyki literackiej, ani literatury. Za mistrzów prozy autor *Życia na niby* uważał Gustawa Flauberta i Josepha Conrada. Książka składa się z jedenastu części, które stanowią odrębne wiązki tematyczne, które porządkują się w trzy zespoły: rzeczy dotyczące podstaw krytyki jako odrębnej działalności intelektualnej oraz jej patronów, łączące się z zagadnieniami światopoglądowymi; omówienia wybranych książek autorów starszego pokolenia; omówienia wybranych książek autorów młodszego pokolenia. Znajdujemy między innymi szkice i recenzje dotyczące prozy Dąbrowskiej, Nalkowskiej, Wittlina, Iwaszkiewicza, Andrzejewskiego, czy Schulza (dwugłos ze Stefanem Napierskim). Mniej jest o poezji. Nie ma recenzji *Ferdynurke*, niewiele jest o Witkacym, czy Miłoszu. Dziwi, a niekiedy irytują niektóre sądy kry-

tyczne, rozmowy, czy polemiki. Moim zdaniem nie trzeba było *Starej szuflady* rozbudowywać, ale na nowo, pod kątem współczesności ją zredagować, skracając i wykreślając różne wywody krytyczne, które dzisiaj mało kogo mogą zainteresować, a tylko osłabiają siłę tego tomu.

K. M.

Kazimierz Wyka, *Stara szuflada i inne szkice*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2000.

Kochane Zwierzątka..., to zbiór listów Zbigniewa Herberta wysyłanych z różnych miast Europy, a także z Ameryki do Magdaleny i Zbigniewa Czajkowskich, których poznał pod koniec lat pięćdziesiątych w Londynie i z którymi serdecznie się przyjaźnił aż do końca życia. Punktem szczytowym ich przyjaźni była wspólna podróż do Grecji w 1964 roku, czego znakiem jest dedykacja w *Próbie opisanie krajobrazu greckiego z Labiryntu nad morzem*.

W większości są to lekkie listy i liściki zabarwione beztróskim humorem, przeniknięte ciepłem i sympatią do adresatów, owych tytułowych *Kochanych Zwierzątek*, radośnie i zmyślnie przez nadawcę podpisywane, na przykład: Potwór z Loch Warsaw, Dziubdziuś (także: Dziubdziuś, działacz terenowy), sternik, wuj, brat mleczny, Zbig-równolat, Ober-Dionizos, który w dedykacji z 1998 roku przemienił się w emerytowanego Dionizosa, a w ostatnich listach: Dowódca Królewskiej Samodzielnej Brygady Husarów Śmierci – pułkownik Zbigniew Herbert (w 1963 roku podpis był: starszy strzelec). Te listy pozwalają zbliżyć się do poety, podejrzeć go w prywatnych i towarzyskich sytuacjach, wczuć się w jego myśli, emocje i nastroje, co niekiedy było na tyle niebezpieczne, że zostało wykropkowane, żeby nie urazić osób żyjących. Podpatrujemy sposób podróży Herberta, jego samotność, meandry wędrowania, czy raczej pielgrzymowania. Są w tej książce wiersze i warianty wierszy, fotografie, reprodukcje rysunków i listów, a także wspomnienia i komentarze Magdaleny Czajkowskiej, w tym te najciekawsze, poezji dotyczące, jak na przykład rekonstrukcja odpowiedzi poety na pytanie: jak piszesz wiersze, jak ci to przychodzi?; albo opis tego, jak czytał wiersze swoje i innych; lub opowieści o tym, jak powstawały niektóre wiersze. Widać, jaką bogatą mieszaniną była osobowość poety, którego droga życiowa była przykładem niezależności i wierności ideałom, a więc była to bardzo trudna droga.

Z różnych fragmentów, z mniejszych albo większych całości wyłania się, ułamek po ułamku, wizerunek poety, którego Magdalena Czajkowska nazywa „wybrańcem bogów” i żegna wzniosłym i czułym epigramatem Kallimacha.

K. M.

Kochane Zwierzątka..., Listy Zbigniewa Herberta do przyjaciół – Magdaleny i Zbigniewa Czajkowskich, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2000.

Zawsze powroty to drugi, po *Dzienniku amerykańskim* (1980), „dziennik podróży” Julii Hartwig, obejmujący lata 1986-1992, a więc czas wielkich przemian i przewartościowań. Zapisy zaczynają się w Paryżu i jest to nie tyle „dziennik podróży” co „dziennik pobytu”, gdyż i we Francji i w Stanach Julia Hartwig i towarzyszący jej mąż Artur Międzyrzecki przebywali dłuższy czas. Tak więc po dłuższych i krótszych pobytach przenosimy się z nimi z miejsca na miejsce i poznajemy je, poznajemy spotykanych ludzi, uczestniczymy w zajęciach, jakim poświęcają swój czas. Ta książka jest także portretem ich związku. Emanuje z niej spokój, cisza, skupienie. Dobrze jest czytać te zapisy razem z wierszami, które wtedy powstawały. Najpiękniejsze są te wszystkie liczne czule fragmenty. A jednocześnie ostrość widzenia, kondensacja, zwartość. To wszystko powstaje z wielkiego wiru spraw, spotkań wielu ludzi, niepokojów, przenoszeń z miejsca na miejsce, lotów z kontynentu na kontynent. „Každy wyjazd, każda podróż są odnowieniem. Jakby ten ruch i nowe widoki, nowe wzruszenia, potrząsały zbyt uspokojonym dnem mojej wrażliwości, łatwej do poruszenia jak dno z sypkiego piasku”. – mówi Julia Hartwig. Jednego dnia opisuje podróż pociągiem do Deauville, spacer po Trouville, notuje wrażenia z lektury Greena, wdaje się w rozważania o diable, zapisuje polityczno-policyjne wieści z Paryża i opisuje targ w Deauville. I te pasma łączą się w różnobarwne sploty. Zapadają w pamięć zapisy spotkań z Miłoszem, Herbertem, Ginsbergiem, czy obserwacja kardynała Lustigera, lub wspomnienie o Iwaszkiewiczu. Z notatek z lektur dobrze zapamiętałem uwagę o Beckettie. Czulość budzą pełne kształtów, zmysłowości i odmian światła opisy Paryża. Iskry krzeszą wrażenia z lektur i wystaw. Osobnymi pasmami są zapisy spraw osobistych i spraw politycznych. Ta książka jest jak skomplikowana partytura różnych tematów, różnych wątków i można ją, czytać, w zależności od nastroju, na różne sposoby. Fragmenty polskie (m.in. Warszawa, Sopot, Zakopane, Nieborów) pewnie zapowiadają dalszy ciąg i nowe pozytki.

K. M.

Julia Hartwig, *Zawsze powroty. Dzienniki podróży*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2001.

Smak radości to zbiór felietonów księdza Jana Twardowskiego, które ukazywały się od kwietnia 1998 do stycznia 2001 roku w kobiecym czasopiśmie „Uroda”, zdobywając w ankiecie czytelniczek najwyższe noty obok felietonów Krystyny Jandy. Ksiądz Jan z humorem i poważnie pisze o miłości, o tolerancji, o szczęściu, o cierpieniu, o samotności, o mówieniu i słuchaniu, o wdzięku, o duszy, o pokorze, o świętach, o radości. Wikła w nowe paradoksy, uśmiecha się, dziwi („lepiej dzi-

wić się niż buntować”), zadaje naiwne pytania, przez które prześwituje prawda. Fragmentami ta proza przypomina swoją lekkością i tajemnicą *Małego Księcia*. Na przykład fragmenty o miłości od ostatniego spojrzenia, czy o wdzięczności, która jest najbardziej religijnym uczuciem („Kiedy archanioł Michał zobaczył w lustrze wody swoją wspaniałość, krzyknął: „Któż jak Bóg!” Drugi archanioł powiedział: „Któż jak ja!” I odtąd malujemy go jako brzydala z kopytami; ogonem i rogami...”), o lubieniu i kochaniu („Lubić znaczy więcej niż kochać. Można kochać i nie lubić. Trzeba tak lubić, żeby kochać.”). To jest niby lekkie i zabawne, ale to jest lekkie i zabawne na niby. Ksiądz Jan cytuje między innymi Dantego, Petrarę, Zolę, Prousta, Camusa, Dürrenmatta, Mickiewicza, Prusa i Reymonta. A gdy czytałem ten fragment, myślałem o tragedii w Jedwabnem: „Chyba należy unikać pytań, kto jest moim wrogiem. Jest to pytanie niecierpliwe, podejrzliwe od samego początku. Należy raczej pytać, czy przypadkiem ja nie jestem dla kogoś wrogiem. Lepiej nie pytać, kto jest moim bliskim, i to pytanie zastąpić innym: dla kogo ja jestem bliski. Najważniejsze, by najpierw osądzić samego siebie, potem innych.” I na zakończenie dwa korespondujące ze sobą fragmenty o miłości: „Niektórzy zakochują się w literaturze, muzyce, nauce, sztuce. Zachowują się jak prawdziwi zakochani. Poświęcają temu, co kochają, wszystkie siły i zdrowie. Jednakże choćby mieli wielkie osiągnięcia, mogą być nieszczęśliwi, bo są zupełnie samotni. Możemy kochać naukę, ale nauka nas nie kocha. Cóż z tego, że ktoś kocha muzykę, ale muzyka go nie kocha. Do miłości potrzebne są dwa serca.” „Miłość różni się od przyjaźni. Przyjaźń musi być wzajemna. Jeśli nie jest wzajemna, nie jest przyjaźnią. Miłość bywa niewzajemna. Taką miłość zawsze wynagradza Bóg”.

K. M.

Jan Twardowski, *Smak radości*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2000.

Wiersze Janusza Kryszaka, szczególnie „wiersze nowe” o wspólnym tytule, *Anima* pomieszczone w tomie *Czwarta dekada*, zdają mi się być swoistymi komunikatami, doniesieniami z realnego życia. W pewnej mierze są nieustannie ponawianymi dialogami z sobą samym, rozmowami „ja” poetyckiego z ową, „anima” czyli duszą, własnym, najgłębszym wnętrzem. Dialogi osobowego, realnego „ja” z otaczającym światem, rozmowa duszy z ciałem, które ją nosi. To nie jest łatwe, bowiem „ja” chciałoby wiedzieć i do tego wiedzieć na pewno. Rozumie jednak, co z kolei stanowi wynik upływającego czasu i pogłębiającej się wraz z tym procesem świadomości, że w życiu nie ma pewności, zaś czas powoduje, iż zbyt często najistotniejsze rozpoznania przycho-

dzą za późno (jak w otwierającym tom wierszu pt. *Coda* albo, *Kostka domina* [3]). To gorzkie, smutne, tragiczne, ale przecież świadomość ograniczeń stanowi o prawdziwym człowieczeństwie. Wszak życie dostarcza nam wielu możliwości, szans, przykładów, daje wystarczająco licznych, momentalnych doświadczeń, dostępnych zmysłom. Problem jednak w tym, że zazwyczaj nie umiemy na czas właściwie odczytać danych nam znaków. Człowiek zмага się więc ze swym własnym losem. Właśnie temu nieustającemu wysiłkowi poeta stara się dać wyraz w swoich wierszach. Stwarza ostre i wyraźne obrazy sytuacji ludzkiej.

Znamienne jest i to, że kompozycja tomu ujawnia jego szczególną dwudzielność: „wiersze nowe” i „wiersze wybrane”, „anima” i „ciało moje”. Droga duszy jest ciało. Środek ich wzajemnego porozumienia stanowi pamięć. Przecież to ona przede wszystkim buduje naszą tożsamość. W istocie ludzkie doświadczenia są niczym innym, jak przemieszaniem pierwiastków cielesnych i duchowych, dobra i zła, radości i bólu, pamięci i zapomnienia. Samo to odkrycie nie byłoby niczym szczególnym, gdyby nie zrozumiałe, praktyczne wyrażenie tej prawdy w języku poetyckim. Dopiero to stanowi prawdziwą sztukę. Kryszak pisze wiersze intelektualne, precyzyjnie ujęte w karby językowych środków wyrazu. Podpiera je subtelną wrażliwością, kreatywnością, mocnym fundamentem wyobraźni. Umie mówić z ogromną prostotą, w tonie pełnym filozoficznej zadumy. Umie urzeczywistniać w słowach zdarzenia wewnętrzne, których plastyczny kształt roztacza przed oczyma czytelnika. W dodatku, co jest walorem nie bez znaczenia, robi to w sposób pełen uroku. Używa zwykłych słów. Bada ich możliwości semantyczne.

Kolejne wiersze z tego tomu, stają się rodzajem olśnień. Takich, które wypływają z odkrywania samego siebie, własnej świadomości, pojedynczego istnienia w tym, a nie innym czasie i miejscu. Doświadczenia są konkretne, ale w równym stopniu bliskie wiźji i wiary, stanowią pewne specyficznie graniczne rozpoznania. Ich wynikiem może być bunt, albo zgoda na niedoskonałość, pewną daremność naszych zabiegów. Nie oznacza to oczywiście w żadnym wypadku rezygnacji. Przeciwnie, stanowi najgłębsze poznanie ludzkich możliwości, drogę ku praktycznemu, by się tak wyrazić, „wyznawaniu” stoicyzmu, jako jedynej, sensownej drogi przez życie. To poezja i filozofia człowieka dojrzałego. Poeta nie uprawia swej sztuki po to, aby zapomnieć, uciec od rzeczywistości, jęczeć nad dokuczliwością życia, nudą, niespełnieniem, zmarnowanymi szansami, nierozpoznanymi uczuciami. Przeciwnie, wiersze pisze, aby powiedzieć sobie, i przy okazji nam swoim czytelnikom, coś istotnego, co zmusza nas do zastanowienia i pozostawia głębokie wrażenie. Podsuwa nam wiedzę, z której wynika, że musimy dokonywać wyborów. Musimy się w nich opierać tyleż na decyzjach świadomych, co przypadkowych. To one nas kształtują, choć nie zawsze po naszej myśli.

Takie spojrzenie raz jeszcze na stare prawdy, zapisanie swych doświadczeń w wierszach, jest szlachetnym sposobem zmuszania do myślenia. A to bez wątpienia wzbu-
dza sympatię czytelnika, przez co trud poety nie idzie na marne.

J. W.

Janusz Kryszak, *Czwarta dekada. Wiersze wybrane i nowe*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2000.

Michał Siewkowski swój najnowszy, ósmy już, tomik *Ogrody i ogrójce* rozpoczyna od znamiennego wiersza *On i ja*, będącego monologiem poety, skierowanym do siebie samego. To wprowadzenie w nastrój całej książki – dominuje w niej dojrzałe i mądre spojrzenie na swoją przeszłość. I nie jest to li tylko wspomnienie lat minionych, wędrówka w czasie i sprawdzenie pamięci. To uchwycenie piękna tego, co było i już nie wróci, co ukształtowało życie poety. Zresztą, powiedzenie to – że minione zginęło gdzieś, że czas zagarnął zdarzenia, które na zawsze odpłynęły w rzecz rzeczy (jak by powiedział Czechowicz), zostaje ręką poety zakwestionowane. To wszystko żyje, pulsuje i wraca do istnienia – na kartach tomu. Sztuką jest to zapisać. A Michał Siewkowski, nie tylko, że posiadał sztukę patrzenia i pisania o tym, to jeszcze obdarowany został przez Euterpe szczególnie – w krótkich lirykach aż skrzy się od metafor. Pisze o swojej pamięci, o tym, co w niej przechował, o radości słuchania muzyki i malowania obrazów, o spotkaniach z przyjaciółmi, przemianiu, bólu bliskich mu osób, ich umieraniu. O powrotach do „miejsc pierwszych”, do owych tytułowych ogrodów, pełnych radości i do ogrójców, w których bólu nic nie jest w stanie ukoić. Ta mieszanina szczęścia i rozpacz, którą dobrze znamy ze swojego życia, w tomiku Siewkowskiego zapisana została ze szczególną wrażliwością. Składa się na nią między innymi umiejętność układania lapidarnych zdań, stosowania elipsy, bogactwa metaforyki, oryginalność skojarzeń. A potrafi poeta obserwować i słuchać jak mało kto – wyczulony na urodę dźwięków, kolorów, łączy słowa uzyskując – jak chciał Peiper – układy pięknych zdań. Michał Siewkowski szuka w świecie piękna, barw, radości i często je znajduje.

Tomik podzielony został na trzy części: *Oddział wewnętrzny*, *Ogród i ogrójce* oraz *Tematy organowe*. W każdej z nich dominuje inna tematyka, sugerowana już przez tytuł, chociaż łączy je najważniejszy problem tej poezji – uwrażliwienie na ból i przezwyciężanie go, łagodzenie wyszukiwaniem migotliwych i nieuchwytnych zazwyczaj błysków piękna, wywołujących zbawienną radość ukojenia. Pierwsza część książki przynosi obrazy wywołane wspomnieniem dzieciństwa i młodości, portrety krewnych, odgłosy minionych lat, a przede wszystkim – pamięć ostatnich chwil matki poety, umierającej

w szpitalu (przejmujący tytułowy wiersz zamykający ten fragment tomiku *Oddział wewnętrzny*). Ta część utworów jest najbardziej nostalgiczna, melancholijna, dominuje w niej świadomość przemijania, odchodzenia, nasycenie dni śmiercią. Jednym z najpiękniejszych w tomie wierszy jest *Motyw z mieczami* z tej właśnie części, ukazujący nie-trwałość i kruchość, nawet sztuki, a równocześnie przynoszący nadzieję – zwycięstwa nad śmiercią dzięki pięknu, które tylko wrażliwe oko i ucho może dostrzec.

P. T.

Michał Siewkowski, *Ogrody i ogrójce*, Instytut Wydawniczy Świadek, Bydgoszcz 2000.

Tomasz Maciej Szymon Oporoff, narrator i bohater debiutanckiej książki Tomasza Sadeckiego, przesiaduje w wiklinowym fotelu-koszyku wewnątrz – w balkonowej wnęce na trzecim piętrze secesyjnej kamienicy albo w białym pokoju, modli się i snuje (scala?) swój porwany na strzępy monolog o sobie i o swoim świecie. Ma czterdzieści lat i jest na urlopie zdrowotnym. Jego choroba fachowo nazywa się: podcięcie wiary. Kim jest? Czym się zajmuje? Nie wiadomo. Co to oznacza: podcięcie wiary? Coś w nim pękło, coś się w nim (w głowie?) zepsuło. Schował się w środku. Jest w centrum swojego monologu i w centrum swojego świata. Nic tyle toczy opowieść, co stawia pytania, nie za bardzo troszcząc się o odpowiedzi. Bawi się słowami i frazami, podbija sobie bębenka. Toczy grę z pustką. Dziwny z niego gość. Co lub kto liczy się w jego życiu? Miłość? Jakies migawki. Mówi: „Nie mam nic poza uczuciami. Jeżeli je jeszcze mam”. Ciągle robi uniki. Ma jakieś fantasmagoryczne wspomnienia. Ojciec? Tak, ważny jest dla niego ojciec. Kto jeszcze? Bogu miła Debora, matka? Tak. Co lub kto jeszcze? Samotność? Rozpacz? Nuda? Ale wszystko jest w jego wykonaniu jakby w zawieszeniu, w oczekiwaniu na. W bolesnej i udręczającej nierównowadze. Oczekuje ratunku? Marzy? Marzy o czym? O jakimś *opus perfectum*? A może zamierza jakieś swoje *opus perfectum*; nastraja się tak i szykuje do niego? Tropy są widoczne, ale widoczne są niewyraźnie. Pyta, zadaje serie pytań, i błądzi. Tak jakby poruszał się w ciemności. Wywołuje z pamięci diabelskie zamieszania, erotyczne nieporozumienia, alkoholowe dołowania, sny. Nic z fabuły! Dokąd zmierza? O co mu chodzi? O co chodzi Oporoffowi? Czepia się wspomnień o ojcu, nasłuchuje, słyszy kroki. Czy usłyszysz głos? Męcząca nierównowaga. Jak to się fachowo nazywa? Podcięcie wiary? Nierównowaga. Ale jest w niej nitka. I po niej może dojść do kłębka. Dojść do celu. Ale czy podejmie wędrówkę? Natchniony wspomnieniem ojca, blaskiem słońca nad rzeką? Czy diabeł znowu popłącze szyki? Ale: Czy pójdzie dalej?

K. M.

Tomasz Sadecki, *Wnęka*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2001.

Apoptosis to starogreckie słowo oznaczające opadanie płatków kwiatów i liści drzew. Uczeni szkoccy dokonując w 1972 roku opisu zjawisk anatomicznych towarzyszących tzw. „samobójstwu komórki”, poradzili się filologów klasycznych i nadali temu zjawisku poetycko i tajemniczo brzmiącą nazwę. Samobójstwo komórki, *apoptosis*, to proces złożony, którego fachowy opis znajdzie czytelnik w książce Williama R. Clarka pt. *Plać i śmierć*. Nie należy jednak owego zjawiska antropomorfizować. Nie ma w tym zdarzeniu momentu podstawowego dla rozumienia samobójstwa – aktu wyboru, udziału woli. Komórki popelniając samobójstwo realizują jedynie wbudowany w ich strukturę program autodestrukcji. „Pierwszym zwiastunem czegoś niezwykłego są zmiany błony komórkowej – na znak, że przeznaczono jej inny los, komórka odsuwa się od swych sąsiadek. (...) A potem rozpoczyna powolny taniec śmierci (...)” Opisy śmierci komórek prowadzą autora książki do pytania: Dlaczego śmierć? Starzenie i śmierć nie są atrybutami życia na ziemi. Dlaczego więc, organizm dąży do stanu „bezładu, chaosu i ciszy?” Śmierć, a to jedno z podstawowych twierdzeń biologii, nie pojawiła się jednocześnie z życiem. Dlaczego więc, skąd przychodzi, dlaczego pozostaje nieuchronna? W tym momencie wkracza na scenę płciowość.

Patologia zajmuje się m.in. opisem zjawisk zachodzących w organizmie prowadzących do śmierci. Opisy, bardzo fachowe i drobiazgowo, śmierci komórek – nekrotycznej czy apoptotycznej, dokonywane przez Clarka są wstrząsające i tajemnicze, „Możemy pojąć śmierć – pisze pod koniec wywodu autor – ale nie możemy zmienić prostego faktu: w szerszej perspektywie jest bez znaczenia, że niektóre z nich (komórki) zawierają to, co nam najdroższe: naszą zdolność myślenia, odczuwania, kochania – pisanie i czytania tych słów. Dla samej istoty życia, którą jest przenoszenie DNA z pokolenia na pokolenie, to tylko wścikłość i wrzask, znaczące z pewnością bardzo mało, może nic”. Świat pozostaje zimny i lodowaty, jak spustoszony organizm po śmiertelnym „potopie”, który dokonuje się w jego wnętrzu i zmierza nieuchronnie ze straszliwą logiką do bezładu, chaosu i ciszy.

G. K.

William R. Clark, *Plać i śmierć*, przełożyły Anna Alichniewicz i Anna Szczęsna, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2000.

Słownik postaci literackich Andrzeja Z. Makowieckiego to pierwsza tego typu publikacja w Polsce. Charakteryzuje go selektywny dobór haseł uznanych za konieczne (dotyczących postaci głównych i pierwszoplanowych) i opracowanie ich w pokażnej ob-

jętości (pozwalającej niekiedy uznać takie hasło za rodzaj eseju interpretacyjnego zawierającego dużo informacji faktograficznych) w przeciwieństwie do drugiego typu tego rodzaju słowników charakteryzujących się dużą liczbą krótkich haseł, jak wydane wcześniej słowniki Kisiela i Pytasza. Słownik Makowieckiego zawiera prawie półtora tysiąca obszernych haseł prezentujących bohaterów literatury polskiej i światowej od początków literatury aż do czasów współczesnych; całość wzbogacona jest licznymi odwołaniami i informacjami o filmowych adaptacjach utworów literackich. Hasła obejmują istniejący, szeroko rozumiany kanon historycznoliteracki: postaci z klasyki literackiej polskiej i światowej, jak np. Otello, Bovary, Castorp, Wokulski, Kmicic; postaci historyczne, mitologiczne, biblijne, baśniowe i bajkowe (jest i Koszałek-Opalek i Kot w Butach i Królowa Śnieżka), także postaci z literatury młodzieżowej (np. Alicja, Mały Książę, Winnetou), czy z romansów, z powieści detektywistycznych i z komiksów. Istnieją także hasła zbiorowe, np. Buddenbrookowie, Karamazowie, Korczyńscy. Jak wyjaśnia w słowie wstępnym autor: „Czytelnik tego *Słownika* bez trudu zauważy powściągliwość autora w wartościowaniu opisywanych postaci, rozważaniach psychologicznych na temat ich charakteru, niechęć do wyrazistych formuł oceniających i interpretujących. Postawa taka wynika z przeświadczenia, że konstrukcja literacka, jaką jest postać w dziele i przebiegu fabuły, jest z reguły konstrukcją przemyślaną i zazwyczaj jej uwikłanie w wydarzenia i w relacje z innymi osobami są dostatecznie znaczące i wymowne, by czytelnik mógł wyrobić sobie opinię na temat bohatera, jego roli i znaczenia w świecie przedstawionym, ocenić postać w kategoriach moralnych, społecznych, psychologicznych itp., na koniec zaś zająć własne stanowisko wartościujące”.

Pomiędzy AA a Dr. Żywago rój ważnych, ciekawych, dziwnych postaci. Niektórych z nich mogłoby nie być, a jest dotkliwy brak innych. Na końcu: indeks osób i postaci literackich, indeks autorów i tytułów, które ułatwiają posługiwanie się tą pożyteczną i ciekawą książką.

K. M.

Andrzej Z. Makowiecki, *Słownik postaci literackich*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2000.

Prenumerata roczna:

krajowa: 30 zł
zagraniczna: 30 \$ USA

Cena numeru archiwalnego:

krajowa: 8 zł
zagraniczna: 8 \$ USA
(wraz z kosztami wysyłki)

Wpłaty prosimy kierować na konto:

Wojewódzki Ośrodek Kultury
PBKS II O/Bydgoszcz
11001034-902 779-2101-111-0
„Kwartalnik Artystyczny”

© *Copyright by*

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY.
KUJAWY I POMORZE, Bydgoszcz 2001

Utworów nie zamówionych redakcja nie odsyła.

Druk:

Wąbrzeskie Zakłady Graficzne Spółka z o.o.
87-200 Wąbrzeźno, ul. Mickiewicza 15
tel.: (056) 688 17 64

Skład i łamanie:

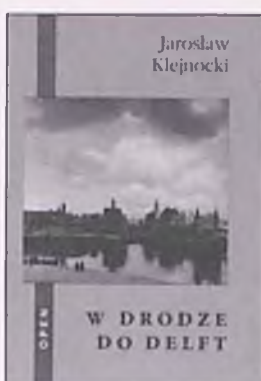
Studio Komputerowych Usług
Poligraficznych i Wydawniczych „Elpis”
ul. Powstańców Wielkopolskich 32/13
85-090 Bydgoszcz
tel. fax: (052) 341 70 08
e-mail: wiechk@box43.pl

BIBLIOTEKA KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO

PROZA



POEZJA



Seria: EMIGRACJA



Wkrótce ukaże się:
Grzegorz Musiał
Kraj wzbronionej miłości
– tomik wierszy nagrodzony
w X edycji Konkursu Literackiego
FUNDACJI KULTURY.

